

# Szaniawski Klemens

## MONOLOGI

SAME OSZUKAŃSTWA.

- Ja panu co powiem, że na świecie jest samo oszukaństwo — ja... Imraerszlecht! W.

Immerszlecht! Pan mnie może wierzyć, mnie wszyscy znają! Nie wierzysz pan? Proszę iść na Nalewki i spytać się, co powiadają o W. Immerszlecht? O panu W. Immerszlecht; powiadam wyraźnie, bo jest także B. Immerszlecht i M. S. Immerszlecht, trochę moi krewni, ale wielkie łajdaki. Niech ich dyabli wezmą! Dziś porządny człowiek żyć nie może, — zamiast kapitału masz pan obiecankę, zamiast procentu także obiecankę, to ładna waluta jest! Żeby moje wrogi zawsze taką widzieli. Robisz pan z dłużnikiem układ—obiecuje! chcesz mu pan sprzedać meble—obiecuje! Oni "wszystko obiecują, cały świat obiecuje! tego interesu najlepsza gospodyni nie potrafi rosół ugotować.

Ja panu co powiem, ale przepraszam, mnie trzeba, za pozwoleniem, usiąść (siada). Ze wszystkim mam zerwane nogi. Mówisz pan, że to, broń Boże, od chodzenia, gdzie tam, -to ze zmartwienia jest. Ja mam taką delikatną naturę, że mnie każdy smutek nie tylko do serca idzie, dalibóg nie tylko! On mi się wpycha w kolano, czasem w dwa kolana i tak mnie kole coraz niżej, aż pójdzie całkiem do ziemi! I co 1 tego? Ledwie jeden wylazł do ziemi, drugi znów wlaźł, w kolano — i tak codzień. Pan dobrodziej myślisz, że W. Immerszlecht miał słodkie życie? W. Immerszlecht miał bardzo gorzkie życie. A wiesz pan, przez co on miał gorzkie życie? — Przez oszukaństwo. Myślisz pan, że między nasze żydki znajdzie się dużo uczciwość? Bardzo mało, całkiem tak jak nic, albo i wcale nic! Oni nabożni są, oni modlą się, oni jeżdżą do rabinów, ale gdy przyjdzie do interesu, to zaraz z nich wylazi cały dyabeł! Ho! ho! warszawskie żydki to jest fajny gatunek osoby! rarytne osoby,—ja miałem dwie żony warszawskie! Sam jestem wcale nietutejszy, pochodzę z dalekich stron, z nad samej pruskiej granicy, będzie stąd wiele mil? Może trzydzieści mil! Myślisz pan, że u nas żydy takie, jak tu żydy są? Że oni niosą wielkich zabłoconych

butów, długie kapotów i husyckich czapek na cr[owie? Myślisz pan, że są ordynarne grubiany, jak tu? Oni nie noszą grube butów, ani husyckich czapek, oni nie są grubiany,—oni ubierają się jak ja, jak wszystkie insze panowie. Mają, I przeproszeniem, spodnie do samej ziemi, krótki palton, a na głowie kapelusz, albo ładny, zwyczajny kapelusz, albo cylinder mają. Pytasz pan dobrodziej, dlaczego ja tu się sprowadziłem do Warszawy, między taki gruby naród? Albo ja wiem. Miałem trochę pieniędzy,—myślałem, że się tu dorobię. No, dorobiłem się ładnie! A wiesz pan, co ja się dorobiłem? Ja się dorobiłem dwie żony! Jedna żona to była całkiem moja zguba, druga też nie jest reperacya. Nie mam szczęścia do rzetelnych interesów, a co mi się trafi, to samo oszukaństwo! Pan pytasz się, jakie oszukaństwo może być w żonie? Prawda;—kobieta, to jest kobieta; jednania taki feler, druga taki feler; trafi się inna, co ma i dwa »felery, ale zawsze to jest kobieta, i w tem jednym niema oszukaństwa! Każda ma na sobie kawałek spódnicy i czepek, każda potrafi zrobić dobrego krzyku i gałgańskie jedzenie, każda potrzebuje mieć swoje perły i swoje fanaberye. Na to niema oszukaństwa... ale wszystko inne! Cha! cha! cha! czy pan wiesz, jak w nich to wszystko inne wygląda? Ja panu powiem...

Przepraszani pana, ja potrzebuję zapalić moje cygaro, albo daj mi pan swoje cygaro... ja mam czasem takie drapanie w gardle, że zaraz potrzebuję palić cygaro. A wiesz pan, kiedy mnie najgorzej drapie? Jak sobie żonę wspomnę. Ja miałem pełną głowę tej żony. Pytasz się pan, czy ona była brzydka? Nie, ona nawet była bardzo ładna, trochę już niemłoda, ale wielce wspaniała kobieta. Ona nie wyglądała jak żydówka, wyglądała jak hrabina! Ładna bvła, tłusta . Powiadasz pan, że to niewielki feler?! To jest właśnie najgorszy feler, — zaraz się pan przekona. Jak ja przyjechałem do Warszawy, to byłem wdowiec. Dzieci miałem dorosłe, wyposażone, jak wdowiec; ale bez żony to u nas nie wypada człowiekowi być, nie pasuje. Ja potrzebowałem postarać się o kawałek żony... U nas to nie jest bardzo trudno. Są swaty, co się tylko z takim interesem trudnią; więc poszedłem do takiego swata (żeby on nogę złamał!) i powiadam: mój kochaneczku, szukaj ty dla mnie kawałek żony! A on, ten swat (niech jego wielka febra trzęsie!), powiada, że on mnie zaraz da taką żonę, co w całej Warszawie lepszej się nie zdybie. (Żeby on tak świat oglądał!). Ja jego się pytam, gdzie taka rarytność jest? A on (niech jego głowa zaboli!) powiada, że za godzinę napiszemy zaręczyny (żeby on

czarny rok miał, ten gałgan!). Zaczął mi opowiadać:\* po pierwsze, że ona wdowa jest: po drugie, że bardzo porządna kobieta: po trzecie, że pochodzi z wielkiej rodziny, z Luftmanów. | tych wielkich Luftmanów, co mają cztery domy na Muranowie. Słyszałeś pan zapewne, - cztery domy na Muranowie i kantor, skład szkła, porcynele i galanteryi pod firmą I. S. Luftman.—Znasz pan pewno, pierwsza rystokracya na całe Warszawie! Po czwarte, że ma sumę hipoteczną 5<sup>42</sup> ruble na domu Kaltwassera na Gęsiej, gdzie szynk z zielonemi drzwiami. Powiedz pan, czyby<sup>^</sup> się nie złakomił na taki interes? Ja nie miałem takiej mocy. ja złakomiłem się. Poszedłem do Krasieńskiego ogrodu ze swatem, zobaczyłem tę kobietę (ładna była kobieta); w dwie godziny później napisaliśmy zaręczyny, a na drugi dzień to było już całkiem po. weselu. Mój swat (żeby on dostał ślepotę na oczy!) kazał zapłacić sobie za ten interes dwadzieścia pięć rubli; ja jemu dałem z wielkim targiem jedenaście i pół (żeby on to dwadzieścia trzy razy wychorował!)... Jak było, tak było, dość, że ożeniłem się; myślałem, że będę całkiem spokojny. Cały tydzień było mnie dobrze, miałem w stancyi ciepło, miałem co jeść, miałem każdą wygodę, ale dalej! Słuchaj- no pan, co było dalej! Pokazało się, że wszystko było oszukaństwo! Po pierwszego, powiedzieli.

że ona jest wdowa, i naprawdę ona była wdowa — ale jaka wdowa? Myślisz pan, że taka, jak bywają wdowy, po jednym mężu? Nie, ona była po czterech! Ja przyszedłem piąty, po dwóch nieboszczykach i dwóch rozwodnikach! Mniejsza o to, to bagatelny interes. Po drugiego, powiedzieli, co bardzo porządna kobieta— i to było też oszukaństwo, bo ona wcale nie lubiła porządku, ale mniejsza i o to. Myślisz pan, że o takie głupstwo robiłbym jaką awanturę? Wcalebym nie robił żadnej awantury, słowo honoru panu daję. Po trzeciego, powiedziano, co ona jest z wielkiej rodziny, z Luft- manów, z tych, co mają cztery domy na Muranowie i kantor I.<sup>1</sup> S. Luftman — i to było oszukaństwo! Ona pochodziła, co prawda, z Luftmanów, ale z tych Luftmanów, co biedni są, same łapserdaki i kapcany... ale i o to mniejsza! Myślisz pan, że o taki interes miałem sobie powiesić? (niech mój swat się powiesi!). Mnie było bardzo przykro, ale myślałem sobie: cóż robić? Pan Bog jeden jest, On stworzył i tych Luftmanów, co mają cztery domy na Muranowie i kantor I. S. Luftman, i On ..stworzył tych Luftmanów, którzy nic nie mają i są kapcany i łapserdaki. Było ltnie to bardzo przykro, że moja żona japo chodzi wcale nie z wielkiej rodziny, ale zniosłem już i to trzecie oszukaństwo.— Cierpiałem... Po czwartego, było

powiedziane, swat powiedział (żeby on dostał ogień na wątrobę!), że moja żona ma 5,642 ruble na domu Kaltwassera, na Gęsiej, wiesz pan, tam, gdzie szynk z zielonemi drzwiami. Tymczasem i to było oszukaństwo; prawda, ona miała tę sumę, ale suma wisiała na siedemnastym numerze. Towarzystwo zrobiło licytację— moja suma spadła (żeby tak mój swat z dachu spadł kiedy!) i cały interes przepadł! Mnie było bardzo przykro, ja się okropnie gniewałem, ja się martwiłem, ja chorowałem, mnie wlało wtedy w głowę, w kolano, w serce, chodziłem do lecznicy, mnie kosztowała sama medycyna pół rubla, a bańki! No, ale przecierpiałem. Myślę sobie: mam żonę, to przynajmniej wiem, że mam, — taki smak już nie spadnie z hypoteki. Ale, co pan powiesz?! i w tem było oszukaństwo! Myślisz pan, że ja żonę miałem? Nie, panie; ja hrabinę miałem, ona była wspaniała dama, tłusta dama, a to najpaskudniej szy feler jest! Nie wierzysz pan? Cha! cha! proszę-no posłuchać, co ona potrzebowała na swoją osobę przez jeden dzień! Posłuchaj pan! pan nie będziesz mógł dać wiary, ale ja panu powiadam, na moje sumienie, ja, Immerszlecht! Nie tamten drugi Immerszlecht, gałgan, ale ja, W. Immerszlecht; słuchaj pan. Zaraz jak ona tylko z łóżka wstała, to potrzebowała pić herbatę. He pan myślisz herbaty?

Monologi;

trzy szklanki! Myślisz pan, że bez cukru? z cukrem! Potem ona potrzebowała się wystroić i dopiero, takie szajne damę, potrzebowała iść do ogrodu. Myślisz pan, po co ona tam chodziła? Chodziła tam pić kawę! Myślisz pan, jedną szklankę? Nieprawda, dwie szklanki! Myślisz pan, bez ciastka? z dwoma ciastkami! Po-' tern ona przychodziła do domu na obiad. Jak się panu zdaje, co ona potrzebowała na obiad? Może dzwonko śledź, cztery kartofle, trochę krupnik,—jak zwyczajnie potrzebuje być dobry obiad? Nie, ona potrzebowała cały talerz rosół, funt mięsa, albo ćwiartkę gęsiny, albo pół kurw, do tego kartofel z gęsim szmalcem, do tego bułkę, albo chleb, a do chleb znowu trochę szmalec.—ja sam już nie wiem, co ona potrzebowała! Potem to ona lubiła zaraz sobie trochę położyć. Ona potrzebowała odpocząć po takim jedzeniu! A co pan myślisz, co ona potem robiła? Ona potrzebowała sobie wystroić i znowu, a szajne dame, iść do ogrodu. A po co ona tam szła? na spacer? Nie, na kwaśne mleko! Myślisz pan, że zjadła pół porcyi? Przepraszam, ona potrzebowała całą porcyę! No, później, jak przyszła do domu, to zaraz kazała nastawić samowar i piła herbatę. Myślisz pan, że jedną szklankę? Trzy szklanki! Myślisz pan, że bez cukru? Z cukrem. Taki miała feler. Ja widziałam, że to nie żona jest, tylko hrabina.

tak chciałem jej dać rozwód. Nie mogłem już wytrzymać i takim jedzeniem. Dziwowałem się, że ona jeszcze mnie samego nie zjadła. Chciałem dać rozwód, tymczasem przychodzili moje przyjaciele, perswadowali, prosili i przedstawiali, że oni chcą między nami zrobić zgodę. Ja powiadani: dobrze, zróbcie zgodę, niech ja wiem, ile ja mam dać na tydzień na jedzenie, — ja tyle dam; a jak ona zechce więcej jeść, niech je za swoje pieniądze. Ja nie będę bronił, niech pije po trzy szklanki kawy, niech -się obucha, tylko, żebym ja nie potrzebował do tego interesu dokładać. Przyjaciele zrobili między nami zgodę. Było dość hałasu, klekta- nia, tak i tak,- nareszcie stała się zgoda. Ja miałem zapłacić komorne, drzewo, węgiel, naftę, herbatę, pensję służącej, nosiwodę i miałem dać jedenaście rubli tygodniowo na życie. >No, zrobiła się zgoda, byłem spokojny. Dałem swoje jedenaście rubli za cały tydzień z góry— i poszedłem za swemi interesami. Nawet mi w głowie nie było, żeby i tu także się zrobiło oszukaństwo! Samo oszukaństwo! paskudne oszukaństwo, na moje sumienie! Pytasz się pan, w czym oszukaństwo? Zaraz panu powiem. Ja poszedłem na miasto, nachodziłem się po różnych dziurach, po schodach; w jednym miejscu nie zastałem osoby, w dziesięciu drugich miejscach nie zastałem pieniędzy, jak wiadomo w naszym

interesie bankierskim. Przyszedłem do domu koło godziny piątej, byłem bardzo zmordowany, spracowałem się jak koń, a trzeba panu wiedzieć, że moja żona była bardzo grzeczna, bardzo delikatna kobieta, zupełnie jak jaka hrabina (ha! jadła dużo i bardzo grzeczna była); jak tylko ja przyszedłem do domu, ona przy- ' syła do mnie służącą. Ja sobie siadłem przy stoliku, a służąca pyta się: proszę pana, pani kazała zapytać, co sobie pan życzy teraz jeść? Ja na to powiadam: moja kochaneczko, podziękuj pani za delikatność; powiedz, że ja mam chęć do trochę wódeczki, trochę chleb, kawałek prosty ser i szklaneczkę piwo. Co człowiek więcej potrzebuje? Ona poszła, ale zaraz przychodzi. Ja się pytani; co ty, moja kochaneczko, chcesz? A ona powiada: że pani kazała powiedzieć, że jeżeli pan chce jeść trochę wódeczki, trochę chleb, trochę ser i trochę piwo, to niech pan będzie łaskaw dać: osiem groszy na wódeczkę, sześć na chleb, trzy na ser i dwanaście na piwo! Zrywałem się z krzesła, krzychałem „gwałt” na całą ulicę! Słuchaj, pan, ja dopiero dałem jedenaście rubli na życie, na cały tydzień z góry, ja przyszedłem do domu, żeby sobie trochę odpocząć i trochę siły dostać, a ona powiada, żebym ja dał osiem groszy na wódkę, sześć na chleb, trzy na ser, dwanaście na piwn. (I to oszukaństwo, bo

u Lejzora najlepsze piwo jest po dziewięć). Ja to nie mogłem wytrzymać, ja zrobiłem mojej żonie skandalje. Myślisz pan, małe skandalje? ja jej powiedziałem: niech ciebie dyabli wezmą! Ja panu mówiłem, że ona była wielka dama, - ona nie robiła żadne awanturę, tylko spojrzała na mnie bardzo po pańsku i powiedziała jedno słowo: „idź sobie do cholerye.” Cała hrabina, na moje sumienie! No, ale że ja nie jestem, Bogu dzięki, hrabia, tylko prosty żyd, to nie mogłem na to przystać, żebym miał dawać jedenaście rubli tygodniowo, a prócz tego kupować sobie jeszcze: wódkę, chleb, ser i piwo — dałem jej rozwód. Powiadasz pan, że już byłem spokojny? Nieprawda. Naprzód, że mnie — a już, dzięki Bogu, lata mam—nie pasowało żyć lada po jakimu, bez żony, a po drugie... Pytasz się pan, co po drugie? Po drugie, to, proszę pana, źle jest,—po jednym deszczu przychodzi drugi deszcz, po jednej żonie — druga żona, mało kiedy pogoda jest, mało kiedy spokój jest. Musiałem znowu wołać swata (żeby -jemu kolka w bok wlaźła, gałganowi), musiałem jemu kazać, żeby się starał o żonę. Kazałem jemu, żeby znalazł porządną kobietę, wdowę, żeby była piękna, ale żeby też nie była młoda, bo na co mnie młoda żona? na co małe dzieci? Ja już, Bogu dzięki, wnuczków mam (niech oni zdrowe żyją). Ja kazałem jemu, żeby mi szukał

taką żonę, co nic ma bardzo wielki apetyt, i taką żonę. co nie ma sumy hipotecznej, tylko gotówkę. Ja jemu powiedziałem, że ja się nie lubię targować, że będę wolał wziąć mniej, aby tylko było pewne, abym nie był stratny. On powiedział, że znajdzie (żeby on śmierć sobie znalazł!), że będzie szukał. On szukał! Co pan chcesz, taki gałgan, to zaraz szuka, on z tego żyje, paskudnik. Na drugi dzień to już mi pokazał całe trzy! Mogłem sobie wybierać. Myślisz pan, że nie wybrałem? Wybrałem. Była kobieta bardzo ładna, wdowa, miała już po czterdzieści i dziewięć lat, i z dobrej rodziny i bez sumy hipotecznej, z garderobą, z gotówką, z perłami, i miała też dwa brylantowe kolczyków. Wszystko miała! Pytasz pan, dlaczego się nie ożeniłem? Dlatego, że ja jestem człowiek uczciwy, że nie lubię zrobić oszukaństwo! Wiadomo, jaki jest uczciwy Immerszlecht; pytaj pan na całe Nalewki. (Tylko pytaj pan wyraźnie o W. Immerszlecht, bo są i drugie Jm- nierszlechty, ale wielkie łapserdaki i gałgany!). Ja jestem człowiek uczciwy, ja się nie mogłem ożenić z tą kobietą. A wiesz pan dobrodziej, dlaczego? Dlatego, że między nami była dy-fereneya. Ona była bardzo nabożna żydówka, ona żądała, żebym ja sobie ubierał po żydowsku, żebym ja nosił wielkich butów, szerokie majtków, „tales-koten mit kofuł szmejne cycys,”

wiesz pan, takie długie sznurki do same kolano! długą kapotę i husycką czapkę na głowę! ja nie mogłem na to przystać. Powiedz pan sam, czy ja mogłem? powiedz pan, co by moi panowie na to powiedzieli, i jakbym ja wyglądał w taki paskudny garnitur, ja, W. Immerszlecht, co mu znają na całe Nalewki, nawet na całe Warszawę! Ja jestem z innego świata, z nad samej pruskiej granicy, w mojem rodzonym miasteczku ludzie chodzą jak lalki, najbiedniejszy szewc ubiera sobie jak hrabia, a ona chce, żebym ja nosił prostą kapotę! Sam pan powiedz, czy to pasuje —Immerszlecht i kapota! Immerszlecht i chałat, Immerszlecht i paskudne wielkie butów, co człowiek potrzebuje mieć bydlęcą nogę, żeby ich dźwigać na sobie! Ja jestem człowiek delikatny, ja to nie potrzebuję nosić. Ja panu co powiem: ja miałem i na to sposób. Miałem dobry sposób. Mój spółnik, co ze mną interesów robi, powiedział do mnie tak: słu- chaj-no Immerszlecht, ty nie bądź głupi (w spółce to zwyczajnie musi być trochę konfidencyi), ty Immerszlecht nie bądź głupi! Ty sobie z nią ożeń. Ja tobie dam sposób: ty sobie kup. ha wesele kapotę, butów i czapkę, a po weselu ty włóż swoje dawne garderobę, a tę kapotę, butów i czapkę ja od ciebie kupię, bo ja chodzę w staromodne garderobę, — ty mnie odstąpisz -3<sup>o</sup>/o- J<sup>a</sup> nie chciałem na to przystawać. Po

pierwszego, że ja nie lubię robić komu oszukaństwo, bo u mnie uczciwość najpierwsza jest, a po drugiego, za co ja mam stracić dwadzieścia pięć procent?! Powiedz pan sam! Ta kobieta pojechała do rabina, żeby on sądził, w jakie odzienie mnie pasuje chodzić, ale ja już nie czekałem wyroku i powiedziałem, że się wyrzekam wszystkiego. Dlaczego ja to zrobiłem? Dla bardzo prostego interesu. Jakby rabin kazał nosić kapotę, to rabina wypada słuchać, a znowuż mnie wypada chodzić w porządne światowe garderobe. Więc ja wolałem nie robić próbę, a nie chodzić jak prosty chałaciarz, i nie stracić 25%, i zostać taki sam Immerszlecht, jak byłem pierwiej. Ja panu co powiem, ja mam obrzydliwość do każde oszukaństwo, ja nie lubię żadne oszukaństwo, to paskudna rzecz jest! Żebyś pan dobrodziej handlował, tak jak ja, z pieniędzmi, to myślałbyś pan całkiem tak samo. Niema gorszy interes na świecie, jak każde oszukaństwo jest. Na moje sumienie. Och! ja zapalę moje cygaro, albo lepiej daj mnie pan swoje cygaro, bo ja mam takie paskudne szczypienie w gardle. Zawsze mi się to trafia, zawsze mi się to przytrafuje, jak wspominam o moich żonach. Co robić,—jeden ma szczęście do kobiet, drugi nie ma szczęścia do kobiet; ja nie mogę sobie pochwalić, żebym miał wielkie szczęście do kobiet. Ten swat

(niech on dostanie kolkę na wątrobę!), ten swat mnie ożenił, ale i to było także oszukaństwo! Pytasz pan, czy dostałem znowu złą żonę? Ja to nie powiem. Ona (niech zdrowa żyje) nie jest ani zła, ani bardzo dobra; ani bardzo ładna, ani bardzo brzydka; ani młoda nie jest, ani stara nie jest. Nie jada dużo, ale mało też nie jada; nie miała sumy hipotecznej, ale też nie miała dużo gotówki. Całą parę paręset rubli, nawet cały tysiąc nie było. Nie mogę powiedzieć, żeby była wielka złośnica, ale kawałek złota też ona nie jest. Zwyczajna żona, kawałek żydówki, jak się najczęściej przytrafia między nami. Pan dobrodziej powiadasz, że nie możesz sobie miarkować, w czym jest oszukaństwo? Powiadasz pan, że żona jest żona. I to prawda, że żona nie jest ciotka, tylko żona. Ja wiem, ale uważaj pan na delikatny rozum. Ja już nie jestem młodzik, pan to zapewne rozumie. Jak kto ma osiemnaście lat i żeni się, to potrzebuje prosić Pana Boga o małe dzieci; a jak kto ma pięćdziesiąt kilka lat i żeni się, to potrzebuje trochę spokoju i trochę wygody. U nas, u żydów, zawsze proszą Pana Boga o dzieci, ale ja jestem rodem z nad pruskiej granicy,, u nas ludzie nie są takie zabo- bonniki, jak, tu w Warszawie. Do każdego interesu trzeba termin, a wiadomo, że po termin nie może być apelacja. Ja mówiłem temu

swatowi (niech jemu głowa spuchnie!), ja mówiłem, żeby on o tein pamiętał. On pamiętał! on mi powiedział, żebym był całkiem spokojny, on ręczył! Co pan powiesz, on mi na piśmie chciał poręczenie dawać! (żeby jemu kości pokręciło!). Pan sobie dziwuje, że ja wierzyłem. Dlaczego ja nie miałem wierzyć? on jest swat, od czego on jest swat? to do jego fachu należy! Tymczasem cały ten fach, to jedno oszukaństwo! Bądź pan dobrodziej zdrów. Ja już nie mam czasu, ja potrzebuję sobie iść między moje dłużniki, potrzebuję zbierać obiecanki. To także jest fach! Żeby moje wrogi takie żniwo mieli! Pan dobrodziej pytasz się o koniec? Na co panu to wiedzieć? Zresztą, niema w teili sekret. Chcesz pan wiedzieć, to ja panu powiem. Ja teraz jestem młody ojciec. Pan się śmieje. Na co pan się śmieje? To niema śmiechu, to prawda jest, prawda, co na świecie same oszukaństwo. Co robić? trzeba przyjąć, co Pan Bóg daje. A czy pan wie, co Pan Bóg dał? Pan myśli, że. może syn? wcale nie syn. Pan myśli, że może dziewczynka? wcale nie dziewczynka. Teraz pan sam nie wie, co myśleć? Ja panu powiem — mam odrazu dwa sy- ny! Cale oszukaństwo, na moje sumienie!

BEZ PRZESADY.

Wierzajcie mi państwo, bez przesady, nie masz jak polowanie. Dobra strzelba aż mi pachnie i proch mógłbym łyżkami jeść — 1 pięknego wyzła jestem gotów pocałować w oko. Nie rozumiem innego życia, jak na błocie, albo w kniei. Nie chcę znać żadnych Paryżów, żadnych Włoch, żadnych Warszaw — wszystkie miasta kazałbym sadłem wysmarować, żeby je psy zjadły! Bo czegoż człowiekowi potrzeba? Strzelba na ramię—w torbie flaszcza starki, kawałek suchej kiełbasy — piesek do nogi i do roboty. Żadne frykasy tak nie smakują! bo proszę państwa... Za pozwoleniem, jeszcze się nie znamy... Jestem Pistonski Jan; z tych, co to państwo, zapewne znacie... jedna była za Stasiem z Czarnobłocia, a druga, Panie odpuść,

za aptekarza poszła. Niech ją tam... Trzymani dzierzawą majątek... Piach, panie dobrodzieju, bo piach; łąki takie, żeby jedną trawką wołu można zarznąć jak nożem; ale las, ale bagna, bajory, błota, trzęsawiska — moje uszanowanie! Nie wiele się z tego płaci, nie wiele ma się dochodu, ale polowania człowiek używa, jak kot w studni, słowo honoru daje!... Ekonom pilnuje gospodarstwa... a ja, panie dobrodzieju, chodzę, strzelam, pieski chowam, panie dobrodzieju. A! pieski, bez przesady... za jednego parę wołów mi dawali... anim chciał słuchać. Wół kaczkę z wody nie przyniesie, kuropatwy nie wystawi; co mi tam dyabli po wole!..., ale pies... co pies, to pies! z jakim wiatrem, z jakim ułożeniem!... cudo nie pies... Wabi się Cerber, panie dobrodzieju... Jak tylko się wiosna zaczyna, to mnie aż coś podnosi. Pytam gajowego:

- Ciągną?
- Ciągną, wielmożny panie...
- A no, to ślicznie...

Przed wieczorkiem już jestem w lesie. Są tam błotka wązkie a długie... samym środkiem woda płynie... drzewa rzadkie... krzakami podszyte... miejsce stworzone do ciągu...

Człowiek sobie, panie dziej u, stoi i czeka. Wtem słyszysz... „chrap, chrap... psik, psik...". Jedzie słonka. Składam się: pęc! — chlap; ma

ra

się rozumieć jest... Ledwie nabił — znów: „chrap, chrap, psik, psik;” lecą dwie... Pęc! pęc! chlap, chlap! obie moje. I znów nabijam i znów strzelam... a, bez przesady, co łup, to trup. Oko bo człowiek ma, nie chybia... Po trzydzieści słonek przynoszę co wieczór; rozdaję na prezenta... dla parobków każę w barszczu gotować! Rano znów na cietrzewie. Człowiek sobie w budzie zasiada przedświtem i, jak •się tylko tokowisko zacznie, to, panie dzieju, nastrzela takich kałakutów jak indyki... dziesięć, piętnaście sztuk. Sąsiedzi nie chcą wierzyć... Phi! ja sambym może nie wierzył, ale co oko widzi, to święta prawda... Potem, bez przesady, nudy święte... polowania niema, ale ja próżnować nie lubię... to sobie, panie dzieju, jastrzębie strzelam, to szelmę lisa tropię, to pojedę na błoto kaczorka upatrzę... i tak przejdzie... przejdzie jakoś do upałów. Wtedy na bagna, na bajory, na łąki... Cerber chodzi jak... ach! jak on chodzi: bekasy nie bekasy, dubelty nie dubelty, chróściele nie chróściele... Człowiek pali jak do jasnej świecy—co łup, to trup! dopóki prochu nie zbraknie... Bez przesady, panie dzieju, furami tego się- tłucze! A różne bąki, kulony, bataliony, rzadkie wogóle—ale na naszych kochanych błotach to tego jak kur na podwórzu. Czaple, panie dzieju, żórawie, panie dzieju—i kaczki!... U mnie służba przez

Monologi.

dwa miesiące samymi kaczkami się żywi... panie dziej u, cyraneczki... podgorzałki, krzyżówki takie bestye jak gęsi... ciężkie, tłuste, oblane..., Człowiek włązi w bagno od rana, sans façon, panie dzieju, w negliżu... i wyłazi wieczorem... Ramię puchnie od dźwigania torby ze zdobyczą. bo to już nie żarty... to już nie na funciki, ale na pudy idzie... Lecz to nic... Puchnie, panie dziej u,\* jak poducha... smaruję na noc spirytusem mrówczanym, lub takim, co na pączki brzozowe nalany — i na drugi dzień jak ręką^g^ odjął... Kuropatw, panie dzieju, nie liczę, strze-<sup>1</sup>® lam do nich jak do wróbli, jesienią, albo zimową porą z saneczek... Znajdę stadko, pęc! naprzód starcę, a potem już resztę co do jednej... Jeżeli posyłam komu zwierzynę na prezent, a zdarza się, że posyłam, to juścić nie parę kuropatw, albo dwie pary... ale pół kopy, kopę, czasem więcej... bez przesady! Zając też u mnie nie zwierzyna... bo tyle tego tałajstwa tłukę, że nawet moje psy jeść nic chcą; wyjątkowo chyba, jeżeli dobrze naszpikować słoniną i śmietaną podlać... Chodzić na zające, chodzę; w podorywkę na upatrzonogo, albo z goń- czemi... a gończe -mam, proszę siadać! W magnackich psiarniach nic podobnego nie znajdzie. Skąd?! Szczerze mówiąc, każdy mój pies sam wygląda jak magnat... albo mu to źle na świecie?... Okropnie nie lubię samotności; żeby mi

przyszło jednemu w stancyi siedzieć, choćby tylko przez godzinę, tobym się chyba wściekł... to też u mnie zawsze na łóżku psy, na kanapie psy, na sofie psy, na fotelach po jednym psie, pod stołem na dywanie pies... w sieni psy, w kuchni psy, na podwórzu — ps'y... Jak człowiek w gorącej potrzebie pożyczycy sobie od Rotszylda w miasteczku ze sto rubli, to może spać spokojnie. Rotszykl nie przyjedzie się upomnieć—będzie czekał, aż ja się sam pokażę w miasteczku. Oni mnie znają, wiedzą, że oddam, że oddałbym i w domu, ale nie przyjeżdżają mnie odwiedzać... Naturalnie, pies to rzecz gustu; można psy lubić, albo nie lubić. Ja bardzo lubię. Zimową porą zaczyna się życie naprawdę... Knieja, knieja, panie dzieju, to mi dopiero raj! Łosie, panie dzieju, niedźwiedzie... Pytacie państwo, gdzie polowałem na niedźwiedzie? Właściwie... sam nie tyle polowałem, ilem się nasłuchał o niedźwiedziach od nieboszczyka dziadka, który (świeć Panie mad jego duszą) był u Radziwiłłów nad- 'leśnym' i niejednego Misia uśmiercił. On mi też o łosiach i zubrach opowiadał... U nas tu takiej zwierzyny niema, ale proszę mi wpuścić niedźwiedzia do kniei, to już ja się z nim rozmówię!... Moje pieski, słowo honoru, nie tylko głupiego niedźwiedzia, ale krokodyla nawet wezmą za uszy...

Knieja, to raj... Sarny, dziki, wilki... Już to ja zwykle na jesień kniejówkę swoją szykuję — a strzelba to, proszę siadać! Cztery konie za nią dałem... za nią, temu pięć lat — i jakie konie! Ale też bije... na trzysta kroków strzał pewny. Prawda, że trzeba w nią wsypać garść prochu, i pół funta siekańców, albo loftek, ale jak wygarnie... to piorun niech się schowa! Kula do niej idzie jak dobry kartofel; nic a nic nie przesadzam... jak kartofel, ale też jak grzmotnie dzika w komorę, to takie w nim okno wyrąbie, że widać przez nie na wylot... Jeden amator dawał mi za tę strzelbę folwarczek... bez przesady powiadam, folwar- czek; dziesięć włók, jak obszył, z budynkami, inwentarzem,—ale nie chciałem... Drugiej takiej broni w Europie niema... to fakt... Co ja z niej dzików natłukferp!... Pamiętam, temu lat... a no... będzie ze czterdzieści — małym chłopaczkiem byłem, miałem może siódmy, może ósmy rok... ojciec mój polował na dziki... Wziąłem ogromny nóż z kuchni, wyostrzyłem go na kćftnieniu i, panie dzieju, na kucu, pojechałem do lasu inną drogą, bo ojciec nie chciał mnie z sobą zabrać. Wpadam do lasu, psy dzika stanowią... Nie wiele myśląc, ja—panie tego: hyc! panie dzieju, z kuca na dzika; jedną ręką, panie dzieju, za szczecinę, a drugą pcham mu nóż z wierzchu, panie dzieju, aż do dna-. Dzik mało

nie wścieknie z bólu, rwie galopem — ja siedzę, wpada na myśliwych—ja siedzę. Ojciec woła: „wszelki duch Pana Boga chwali!”<sup>14</sup> ja siedzę, bez przesady, jak mur, i pcham nóż coraz głębiej. Pędzi bestya, a kwiczy, aż się po lesie rozlega. Półtorej mili tak przejechałem, alem go zadźgał... Ojciec płakał z radości i ciągle mówił: „to krew!” No jużcić, bez przesady—co krew, to krew... Na swoje poszedłem, dzierzawcą zostałem... dzików natłukłem tyle, że mógłbym z nich taką stertę jak stodołę ułożyć, a jeszcze tego pierwszego pamiętam... Był taki duży jak krowa, tylko tyle., że niższy...

A i jeszcze jednego też pamiętam, choć będzie temu lat ośmnaście może. Ciotki, panie dzieju, namówiły mnie, żebym się żenił... Ha! żenić się, to żenić; tak mi z tern, jak i bez tego. ale jak ciotki mnie obsiadły, jak zaczęły traj- kotać—powiadam, panie dzieju: dobrze. Panna ładna, ród dobry, dziesięć tysięcy jak lodu, wyprawka niczego, fortepian jeden, fanaberyi sporo. £ Powozu jej się chciało swoją drogą, ale swoją drogą partya dobra... Tedy mam się żenić, pierwszego lutego ślub... A no, panie dzieju, ślub, to ślub, zaraz po południu. Od rana ubierani się we frak. Żeby z piekła nie wyjrzał, kto takie odzienie wymyślił! Kładę rękawiczki—ma się rozumieć białe, no i mam

jechać do rodziców panny... wtem wchodzi gajowy i powiada:

Szkoda, panie; obszedłem dzika, siedzi jak mur.

— Nie łzyj! — zawołałem.

— Jak Boga kocham! — powiada —taki jak wół; nic, jeno iść i zabić...

Coś we mnie piknęło...

— Możebyśmy przed weselem zdążyli?—zapytałem.

— Ha, może.

Krótko mówiąc, nie upłynęło pół godziny, byłem w lesie. Myślę sobie: przywiozę pannie prezent piękny... Gajowy psy puścił; dzik wali na mnie na sztych. Ja do niego: łomot!—szarpnął się, ja z drugiej lufy...—przyklęknął... ja z trzeciej... to jest, tak, nie z trzeciej, trzeciej nie miałem, tylko patrzę... ten się zrywa i zmyka w las; psy za nim... Farba bucha, panie dzieju, jak z fontanny... śnieg czerwony, panie dzieju—my z gajowym za dzikiem. Kołujem, kołujem po tropach, po farbie, poszła\* bestya daleko... — my za nim. Południe, jeszcześmy nie doszli; wieczór, jeszcześmy nie doszli; dopiero już w nocy, przy księżycu, dochodzimy—jest! Jak góra taki dziczysko, bez przesady... Pokrzepiliśmy się starką, zagryźli suchą kielbasą, dzika, panie dzieju, na sanki i do domu. Dopiero w drodze gajowy powiada:

— Pewnie tam panna młoda czeka...

— Do dyabła! — pomyślałem.

Ale po chwili myślę sobie: niechże kto chce sądzi, co pilniejsze? Dzik mógł z legowiska ruszyć, pójść w książęce lasy i po dziku... panna zaś siedzi w domu i nie ucieknie, a czy weźmie ślub dziś, czy jutro — mała różnica, wszystko jedno. Myślę sobie: jutro raniutecz-ko pojedę, przeproszę i niech raz będzie kozie . śmierć—niech się ciotki cieszą... Właśnie rano ubieram się we frak, wtem ktoś zajeżdża... Wychodzę, żeby psy rozpędzić, patrzę, a to szanowny papa mojej panny... Ja do niego:

— Panie dobrodzieju! co za honor! Witam z otwartymi rękami.

A ten jak słup... Zjeżył się jak wilk i do mnie z zębami...

— Co pan chcesz?

— Tak się nie robi...

— Przecież jadę, widzisz pan, żem we fraku...

A on wprost:

— Możesz się pan nie fatygować; zrobiłeś naszemu domowi afront...

— Panie, to nie afront—powiadam,—tylko dzik. Patrzaj pan, wisi... o, tu, na dziedzińcu; zabiłem go na prezent dla pańskiej córki...

Myślałem, że się stary pozna na grzeczności, tymczasem on powiada, że ja sam jestem dzik, bez okrzesań, bez wychowania nie-

greczny. Od słowa do słowa,<sup>1</sup> poszło nawet cle gjubis... Zapowiedział, żeby moja noga w je- . go tłomu nie postara.

— Nie, to nie, nie napraszam się—mówię,— tak mi 1 żoną, jak i bez żony. Nie powieszę się ze zmartwienia...

No, słowo honoru, bez przesady powiadam, że nie powiesiłem się ani razu... Panna Julia wpół roku później wyszła za męża; za sąsiada, i ten podobno już się dwa razy chciał wieszować... Żydzi mi to mówili w miasteczku... Właśnie pisałem do niego, żeby do mnie przyjechał na polowanie; nie przyjechał — widać magnifika trzyma go dobrze na smyczy... Polowałem sam; bez przesady—jednym strzałem położyłem kozła i lisa z tej mojej kniejówki. za którą mi dziesięciowłókowy folwark dawano...

U ADWOKATA

VJU ielmożny panie adwokacie! Nie potrze- ^ buję dużo gadać... mam trochę kryminalną sprawę, kawałek takiego interesu, co wcale nie jest bardzo przyjemny, a wszystko przez naszych kochanych doktorów... Ładne życie! ładne czasy! Tfy! Jak Wojtek Bałaban z Koziej Woli był chory, to oni nie pisali żaden protokół; jak Wojtkowi zrobiło się lepiej, to też nie pisali protokół, ale jak Wojtek sobie trochę umarł, to zaraz zrobili cały gwałt! Obdukcyę, sekcyę, protokół, sprawę? Że chłop umarł—wielka ciekawość!... Jabym chciał mieć tyle tysięcy, ile chłopów przez jeden rok umiera... Oj, ja nie potrzebowałbym rwać zęby, stawić bańki, puszczać krew, golić komu kawałek gęby... To nie jest piękny fach —

paskudne zatrudnienie, nawet jeżeli bez protokołu, a z protokołem to już nie facli, nie zatrudnienie, ale całe nieszczęście! Niech-no pan adwokat słucha. Oni piszą protokół, oni robią sprawę, oni chcą, żebym ja w kryminale siedział... Za co? Za to, że ja daję ludziom zdrowie, że ich ratuję w brzydkiej słabości, że się znam na medycynie? Aj waj, jak ja się znam/ W całym miasteczku mnie znają, w całej okolicy znają, i doktorzy, na moje nieszczęście, także mnie znają — i przez to jest cała ich złość. Oni zazdrośni są, że ja im psuję praktykę; robią takie plotki, że ja łapię chorych na ulicy, że piszę recepty, że puszczam krew, że przystawiam używane pijawki, że kaleczę bańkami, że podejmuję się robić operacje, że... cha! cha! Panie adwokacie, oni też powiadają, że ja potrafię zrobić jątrzącą się ranę takiemu żydkowi, co do wojska ma iść; że potrafię popsuć mu ucho, albo oko, albo zrobić inny feler... Co oni nie powiadają! Oni są źli, bo oni mają doktorskie patenty i do nich ludzie nie przychodzą, a ja nie mam doktorskich patentów i u mnie zawsze pełna izba chorych! Ja jestem tylko felczer, a oni wielkie doktory! Tylko felczer; zdaje się,, marny żydek, wcale nie osoba — tymczasem, kto mnie zna, to wie, że drugiego Harmidera, drugiego takiego medycynika, w całym miasteczku nie znajdzie...

Co Icek Harmider potrafi, tego dziesięciu doktorów, żeby icli c\o kupy złożyć, nie potrafią! Temu dwa miesiące, nasz pan burmistrz by} bardzo słaby na zęby. trzeba mu było wyrwać jeden, trzonowy. On mnie do tego zawołał! Dlaczego doktora nie wołał?! I nie zabawiło pół godziny—nie miał zęba! i jaki to był ząb! jaki ząb!... na moje sumienie!... A jak naszego aptekarza ciotka miała wielkie bolenie i trzeba było koło niej coś zrobić, to też nie wołali doktora, tylko mnie! Przecie aptekarska ciotka też osoba! Mogą się państwo zapytać, czym sfuszerował? Kto stawiał pijawki panu pisarzowi od sądu?—Icek Harmider! Kto smaruje nogę panu regentowi, jak mu łamany ból dokucza?—Icek Harmider. Kto stawiał cięte bańki księdzu wikaremu, jak on miał zapalenie płuc?—Icek Harmider... Wszystko Icek—leczył, pracował, fatygował się, i, Bogu dzięki, burmistrz już zdrow, i aptekarza ciotka jest zdrowa, i pisarz zdrow i ksiądz wikary zdrow. Dlaczego o tem nie jest pisany protokół? i dlaczego o tem nie jest pisany protokół, że stara Boruchowa umarła, choć był u niej jeden doktór, i drugi doktór i później na konsylium trzech doktorów? Ha?, Dlaczego o tem niema protokół, jak o tym Wojtku Bałabanie? Pan adwokat powiada, żebym ja-szedł prosto do sprawy. Właśnie ja do niej idę... Powiadają,

że ja jemu krew puściłem, temu kwartał, że na to są dwa świadki i znak na ręku... Mają dwa świadki, co niby widzieli, jak ja krew chłopu puściłemf a ja mogę zaraz postawić dwieście świadków, co tego wcale nie widzieli! Co się tyczy znaku—jaki to jest dowód? Ile ludzi ma znak na ręku! Co to jest znak?— znak nic nie jest. Do zrobienia znaku wcale nie potrzeba felczera... chory mógł się zadrapać, mógł się sam skaleczyć; a może ukąsił go jaki robak, może, za wielkim przeproszeniem, pchła? Ale doktor się zawziął, chciał koniecznie protokół, no i jest protokół... On się już cieszy, że ja będę siedział w kryminale, że mi odbiorą felczerstwo... Niech on się cieszy. Tymczasem, ja tu przyjechałem i wiem, że mnie pan adwokat wyratuje... Ja pieniędzy żałować nie będę—dam sto, dam dwieście rubli! Tylko niech pan adwokat tak gada, żeby doktor nic nie wskórał. Mnie nie idzie o koszt, ja się z doktorem później porachuję... tymczasem idzie o mój honor...

Pan adwokat chce wiedzieć całą prawdę... 110, ja powiem... Że chłop chory był, to jest prawda; że się leczył u tego samego doktora, co mnie skarży, naprawdę nie jest całkiem prawda; ale co to panu adwokatowi szkodzi, kiedy ja dam czterech świadków, co mogą przysiąc, że prawda... O tę krew, co niby ja

miałem z chłopą wypuścić krew, temu kwartał— to ja nic nie pamiętani. Może to trochę prawda, ale mnie się zdaje, że nieprawda, bo niema na to żaden dowód, tylko znak. Może /J

być pytanie: kto zrobił znak? Albo ja wiem?... Są inne takie ryzykanty między felczerami. Ja nie chcę nikogo skarżyć, nie jestem żaden denuncyant, ale mi się zdaje, że tę krew puścił Berek Pistolet, drugi felczer z naszego miasteczka, co, będzie temu ze dwa miesiące, wyjechał z żoną i z dziećmi do Ameryki. On był golibroda medycyński i okropny ryzykant. Szykarz tak piwa z beczki nie toczył, jak on potrafił z chłopów krew toczyć... Czy on puszczał krew Wojtkowi, ja nie wiem... ale mam świadki, że on... On bardzo śmiały był! Ja sam się nieraz bałem, że on w kryminale skończy... On już tam w New-Yorku pewnie masę krwi puścił —■ taki gwałtownik! Powiada pan adwokat, czy ja mogę być pewnym moich świadków? To wszystko porządni obywatele; nie było zdarzenia, żeby oszukali kogo w takim interesie. Jeszcze jest, panie adwokacie, dwa punkty: pierwsze, że doktor złapał moje dwa proszki kalomel, co były w chałupie u chłopą; drugie, że znaleźli na chłopie ślady od pięćdziesiąt dwie cięte bańki, co niby ja jemu postawiłem... Powiada pan adwokat, co to źle?... Mnie się zdaje, że nie... Naprzód ten

Monologi.

kalomelu, choć na papierku pisane, nie jest wcale kalomelu, tylko soda od burzliwy proszek. Chłopa bardzo paliło w gardle, więc ja mu dałem trochę sody z mojej własnej szafki... Papierek nic nie dowodzi; zawinąłem w taki, jaki miałem, nie patrząc, co na nim jest pisane. O analizę, co pan adwokat mówi, jestem pewny... Skąd oni tam mogą znaleźć kalomelu, kiedy to jest sprawiedliwa soda?... Powiem panu adwokatowi prawdę, co ja zawsze daję chorym sodę... Czasem ta soda idzie za kalomelu, czasem za chininę, ale, na moje sumienie, powiadam, że choćby nawet za strychninę szła, to soda zawsze jest tylko soda. Więc ten punkt, można rachować, że nie jest wcale punkt... Jeszcze idzie o bańki... to, panie adwokacie, tyle mi zaszkodzi, co moja soda choremu... Zresztą, jak człowiek ma czyste sumienie, to ludzka złość może go tylko zmartwić. ale mu nie zaszkodzi." Ja się przyznaję: te pięćdziesiąt dwie cięte bańki postawiłem Wojtkowi Bałabanowi na plecach mojemu własnymi rękami — i zaraz potem, na drugi dzień, Wojtek Bałaban sobie umarł.

Pyta pan adwokat: jak ja to mogłem zrobić? A ja pytam pana adwokata: jak ja mogłem to nie zrobić? Przecież miałem kartkę od doktora z drugiego miasteczka. Niech pan adwokat się przekona: „Proszę postawić Woj-

ciechowi Bałabanowi pięćdziesiąt dwie (Nr. :>2) bańki cięte na plecach. Dnia... doktor B."  
Stoi wyraźnie jak bik. Pan adwokat się śmieje i powiada, że zna dobrze pismo doktora B. i że to jest kartka sfalszowana... Może być; ale dla mnie to była kartka od doktora; sam Bałaban mi ją dał, a na kartce nie stało, żebym ja szukał na niej fałszu, bo ja nie jestem sąd,—tylko stało, żebym postawił bańki, jako felczer... To jest mój fach. Dyabli wiedzą, może ta kartka nie jest prawdziwa, może ona nawet całkiem fałszywa... nawet teraz, jak mi pan adwokat powiedział, to już jestem prawie pewny, że fałszywa; ale co ja temu winien?! Owszem, niech łapią fałszownika, niech go wpakują do kozy!... Kto sfalszował?—Wojtek; ale że Wojtek nie żyje, niech szukają dalej, niech, biorą Wojtkowę—to cyganka, paskudna baba; można śmiało powiedzieć, że ona tylko fałszem żyje... Oj, oj, proszę pana adwokata, jakie teraz czasy! jaki teraz świat!... co się z chłopami porobiło!... Dawniej ich było można oszukać, dziś oni wszystkich oszukują... Kto kiedy słyszał, żeby chłop fałszerstwem się trudnił? — a dziś oni handlują fałszowanym mlekiem, fałszowanem masłem; teraz już fałszują nawet kartki doktorskie! Ale co mnie do tego?... Ja nie jestem ani prokurator, ani obrońca Wojtkowej; ja wiem, że kartkę mi dał W^ojtek... a skąd

Wojtek ją wziął, niech Wojtkowej pytają. Ja tylko chcę swojej sprawy bronić i spokojnie żyć. Mam na wszystko świadków, mam pana adwokata... Ha? pan adwokat robi mi trochę nadziei? Pierwsza instancja... No, ja, choć felczer jestem, nie słyszałem, żeby od pierwszej Instancji kto umarł... Apelacja, druga instancja, potem jeszcze kawałek kasacyi... Panie adwokacie, moje świadki pewne, porządni obywatele, żadnego oszukaństwa nie zrobią... niech tylko pan adwokat pięknie gada. Tymczasem ja daję zadatek... Kiedy pan adwokat każe przyjść? Dobrze, ja przyjdę... Padam do nóg... do widzenia... (chce wychodzić, po chwili zawraca).

Panie adwokacie, jeszcze jedno słowo... Doktor będzie dużo na mnie gadał przed sądem... On ma paskudną gębę, on będzie wymyślał różne plotki na mnie... Zawzięty, aj, jaki on zawzięty! Ciągłe się odgraża!... On powie, że jak Mendel Kałakuckier miał do wojska iść, to ja zrobiłem mu ranę na nodze... Niech się pan adwokat zapyta, gdzie na to dowód jest? Mendel Kałakuckier od urodzenia na nogę chorował — to może jego matka, i jego żona i cała familia jego przyświadczyć... Doktor powie, że zeszłego roku ja szczepiłem chłopom ospę z takiein świeżem limfem, że się wcale nie chciała przyjąć. Niech go pan adwokat zapyta: w którym kodeksie stoi, żeby się

każde szczepienie przyjęło? Doktor powie, co ja jestem truciciel, co utrzymuję u siebie in-  
teryały apteczne, piszę recept... on powie... albo ja wiem? On może powiedzieć, że ja kogo  
zabiłem na gościńcu, że konia ukradłem, że komu stodołę podpaliłem... On wszystko może  
pleść... ale ja myślę, że pan adwokat wy- tłómaczy jemu, że w kodeksie stoi cały artykuł o  
potwarz i o dyfamację, i że za tak interes można też do kozy pójść. Zresztą, niech pan  
adwokat mówi, co chce, aby było git. Ja za moich świadków ręczę—to porządni obywatele;  
skoro raz się zgodzili, to nie zrobią zawodu, ani oszukaństwa... Panie adwokacie to jest  
czysta sprawa, jak szkło — w niej nie może być żadna dyfereneya. O co chodzi? — o bańki i  
o plecy! Wielka rzecz! Co komu do tego? Czy to były sądowe plecy? czy doktorskie plecy?  
Nie, to były plecy Wojtkowe— Wojtek miał prawo zrobić z nimi, co sam tylko chciał... Co  
komu do Wojtkowych pleców?!

NA JEDNEJ GŁOWIE.

( Wchodzi zadyszana).

szystko na jednej głowie, wszystko... |poprawia czepek) cztery dziewczki, spiżarnia, dwanaście krów, kury, kaczki, gęsi, indyki... i, z przeproszeniem państwa, cały chlew! Wszystko na tej jednej biednej głowie, ot tu... I wskazuje) i żeby za to chociaż, żeby choć coś, cokolwiek... choć czasem dobre słowo; ale gdzie zaś! |wzrusza ramionami) jeszcze im źle. Stłucze się co — Kokosińska winna; krowy dają mało mleka — a jakże! Kokosińska; wieprz trzy tygodnie temu się zatchnął — dalejże na Kokosińską; kury nie chcą się nieść— także Kokosińska przyczyną... jakbym to ja kury zbuntowała... I już każdy na tę Kokosińską, jak na burą sukę; a ja cierpię i milczę,

bo nie jestem, jak inne kobiety, prędką do gadania — i albo co powiem, jak mi bardzo już dokuczają, albo i nic nie powiem, choć mnie obinawiają, że jestem popędliwa. Ja popędliwa! Toć koniec świata! ja popędliwa, ja!? Bo żem raz garnek dziewczęce na plecach rozbiła, to więcej dla postrachu, niż dla czego, a bardziej naumyślnie, żeby mnie pociągnęli do sądu, żeby mogła raz przecie w urzędzie powiedzieć, jakie to teraz czasy, jaak się ono tałałajstwo rozwydrzyło, że ani uszanowania dla kogo starszego, ani posłuchu, ani roboty, ani nic!—A jak przyjdzie niedziela, to na łańcuchu nie utrzymasz, tylko zaraz na tańce, na hulanki, do karczmy, a człowiek gdy co powie, to zaraz sąd... zaraz sąd! Ja jej dziesięć razy mówiła?®:

— Ej, Magda, ty się szanuj!... Ja ci mówię: po wodę idź, zielka, za pozwoleniem, dla wieprza nasickaj, kurom daj jeść; powiadam ci godnie i po dobroci: ty szelmo jedna, leniu, latawico, powiadam, szanuj się!

Innaby jeszcze w rękę pocałowała za takie macierzyńskie przemówienie, a ta zatracona do innie z gębą! Powiada:

— Za co mnie Kokosińska dy fam uje? co Kokosińska nade mną przewodzi!  
A ja mówię jeszcze po dobroci i delikatnie:

U Stal gębę, ty tłomoku!

A ona jak wrzaśnie:

— Niech Kokosińska sama stuli!... Co Kokosińska? Kokosińska taka sama sługa, jak ja, tylko że ja sobie, Rogu dziękować, młoda dziewczucha i ludzi nie straszę, a Kokosińska baba utrapiona, sekutnica!

Słyszał to kto? Nie sądz mnie, Chryste, ale aniołby nie wytrzymał. Stała dziezka gliniana i kwaśnem mlekiem—jak nie cisnę; rozbiła jej się na plecach w kawałki. Masz, gadzino, coś chciała, znaj Kokosińską! Inna możeby uderzyła w pokorę, przeprosiła— ta'nie: „Do sądu podam, do sądu podam!” wrzeszczy, aż pieje. Ja biorę znów garnek z ukropem, bo i najbiedniejszy Robaczek broni się, jak go chcą zdeptać, i powiadam: „Idź, idź, psia duszo, idź, cyganko, idź, idź.”

Poszła... No, nic... Wyszło ze dwa tygodnie, aż przychodzi raz wieczorem sołtys i powiada: „Na jutro pani Kokosińska do sądu.”

Do sądu! Ha! cóż robić? Wzięłam na siebie ze siedem spódnic, nowy czepek, chustkę, ogarnęłam się — niech też i sąd wie, że ja co innego niż ona.

Przychodzę — sędzia już siedział, ławniki koło niego, pan sekretarz, wszystkie dziewczki od nas za świadki, kuchcik, stróż, ogrodniczek, jako że natenczas w kuchni był.

Weszłam, pokłoniłam się, czekam. Dopie- roż sędzia powiada:

— Pani Kokosińska garnek rozbiłaś na tej dziewczynie?

— Prześwietny sądzie — powiadani, — bez urazy, nie garnek to był, ale dzieżka — i nic sądowa, ale dworska. Jeśli sobie dziedziczka szkodzi, może mi z zasług potrącić. Nie wybrałam, 'jeszcze mam; rachunkowa kobieta jestem. zasług nie przepijam, ani nie tracę.

Sędzia powiada:

— Tak, według garnka masz pani rację, garnek dworski, ale plecy dziewczynine są i właśnie o to sprawa. Magda jest pokrzywdzona. Pogódźcie się.

Jak to słowo rzekł, właśnie gdyby mnie nożem w serce dźgnął.

„Pogódźcie się!” Ja z nią! Może się jeszcze mamy całować, na poczęstunek zaprowadzić?... Czy ja jej przyjaciółka?’ czy z nią, z przeproszeniem, gęsi pasłam?

— Ach—powiadam, — prześwietny sądzie, nie mam się co z nią godzić, jako żem się nie kłóciła.

A sędzia mówi:

— Jak pani chce, to będzie sprawa; radzę pani Kokosińskiej zgodnie skończyć, bo może być źle.

— Niby jakto? — pytam — w czym źle?

Powiada:

— Kara będzie.

A ja dopiero:

— To—powiadam—tak? To jeżeli dziewczka gałgan, słuchu nie zna, po muzykach lata, zielska nie sieka, wody nie nosi, to nic! A gdy gospodyni, stateczna kobieta, matka dzieciom, wdowa godna, przemówi i na drogę dobrą prowadzi—to kara? Rzadko kiedy mówię, bo nie jestem gadatliwa, ale jak mi kto sadła za skórę naleje, to nie.zmilczę, żeby tam nie wiem co'

Wszystko powiedziałam, wszystko, co tylko miałam na sercu i na wątrobie. Sędzia i ławnicy słuchali i widać ich wzruszyło, bo zatykali sobie uszy; sędzia dzwonił, jakby na procesyi— a ja nic; rżnę swoje, nie pardonuję!—Co będzie to będzie, choćby się miał świat zapaść, niech raz prawda wyjdzie na wierzch, jak oliwa. Sędzia dzwoni, ja swoje. — podnosi się, ja swoje, i powiadam:

— Prawdę :mówię, bo aż się prześwietny sąd podnosi! Mówię, gadam, ale, bez urazy prześwietnego sądu i honoru, to nie mnie się godzi karać za głupi garnek, ale dziewczkę wzięść, głowę jej ogolić, smołą oblać i pierzami obsypać, a, wyświecić ze wsi i z gminy, żeby miała nauczkę, jak należy starszych ludzi szanować i posłuch znać.

W gardle mi zaschło, mało się nie zatchnę-łam, gorącość na mnie uderzyła, płacz mnie porwał, a żem była i tego zmartwienia zaziębiona j więc i kichanie mnie napadło i kaszel, aż stróż sądowy ze świadkami wyprowadzili mnie z sądu na dziedziniec. Przysiadłam na kamieniu, łzy otarłam i posiedziałam tam ze trzy pacierze, aż nadchodzi dziedzic; zły jak wilk, tylko wąsami rusza, powiada:

— Zawsze mi Kokosińska bigosu narobi, tfu!— powiada — niech Kokosińska idzie na folwark i pilnuje swojej roboty spokojnie, bez awantur; dziś udało mi się Magdę ułagodzić, że cofnęła skargę, ale — powiada—na drugi raz wdawać się w takie rzeczy nie będę i pójdzie Kokosińska do kozy, jak niepyszna. Splunął i poszedł.

Pan Bóg widzi moją krzywdę sierocą, mój żal. Zapłakałam, jak małe dziecko (płacze) Dziedzic Magdę łagodził, łagodził ją! Znam ja te łagodności, znam! Wypatrzę i, szelma ze mnie, jeżeli dziedzicze dokumentnie wszystkiego nie opowiem. On ją łagodzi! Za moje dobre, za moje serce, za moją pracę, za gęsi, za indyki, za takie spaśne wieprzki, za takie prosiąteczka śliczne, za takie sery! On ją łagodzi, a na mojej jednej głowie wszystko: samych krów dwanaście, cztery dziewczki, tyle drobiu, cały, z przeproszeniem, chlew...

(Gios z za sceny: „Kokosińska! Kokosińska!”)

— Idę, idę! Wiem; zmarniałoby wszystko beze mnie, skapiało, cały folwarkby przepadł...  
A dziedzic ją łagodzi za moją krzywdę... on ją jeszcze łagodzi!!  
(Odchodzi, wybuchając płaczem).

STRASZNA NOC.

iech wielmożny pan nie gniewa się na Berka, bo to, co się dziś w nocy Berkowi stało, to się chyba jeszcze nikomu na świecie nie stało. Czy człowiek wie, jakie go może spotkać nieszczęście?

Pan był niespokojny;—ja wiem, że pan mógł być niespokojny; przecież wyjechałem za dworskim interesem i wiedziałem dobrze, że pan czeka. Miałem sprawunki: herbatę, smarowidło, wanilię, naftę, siedem par postronków, trochę cynamonu, kilkanaście funtów mięsa, nici dla wielmożnej pani, dwa funty głoiberskiej soli dla czarnego byka, głowę cukru i cztery szleje parcziane... Widzi wielmożny pan, ja to wszystko mam w głowie!

Prócz tego, miałem się postarać u Wigdora o trochę pieniędzy dla wielmożnego pana na żniwo.

Zwyczajnie jak w gospodarstwie — i to też zwyczajnie jak w gospodarstwie: że na sprawunki nie dostałem wcale pieniędzy, a na pieniądze nie dostałem żadnego towaru.

Ja pojechałem.

Pyta się pan: gdzie są tę sprawunki i gdzie są pieniądze? Niech-no ja powiem, jak się całe zdarzenie zrobiło, to wielmożny pan sobie za głowę złapie.

Ja się spóźniłem o całe dwadzieścia cztery godziny. Dlaczego?

To był nieczysty interes. Ja pojechałem stąd, z Wólki, do Pantoflowa na jarmark. Według prostego rachunku, powinienem był przyjechać napowrót z Pantoflowa tu do Wólki; przecież niema pięć dróg, tylko jedna i niedługa, całkiem półtorej mili; tymczasem ja zrobiłem półtorej mili do Pantoflowa, potem jechałem przez lasy (niech moje wrogi ten smak próbują!), potem nocowałem w takim miejscu, że jak sobie przypomnę, to mam pełne plecy mróz; jeszcze potem jechałem milę drogi po szosy, jeszcze potem byłem w Rybaczkach, a po,,tem z Ry- baczków jechałem tu do nas, pięć mil drogi bez żadnego popasu... No, widzi pan dobrodziej, jaką ja miałem rozkosz!

Pan jest ciekawy, jakim to sposobem się zrobiło? Aj waj! aj waj!

Zna pan moją kobyłę... kasztanowata, łysa, i białą nogą, H kawałek bydlę, amatorska sztuka!

Ona była u mnie całe osiem lat... Możeby ją trzymał dłużej, ale kupiłem ją nie bardzo młodą i bałem się, że ona może, za pozwoleniem, sobie zdechnąć. Taka śmierć koło domu nie jest przyjemna, więc myślę sobie: niech ona komu służy...

To była bardzo dobra szkapa. Trochę wło- gawa, miała na oba oczy skałkę, a przez to, że dwa razy się ochwaciła, więc była krzywkę dychawiczna; zresztą bez żadnego feleru. Jedno tylko, że nie lubiła brykać, i chciawszy ujechać nią dwie mile drogi, trzeba było całkiem zniszczyć nowy bat i jeszcze kozicę połamać.

Do dnia pojechałem na jarmark.

Nie będę panu powiadał, jak jechałem, dość, że koło południa byłem już w Pantoflowie na rynku.

Oj, jarmark był! (żeby ja nigdy gorszego nie widział!) — taki ruch, taki ruc<sup>1</sup> .:, jak dawno nie pamiętam!

Zajechałem do mojego szwagra Szmula, co ma szynk nad wodą, zaraz koło młyna; wy- przęgnąłem moją kobyłę i zaprowadziłem ją na koński rynek.

Nie bardzo kto się o nią pytał, ale trafił się jeden stary żyd, smolarz, co w rybaczkowskich lasach smołę palił, a teraz przeniósł się na Czarnorudę, do takiego samego interesu. On prowadził konia dropiatego; wielka szkapa, też bez feleru, tylko co kolano miał obwiązane, w prawej łopatce był spieczony i miał francuskie kopyta. Ten stary żyd powiada do mnie: „Słuchajcie, Berek, wy jesteście pachciarz, wam trzeba po letkości jeździć, a mój koń ma długie nogi; co stąpi, to sążeń! On dla was samo prawie pasuje, taki cugant, a mnie znów bardzo się spodobała wasza kobyłka. Mój towar nie lubi pośpiechu, a wasza kobyłka łyśa jest właśnie z tego gatunku, co akurat do smoły.”

Ja myślę sobie: ten żyd ma rację. Mnie potrzebny jest koń ostry, co ma „fajer.” Ja się kręcę po świecie, jeżdżę do różnych panów, mieszkam pilne interesa—ny, niech ja mam konia z fajerem (żeby jemu boki spaliło!). Zajrzałem temu wielgasowi w zęby, obejrzałem go dobrze.

Niema co długo powiadać, tęgi koń! Wsiadłem na niego z woza: aj w aj! myślałem, że na stodole siedzę. Jak on bryknął, jak chrupnął, jak skoczył ze wszystkimi czterema kopytami do góry, to myślałem, że mnie, z przeproszeniem, wątrobę w<sup>T</sup>yrzęcie. On latał jak gołąb! Ja zaraz z niego zesknąłem i mówię

do tego starego żyda: „Co wy myślicie wziąć za swego konia?” On żądał 21 rubli (żeby on 21 razy spuchł!) — ja swoją kobyłką szacowałem tylko na półdziewiętnasta. Nie targowaliśmy się długo, może wszystkiego dwie godzinki — dopłaciłem mu rubla i kupiłem tego wielkiego, dropiatego parady era.

Załatwiłem wszystko porządnie, wpakowałem sprawunki do fury, wypilem u mego szwagra Szmula kieliszek szabasówki i zaprząłem dropiatego.

Siadłem na wóz...

Jak ten koń zacznie skikać, wierzgać, jak bryknie raz i drugi, to cały jarmark rozpędził. Żydki się śmieli, wołali: „aj waj! Berek! Berek teraz jeździ jak hrabia, Berek kupił cuganta, co i niego smoła cieknie!... Berek, daj temu koniowi do zjedzenia całe pole owsa, do wypicia całe jezioro wody, to on może będzie jeszcze kiedy tłusty.”

Różne śmiechy słyszałem, różne przykre słowa, a tymczasem ten waryat leciał po bruku, przez most, ale jak wpadł na gościniec, gdzie piasek, to zaraz się zrobił całkiem inny koń—cała natura w nim się przewróciła. Widać już swoje takie fanaberye miał... zwiesił łeb do samej ziemi i szedł pomaleńku, jak krowa. Ja jego batem, on stanął, ja jego drugi raz batem, on zaczął wierzgać, walić kopyta-

Nie bardzo kto się o nią pytał, ale trafił się jeden stary żyd, smolarz, co w rybaczkowskich lasach smołę palił, a teraz przeniósł się na Czarnorudę, do takiego samego interesu. On prowadził konia dropiatego; wielka szkapa, też bez feleru, tylko co kolano miał obwiązane, w prawej łopatce był spieczony i miał francuskie kopyta. Ten stary żyd powiada do mnie: „Słuchajcie, Berek, wy jesteście pachciarz, wam trzeba po letkości jeździć, a mój koń ma długie nogi; co stąpi, to sążeń! On dla was samo prawie pasuje, taki cugant, a mnie znów bardzo się spodobała wasza kobyłka. Mój towar nie lubi pośpiechu, a wasza kobyłka łyśa jest właśnie z tego gatunku, co akurat do smoły.”

Ja myślę sobie: ten żyd ma rację. Mnie potrzebny jest koń ostry, co ma „fajer.” Ja się kręcę po świecie, jeżdżę do różnych panów, mieszkam pilne interesa—ny, niech ja mam konia z fajerem (żeby jemu boki spaliło!). Zajrzałem temu wielgasowi w zęby, obejrzałem go dobrze.

Niema co długo powiadać, tęgi koń! Wsiadłem na niego z woza: aj waj! myślałem, że na stodole siedzę. Jak on bryknął, jak chrąpnął, jak skoczył ze wszystkimi czterema kopytami do góry, to myślałem, że mnie, z przeproszeniem, wątrobę wytrzęsie. On latał jak gołąb! Ja zaraz z niego zesknąłem i mówię

do tego starego żyda: „Co wy myślicie wziąć za swego konia?” On żądał 21 rubli (żeby on 21 razy spuchł!)—ja swoją kobyłkę szacowałem tylko na półdziewiętnasta. Nic targowaliśmy się długo, może wszystkiego dwie godzinki — dopłaciłem mu rubla i kupiłem tego wielkiego, dropiatego paradyera.

Załatwiłem wszystko porządnie, wpakowałem sprawunki do fury, wypilem u mego szwagra Szmula kieliszek szabasówki i zaprząłem dropiatego.

Siadłem na wóz...

Jak ten koń zacznie skikać, wierzgać, jak bryknie raz i drugi, to cały jarmark rozpędził. Żydki się śmieli, wołali: „aj waj! Berek! Berek teraz jeździ jak hrabia, Berek kupił cuganta, co z niego smoła cieknie!... Berek, daj temu koniowi do zjedzenia całe pole owsa, do wypicia całe jezioro wody, to on może będzie jeszcze kiedy tłusty.”

Różne śmiechy słyszałem, różne przykre słowa, a tymczasem ten waryat leciał po bruku, przez most, ale jak wpadł na gościniec, gdzie piasek, to zaraz się zrobił całkiem inny koń—cała natura w nim się przewróciła. Widać już swoje takie fanaberye miał... zwiesił łeb do samej ziemi i szedł pomaleńku, jak krowa. Ja jego batem, on stanął, ja jego drugi raz batem, on zaczął wierzgać, walić kopyta-

mi w wóz, potłukł mi cały przodek od wa- sęga.

Pyta się pan, co ja zrobiłem?

Ny, co ja miałem zrobić? Miałem się procesować z takim bydlęciem?! Położyłem bat koło siebie w wasągu i powiadam: „Idź sobie, łajdaku, jak sam chcesz, a 'w domu jaz tobą zrobię obrachunek: nie dam ci jeść, to się oduczysz wierzgać.”

Mnie się zdaje, że on też tylko tego żądał, żebym ja bat koło siebie położył. Znowu zwiesił łeb do ziemi i laźł pomaleńku, jak wół.

Musiałem być cierpliwy — przecież nie mogłem się bić z takim gałganem. Jechałem...

Już się zrobił wieczór, pociemniało, miałem wielką chęć do spania.

W drodze nie bardzo pasuje spać, więc puściłem głowę w ruch. Obrachowałem, co kosztują pańskie sprawunki; obrachowałem, ile pan dobrodziej Wigdorowi zapłaci; obrachowałem, ile zarobiłem na cielętach—wszystko obrachowałem; a skoro już nie miałem nic do rachowania, to zacząłem myśleć o różnych mądrych rzeczach. Myślałem sobie, jakie jest ludzkie życie...

U nas stoi, że człowiek od małości do starości ma siedem różnych procederów. Naprzód, jak on przychodzi na świat, to jest wielki człowiek; wszyscy go całują, kołyszą, śpiewają.

mu, cieszą się z niego, dają mu obwarzanek, albo cytwarowy pierniczek, wieszają mu na szyi pieniądze. Jak ma dwa albo trzy lata, to jest cały gałgan: tarza się po ziemi, grzebie w śmieciach, a co tylko znajdzie, to lubi wsadzić do gęby, choćby to było największe pa-skudztwo. W trzecim sposobie, nim dojdzie do dziesięciu lat, jest niespokojny, jak dzika koza: lubi skakać, zrobić szkodę, zepsuć co—łobuz jest. W czwartym — to on się robi jak zbry- kany koń bez uzdy, jak waryat, jeszcze gorzej niż mój dropiaty; później się żeni; jak się, ożeni, to ma już gratyfikację — wygląda jak, za pozwoleniem, osieł, co niesie ciężar na plecach. Dochowa się dzieci — to już szósty sposób, już się on robi jak pies i lata z wy-wieszonym językiem tu i tam, wacha, gdzie co złapać dla dzieci, które wołają tylko: „jeść gwałtu, jeść!” Nareszcie zestarzeje się i wtenczas to już, z przeproszeniem pańskim, wy-gląda jak cała małpa. To nie jest bardzo przyjemny interes, ale w tem szczęście, że te siedem procederów dotyczy tylko głupich ludzi, bo uczonego człowieka nie wygląda nigdy ani jak koza, ani jak koń, ani jak osieł, ani jak pies, ani jak, broń Boże, małpa; ale jak człowiek, jak osoba; bo uczonego im starszy, to mądrzejszy, a mądrość to samo złoto, same perły, sam najlepszy towar jest.

Tak ja sobie myślałem, taki miałem gang w głowie—i sam nie wiem, czym trochę spał, czym trochę nie spał... Nie wiem, na moje sumienie.

Zrobiło się zimno. Zapiąłem na sobie kaptur i otworzyłem jedno oko... Ale jak prędko otworzyłem, tak jeszcze prędkiej zamknąłem... Nie wiem dlaczego, ja się bałem. Ten dropja-ty — ja go ledwie trochę widziałem, bo noc była ciemna — to był niepodobny do konia, ale wyglądał jak wielbłąd; te krzaczki, co między nimi idzie droga do nas, do Wólki, to mi się wydawały jak wielki las...

Bardzo się bałem... Chciałem się modlić, ale nie mogłem. Co powiedziałem jedno słowo nabożne, to mi dziesięć myśli o złych duchach przychodziło do głowy. Zdawało mi się, że nie jadę tam, gdzie trzeba, że jestem w innej okolicy, może w innym kraju, może nawet całkiem na innym świecie... Oj, przypomniałem sobie, jak liusyty powiadali, że piekło to jest wielka ciemna izba, a w tej izbie 70,000 ścian; w każdej ścianie 70,000 szpar, a w każdej szparze 70,000.... Ledwie pomyślał - o takim brzydkim interesie, tymczasem nagle ktoś mnie wyrzucił z wozu i pchnął z wielkim impetem w przepaść, w dziurę, w ciemność, w nic!... Leciłem do dna chyba siedem lat! — i gdym leciał, nie bolało, mnie ani trochę, tylko

strach miałem wielki; ale jak już doleciałem do dna, krzyknąłem bardzo wielkim głosem i zobaczyłem, że ja już wcale a wcale nie śpię... Zobaczyłem, że ja jestem, żyję, ruszam się... Ramię sobie stłukłem; bolało mnie, bardzo bolało...

Leżałem, jak ten, co już umarł; nie mogłem złapać tchu, bałem się... Później zacząłem macać koło siebie rękami... Oj! co ja namacałem!— na dnie trochę błota, na wszystkie strony ściany mokre...

Nadeptałem nogą na coś twardego; schyłam się, biorę rękami, to jest głowa cukru! Smoła śmierdzi, że nie można oddychać. Gdzie mój wóz?—niema wozu! Gdzie moje sprawunki?—niema moje sprawunki! Gdzie mój dro- piaty koń?—niema mój dropiaty! Jest tylko głowa cukru... Czy ten, kto mnie tam wrzucił chciał jeszcze kpić ze mnie i dał mi cukier, żebym sobie gorzki los osłodził? Nu, co to za głupi figiel jest!

Siedziałem w tej jamie z kwadrans; mnie frybra trzęsła, mnie serce bolało, ale, na szczęście, miałem jeszcze całą głowę, a póki człowiek ma kawałek głowy, to może sobie jeszcze ratować. Mój ojciec zawsze powiadał: „Słuchaj, Berek, jak ty wleziesz kiedy w dobry interes, to ty w nim siedź; a jakbyś wlaźł w paskudny interes, to ty zaraz z niego wyłaź!”

Jak tu wyłazić? Jestem w dole — trzeba się gramolić do góry.

Spojrzałem w górę... Oj! było całkiem ciemno. Nad przepaścią zrobił się szum, jakby gadanie, ale to nie było ludzkie gadanie... Potem coś mi kapnęło na głowę... raz, drugi, trzeci... potem coraz więcej, a potem to już zaczęło całkiem lać, jak z cebra. Ja byłem w wielkim strachu, mnie wszystkie włosy podniosły się do góry; myślałem, że to już mój koniec. Zakryłem sobie głowę kapotą i mówiłem pacierze, żeby Pan Bóg miłosierdzie zrobił. Jak długo cierpiałem—nie wiem. Myślałem, że sto lat. Tymczasem słucham — mnie się zdaje, że małe ptaszki zaczynają świergotać... Wysadziłem głowę z pod kapoty. Bogu dziękować, jest trochę widno... Dzień się robi. Wierz mi, pan dobrodziej, że jeszcze żaden dzień nie był mi taki mity, jak ten dzień... Zrywam się na równe nogi, jakbym miał 15 lat... i zobaczyłem, że jestem w dużym, szerokim i głębokim dole, wykopanym w ziemi; na dnie dołu mokro, a w tej mokrości walają się kawałki węgla. Głowa cukru, którą ten gałgan za mną wrzucił do dołu, leży; poznałem ją — na szczęście, nie zamokła, bo ja na niej siedziałem.

Jak zobaczyłem, że już się dzień robi, to ze mnie wyszło przynajmniej osiemdziesiąt procent

strachu; no, ale zrobił się zato kłopot, jak z tego paskudnego miejsca wyleźć.

Bogu dziękować, miałem na sobie długi pas wełniany i trochę sznurków w kieszeni; przywiązałem je do głowy cukru i, przy Boskiej pomocy, wylazłem na świat i wyciągnąłem cukier za sobą.

Gdy już stanąłem na ziemi, zobaczyłem, że jestem w lesie; po jednej stronie stały wielkie drzewa, po drugiej kilka morgów karczunku; pusta lepianka była niedaleko, a ślad na drzwiach pokazywał, że w tej lepiance mieszkali żydzi.

Pan się śmieje; pan powiada, że to jest bardzo prosty interes... że to smolarnia, że ja wleciałem do dołu po smole. Dziwno mi, doprawdy, że pan dobrodziej tak sądzi—ale niech-no ja powiem, jak dalej było.

Ja spojrzełem dokoła. Patrzę, między krzakami stoi moja fura; ten szelma dropiaty pasie się na trawie tak spokojnie, jakby mnie się żadne nieszczęście nie stało; chomont mu się zsunął na łeb, lejce całkiem zaplątał, ledwie rozmotałem...

W wozie wszystkie sprawunki były, oprócz jednego cukru. Bogu dziękować, nic nie zmokło, bo jeszcze w Pantoflowie opakowałem wszystko bardzo porządnie w słomę, jak się należy, jak zwyczajnie trzeba pakować pańskie rzeczy.

Jedno co bata nie było — gdzieś zginął... Wyłamałem porządny kij, siadłem na furę i chciałem jechać, ale dokąd? W tem pasku- dnem miejscu byłem dopiero pierwszy raz w mo- jem życiu i nie wiedziałem, w którą stronę trzeba się obrócić. Miarkowałem sobie, że naj- lepiej będzie jechać wprost przed siebie, bo nawet był ślad, że kiedyś ludzie przejeżdżali tędy. Dałem dropiatemu kijem raz i dru^gi...

Jak skiknął, jak zaczął wierzgać, pokazywać swoje fanaberye, to myślałem, że ze mnie życie wy trzęsie po korzeniach; za kwadransik wyjechałem na szosę i dropiaty znów po swojemu łeb zwiesił i szedł jak krowa do szlach- tuza.—On ma taką paskudną naturę! Już było wysoko słońce, kiedy przyjechałem, zgadnij pan gdzie? Do Rybaczko w! Aj waj! pięć mil drogi od domu. Ny, ale co miałem robić? Zajechałem do znajomych żydków, kupiłem temu gałganowi wiązkę siana, napoiłem go, a potem wszedłem do izby. Tam opowiedziałem moją przygodę; żydzi kiwali głowami, wzdychali i powiedzieli bardzo mądre słowo: że człowiek nigdy nie wie, skąd na niego przyjdzie nieszczęście.

Potem oni zawołali jednego bardzo wypraktykowanego człowieka, który ma takie widze- nie, że to widzi, czego żaden człowiek nie widzi, i to zna, czego żaden człowiek nie zna.

Ten przyszedł, obejrzał mego dropiatego konia, zajrzał jemu w lewe ucho, potem trzy razy splunął i powiedział: „Słuchajcie, Berku, jeśli chcecie mieć spokojne życie, to wy zaraz sprzedajcie to bydło.” Za to słowo ja dałem jemu 1.8 groszy. Nie targowałem\* wcale, bo w Rybaczkach taka taksa jest. Później po-\* szedłem do szkoły, zmówiłem pacierze, posiliłem się trochę, no i przyjechałem do domu, pięć . mil drogi, na moje sumienie! Przyjechałem, Bogu dziękować, żywy, chociaż nie bardzo zdrów, bo przestraszony i potłuczony; ramię boli mnie bardzo — będę musiał sobie okowitą smarować...

Fe! ja nie rozumiem, dalibóg, z czego pan dobrodziej się śmieje! Co tu do śmiechu jest? Wielmożny pan powiada, że to się stało bardzo prostym sposobem, że ja usnąłem na furze a dropiaty skręcił do lasu i włókł się do samej smolarni, że nad dołem fura sobie przechyliła, ja wyleciałem, a za mną głowa cukru, co na wierzchu leżała. Pan powiada, że jeszcze to dla mnie szczęście, co koń mocno szarpnął, bo mogłaby cała fura w dół wlecieć i zabić mnie, broń Boże. na śmierć. Niedość na tem; pan powiada, że ten żydek widzący, co w Rybaczkach oglądał dropiatego i kazał go sprzedać, to jest głupi i sam nie wie, co gada... Pfe! pfe! nie spodziewałem się na wiel

możnego pana takie słowo! Nie! Po pierwszego, jeżeli wypadek, jaki ja miałem, jest taki bardzo prosty interes, to zapytam się: dlaczego moja dawna kobyła nie zawiozła smolarza do nas, ku Wólce, nie zaciągnęła jego w bagna pod Żabimftrodem, albo w jezioro?

.Powiada pan,' że smolarz nie spał... Ny, gdzie jest na to świadki, że on nie spał? A choćby nawet i byli świadki, to jakim sposobem mogli wiedzieć, że on nie spał, kiedy była ciemna noc i nie tylko ludzkiego oka, ale nawet całego • człowieka nie można było zobaczyć... Teraz pytam się pana, który to żyd w drodze nie śpi? Każdy śpi, bo co ma robić?

Naprzód trochę rachuje, potem trochę myśli, a potem trochę śpi.

I smolarz też spał, tymczasem widzieli go żydki rybaczkowskie, jak jechał do Czarnorudy całkiem żywy i zdrów.

Po drugiego, wielmożnemu panu się zdaje, że koń to jest koń. Pyta się pan: a co jest? Niedość, że po wierzchu on jest koń, że ma wielki łeb, cztery nogi, ogon, ale zgadnij pan dobrodziej, co w nim w.e środku jest? Powiada pan, że wiadomo, co w koniu jest. Cha! cha! to jest dziwne gadanie, dalibóg! W koniu siedzi ludzka dusza za karę. Pan nie wie? No, to ja panu powiem: były takie dusze, co siedziały

w gołębiach, w rybach, w kurach; są i takie, co w koniach siedzą.

W tej łysej kobyłce, co ją niewiadomo po co sprzedałem, była jakaś spokojna dusza, bez fa- naberyi, bez grymasów... taka sobie prosta, ordynaryjna dusza.

Pan się znowu śmieje... Dalibóg, niema się co śmiać. Jak ja dropiatego kupiłem, jak go zaprząłem, jak on zaczął wierzgać i brykać, to myślałem, że w nim, bez urazy wielmożnego pana, siedzi szlachecka dusza. Nawet ja się z tego cieszyłem, bo choć taka dusza bryka, ma swoje fanaberye i lubi wierzgnąć, ale jak jej jeść nie dać, a ścisnąć ją dobrze, to już nic nie gada i ciągnie jak wół.

Niech wielmożny pan nie dziękuje mi za komplement, bo to nie jest komplement, tylko prawda. My, żydki, znamy się na tym interesie, ale w dropiatym niema ani szlacheckiej, ani chłopskiej duszy; w nim siedzi jakiś wielki gałgan... może sam dyabeł. Ten znający człowiek w Rybaczkach wiedział, dlaczego pluł trzy razy, wiedział, dlaczego kazał mi go zaraz sprzedać!

Ja się posłucham. Ja mam żonę, mam dzieci, chciałbym jeszcze żyć, choćby i dla wielmożnego pana, bo ktoby panu przywiózł sprawunki bez pieniędzy i pieniądze bez towaru?

Gdzie pan każe złożyć sprawunki? pewnie zanieść do kancelaryi — a oto pieniądze od Wigdora. Niech się wielmożnemu panu zdaje, że te pieniądze to jest woda wyciśnięta z karmienia. Spróbuj pan wodę z kamienia wycisnąć— ja potrafiłem zrobić tę sztukę! Ja nie lubię się chwalić, ale ja dużo sztuk potrafię; a przez co? Przezr to, że mam głowę. Widgor nie dużo sobie pbrachował—całkiem 5 na miesiąc. On twardy jest, ale on teraz syna żeni, on potrzebuje mieć dla niego posag. Pojutrze ja znowuż jadę na jarmark, sprzedam tego gałgana dropiatego, bo w nim siedzi cały Haman! On mnie może (nie w złą godzinę powiedzieć) w gorszy jeszcze interes wprowadzić, a ja nie chcę...

Tymczasem kłaniam panu; proszę o kwitek na dwa garnce okowity... Pyta pan, na co? Do smarowania... Mówi pan, że to trochę za dużo... Ja miarkuję, że nie... Mam całkiem stłuczone ramię. Oj! to była straszna noc; wierz mi pan dobrodziej, że nie chciałbym próbować takiej drugiej, choćby mi pan dawał nawet całą beczkę okowity!...

NIEDZIELA,  
Monolog pana majstra.

ono! ja ci powiadam sprawiedliwie; postaw miotłę w kącie i awantur nie "rób, bo wiesz ty, która godzina?! akurat druga po północy... słowo honoru...- Jak to czas prędko idzie; zdaje się, że dopiero co wyszedłem z domu...

Mówisz, że jestem stary pijak... Kobieto! upamiętaj się, bo kłamiesz dwa razy — od razu dwa razy... jak cię kocham. Nie jestem stary, bo mam dopiero lat... niech je tam! ile mam, to mam, moje własne, nikomu nie ukradłem — a pijak też nie jestem, tylko mi trochę we łbie zaczmerzało. Człowiek nie święty... bo żeby był święty, toby nie siedział w warsztacie, tylko w niebie...

Józiu, żono, kochanie, nie urągaj!... miotłę odstaw, ja nie taki... Mam dla ciebie coś...

Pić, piłem — nie zapieram się, ale «o tobie pamiętałem... Aha! ciekawaś? Poęzekaj... dam, nie bój się — tylko posłuchaj... Wiesz, co dziś jest? Niedziela... Rano poszedłem do felczera, żeby mi gębę oskrobał do czysta... bo to niedziela; potem byłem w kościele, ma się rozumieć — przecież niedziela; potem poszliśmy na flaki... Juściż, wiesz dobrze, Józiu, żono kochana, że niedziela bez flaków nie znaczy nawet tyle, co piątek... Był Ignacy, Józef, Michał i Antoni, ja piąty... Ten kolejkę, drugi kolejkę, każdy kolejkę, ja kolejkę: po pięć gorzkich, flaki swoją drogą, po pięć piwa, a Antoni' zaczął przyśpiewywać: „Jeszcze raz, ptaszku mój, jeszcze raz!” Zdrowy chłop i porządny człowiek... Jeszcze raz, to jeszcze raz... Był Ignacy, Józef, Michał i Antoni... ja piąty. Ten kolejkę, ten kolejkę, każdy kolejkę, ja kolejkę — i było znowuż po pięć... a Józef się rozochocił, powiada: Jedźmy, chłopcy, na Kępę! Dobra!”

Józiu, mówię ci, nie urągaj, miotłę odstaw. Widzisz, co ci przyniosłem?... patrz, flaszczyka..., malinowa, z Kępy... honorowe słowo ci daję! Widzisz, ja nie jestem taki... Kępa żoną, a żona kępą... to jest... chciałem powiedzieć: kępa kępą, a żona żoną... Żeby ja nie wiem gdzie był, zawsze o tobie myślę... A co? cacy wódzia?! Malinowa, honorowe słowo ci daję... Jeszcze raz, Józiu, kochanie... jeszcze raz!

Chcesz wiedzieć, jak było?' Żałuj, żeś nie widziała... Był Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja. Karuzela... Posiadaliśmy na konie i do pierścieni—jazda! Ja miałem takie szczęście... co moment: „partya! partya!” Powiadam ci, grałem jak z nut... niech się Modrzejewska schowa! aż ten od karuzeli kięciciel za łeb się złapał... Powiada: „Dwadzieścia cztery lata już kręcę, na Kępie kręcę, na Ujazdowie—powiada— kręcę, na Bielanach kręcę... a jeszcze takiej zgrabności nie widziałem.” Jak cię kocham, Józiu, nie łżę! Był Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja... Ten kolejkę\* tamten kolejkę, każdy kolejkę, ja kolejkę, wszyscy kolejkę... Pamiętam, że na moim zegarku była czwarta...

Ty, Józiu, kochanie, miotłę odstaw, a skosztuj jeszcze malinówki... anielski trunek...

Tedy, to było pod krzakiem, w trawie. Budzę się... księżyc, panie, świeci, wielki jak patelnia; słyszę: muzyka rżnie, tańczą... powiadam ci. Budzę się... wstaje Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja—wtem nadchodzi jeszcze Marcin, Stanisław i ten gruby Kuba z Dunaju, sąsiad... Ano — gadu, gadu... ten kolejkę, ten kolejkę... osiem kolejek... Ochota wzięła — poszliśmy tańcować...

Tylko, Józiu, kochanie, nie waryuj... Znam swój honor i z byle kim nie tańcowałem... Kompania była porządna — możesz się jutro

grubego Kuby spytać... Trochę mnie zmorzyło i już dalej nic nie wiem... Coś mi się przypomina, jakby krzaki... jakby Wisła, jakby, coś ciężkiego do łodzi nieśli... Może mnie... nie zakładam się, ale pewnie nie kogo, tylko mnie, bo pamiętam, że jakby mnie coś kołysało, a po gębie chłodzące przechodziło, jakby mnie kto dobrą brzytwą golił... Potem przemawiałem się z kimś... potem coś mi się majaczyło, jakbym niby komuś dał w łeb... potem jakby niby stojko wy, nie... zdaje się, dwóch stojkowych — jakby niby cyrkuł... i Kuba mnie tu przywiózł w dorożce, do bramy zadzwonił, drzwi mi pokazał i powiada: „Teraz sam idź, bo ja się' twojej żony boję." Widzisz, Józiu, on się ciebie boi, choć taki gruby chłop.

Ty, Józiu, kochanie, nie urągaj, miotłę odstaw... Zgrzeszyłem, w piersi się oto biję: moja wina! grzeszny jestem... Kto z nas sprawiedliwy?—... Boże miłosierny! kto sprawiedliwy?!... To> ci zaś, Józiu, kochanie moje, przyrzekam, że jeżeli mnie drugi raz pokusa weźmie, niby we-<sup>J</sup> dług Kępy... to pojedziemy oboje... Będzie Ignacy, Józef, Michał, Antoni — no i mv...

Pan fajertoajs o panaiąie.

Pan Fajerwajs, kapitalista mniejszego kalibru, ubrany po europejsku — nosi cylinder, ale zatraća trochę żargonem.

m

idziałem już dużo interesów: mądrych głupich, złych i dobrych, ale takiego złego i głupiego, jak Panama, nie widziałem jeszcze! Mogę na to dać słowo honoru, poręczyć solidarnie^ i dać nawet kaucyę, na moim domu, co ja go sobie nie dawno kupiłem na końcu Dzielnej ulicy. Śliczny dom, tylko tro-

chę daleko; ja lubię spacerować po Saskim ogrodzie, a nim przyjdę z domu, to już jestem bardzo przespacerowany. Uf! ja sobie potrzebuję usiąść w cukierni, kazać sobie podać moją j

- i\* gazetę i moją herbatę; dopiero wtenczas przez moje złote binokle czytam wiadomości

polityczne. Ja bardzo lubię czytać wiadomości polityczne, lubię wiedzieć, co się dzieje w świecie, jakie nowe szwindle ludzie potrzebowali wymyślić. Choć... niech mi kto powie, czy są na świecie nowe szwindle? Mnie się zdaje, że one wszystkie stare i wypraktykowane... Panama, powiadają, jest nowy szwindel. No, no, ja nie wiem, ale myślę, że koło morza Czerwonego też było trochę Panamy... Egipcianie stracili, a nasi żydki wyszli sobie suchą nogą z interesu. Drugi raz, już za mej pamięci, przy tem samem Czerwonem morzu zrobiła się sueska Panama; widać już takie miejsce szczęśliwe. I jak porządnie się zrobił każdy coś zyskał: akcyonaryusz miał swoją dywidendę, robotnicy zapłatę, inżynierowie i przedsiębiorcy cokolwiek dochodu, a zarząd! Aj, żebym ja miał choć pięć procent od tego, co miał tamten zarząd, to jabym nie siedział tu w Saskim ogrodzie... (Po chwili). Dlaczego 'nie miałbym tu siedzieć?! Owszem, właśniebym siedział, i z żonąbym siedział, i z córkąbym siedział, a hrabiowie tańcowałiby koło mnie, a kłaniali się do samej ziemi... a ja? Ja siedziałbym sobie, patrzył na nich z góry, bardzo z góry, paliłbym cygaro, prawdziwe trabucos za pięć kop. i pozwalałbym im, żeby oni powąchali cokolwiek ten dym. Ja nigdy nie żałuję; a jeżeli mogę komu co przyjemnego zrobić, to zrobię.

Ja wiem, że oni lubią tak... i owszem, niech używają...

Ta Panama spać mi nie daje... Próbowałem nawet perski proszek, ale nie pomogło. Wiodocznie albo proszek zwietrzały, albo Panama za mocna. Jak ja żałuję, że tam nie był, jak żałuję! a mogłem być, bardzo mogłem. Tak to zawsze, jak człowiek ma dużą i ładną rodzinę, najczęściej nie zna jej całej, dopiero jak się jaki ktoś stanie sławnym, jak go wsadzą do kryminału, albo rozeszła za nim listy gończe, człowiek dowiaduje się, że ten sławny i głośny jest mu blizki krewny... Z Hertzem Corneliuszem (on naprawdę miał na imię Kiel- man) byliśmy blizko skuzynowani przez jedną ciotkę, a z Artonem przez drugą ciotkę, a pana Eiffla babka i moja babka były rodzone siostry. Że ja o tem nie wiedziałem wcześniej! Przy takiej arystokracji zostałem sobie jak nic pa- namskim dyrektorem i obrabiałem ten interes nie tak, jak oni obrabiali—po głupiemu, ale po warszawsku. Jabym im pokazał, że można żyć porządnie i handlować i majątek zrobić, a w kozie wcale nie siedzieć. Ale trudno—już się stało, Panama popsuta, akcje nic nie warte, a głównie ci, co powinni teraz w pałacach mieszkać, mieszkają na francuskim Pawiaku, albo muszą się ukrywać przed policją. jak zwyczajni zbrodniarze... A co oni zawinili, na czym stoi ich grzech?—

nie byli zgrabni, nie mieli delikatności w robocie...

Pokazuje się, że ciężka ręka bywa zawsze niedobra.

My tu jesteśmy praktykowani ludzie... nie zrobilibyśmy takiej grubej fuszerki, a przecież mamy tu swoje Panamki. Choćby na przykład lombardy. Każdy lombard warszawski to jest wielka Panama na małą skalę, a przecież lom- bardniki w kozie nie siedzą, gazety o nich nie piszą... Wszystko jest dobrze, wszystko git, wszystko w porządku. Na co brać większy procent? Na co ludzi biednych obdzierać? lepiej być porządnym obywatelem i nie żądać więcej procentu jak  $i^{1/2}$  na miesiąc i 5% na miesiąc na koszt przechowania zastawu. To jest uczciwie i sumiennie; nikt lombardnikowi od panam- czyków nie wymyśla, bo za co? A cały kredyt warszawski czy też nie jest porządna Panama? ale porządna Panama, nie taka głupia jak francuska! Urządzona prześlicznie, tylko patrzeć i podziwiać. To już nie jeden kanał, ale cała kombinacja kanalików i przykanalików, z siecią rur, przez które wyciąga się cały dochód z najrozmaitszych ludzi, z całej Warszawy. Są instytucje bankowe; te dają pieniądze wielkim żydom na 6%, ci dają mniejszym na 12%, ci jeszcze mniejszym na 18%, a ci różnym łapserdakom na 24%. Łapserdak

puszcza je takim panom, co bardzo potrzebują, na 36%, 48%, a czasem na 60% — jak może. Tym sposobem jest doskonały ruch i doskonała kombinacja. Kto bierze ostatni—płaci procent łapserdakom, małym żydom, średnim, wielkim i nakoniec instytucyi. Niech-no mi Eiffel z dwoma Lessepsami, Reinachem i Artonem zrobią taką porządną Panamę! Nie ryzykuje się wiele, nie wykłada z kieszeni nic, a przekopuje się od razu setki tysięcy kieszeni i ciągnie z nich ruble, jak wodę.

Wierzcie mi państwo, ja nie jestem kosmopolita, ja kocham i proteguję wszystko, co krajowe, i ja mam rację.

Chwałą, że zagranicą wszystko jest lepsze, większe, mądrzejsze niż u nas,—ale to fałsz, to nieprawda. U nas wszystkie spekulacye są lepsze, każda specjalność wydoskonalona, doprowadzona do wielkiej akuracności — coś pi- kies fein...

Choćby na przykład ten mój dom na Dzielnej ulicy, co ja go nie dawno kupiłem, co to jest? Ktoby myślał, że dom, a to Panama, ale jaka Panama i ile razy Panama! On jest ładny domek, zbudowany bardzo delikatnie, wcale nie po grubijańsku, jak inni ludzie budują. On dał zaraz ładny dochód przy budowie. To, można powiedzieć, była taka ceglana, wapnia- na, drewniana, cementowa i blaszana Panama!

Ludzie trochę zarobili, a właściciel też taki sam był, jak i był...

Ten dom jest ładny dom. On mi się podobał... Ja w tym czasie zajmowałem się specjalnie stręczeniem domów, handlem, zamianą na majątki ziemskie, spekulacją. Otóż ten dom pierwszy właściciel chciał koniecznie zamienić na majątek ziemski. Sprzykrzyło mu się spokojne życie w Warszawie, chciał wsi. Postarałem się o majątek, śliczny kawałek gruntu, złoty piasek! Zrobiła się transakcja. Ja dostałem za pośrednictwem od jednego i od drugiego. W rok później szlachcicowi sprzykrzyło się siedzieć w Warszawie i zamierzył zamienić kamienicę na piasek. Posłał po mnie. Ja — i owszem, dlaczego nie? „Za ■ tydzień znajdę panu majątek i amatora na dom.” Zrobiła się transakcja. Mój dom znalazł trzeciego właściciela. Ja wziąłem swoje od jednej strony i od drugiej strony i było bardzo dobrze. Trzeci właściciel nie długo się cieszył domem; był w interesach, potrzebował pieniędzy... Wygodziłem mu parę razy — wpichałem się na hypotekę; bardzo dobrze. Jak się na hypotekę wchodzi, to się z niej nie prędko schodzi, chyba że się spadnie; ale ja nie głupi, potrafiłem się dobrze obsadzić. Po dwóch latach właściciel mego domu zobaczył, że nie ma już co robić w tym doinuu. Przyszedł do mnie po radę; ja

mu datem zgodnym sposobem, to jest nawet nie dałem, tylko obiecałem tysiąc... Później trochę wybrał to ratami. Puściliśmy przez, Towarzystwo—zrobiła się bardzo ładna licytacja; trochę długów lry potoczny eh spadło, ja zostałem właścicielem.

Niech potrafi taką sztukę który z panam- skich macherów! Ja wcale na kupno domu kapitału nie miałem. Spekulowałem, aby żyć, no, żyłem przyzwoicie, ale bez majątku, dopiero jak sfaktorowałem dom. trzy razy, to go kupiłem na własność.

Teraz ja jestem właścicielem domu, a poprzedni właściciel... trudni się faktorowaniem domów... tylko ta jest różnica pomiędzy nim a mną, że ja kupiłem sobie dom, a on nie ma za co kupić sobie butów...

To jest dopiero prawdziwa Panama!

MACIEK WIECHEĆ  
u DOKTORA.

juści, wielmożny konsyliarzu, dyc tak...

Jestem Maciej, ze wsi Kobiałka-Pusta, po przezwisku Wiecheć... Juści tak, gospodarz jestem obsiedziały, niby na swoim gruncie, ale tego gruntu, pożał się Boże, tyle co pies napłakał": trzy morgi i prętów pięćdziesiąt i znów półtorej morgi piachu pod borem — jeno co mnie kobyła ratuje, jako że się niby do fur- manków najmam... A juści, wielmożny konsyliarzu, żeniaty jestem sprawiedliwie; dziecisków, Bogu dziękować, je pięcioro, a czworo pomarło, zara z małości. Chorobów nijakich, ani słabościów nie znałem, zdrów zawdy byłem jak koń, jeno jakieśmy łońskiego roku kamienie do szosy zwozili, zdźwigałem się krzynkę i poczęło mnie w krzyżu strzykać, a zaraz potem

znowu, w zimie, to mnie kolki tu oto spierały (pokazuje na piersi), i ciągoty miałem, i dygotki i znów mnie w gorącość wrzucało, ale potem krzynkę ustąpiło i tera jeno mnie znów ziębi i łamanie po gnatach mam... Do jadła nie bardzo ja... choćby mi pszenne kluski ze słoniną dawali, choćby nie wiem co—ani w gębę! Do picia zato bardzom chciwy. Jak mi się w polu pić zachce, to do byle jakiego rowu przypadnę i piję, piję, nie przymierzając, jak koń. Powiada wielmożny konsyliarz, że musiałem się krzynkę przeziębic?... Zaziębic ja się nie zaziębilem, boć zawdy siaki taki kozuszyna je i przY robocie człowiekowi ciepło, jeno raz wleciałem het, ze łbem pod lód, kiele młyna i nim mnie młynar- czyki wyciągnęły, nim dowlokłem się do cha- łupy, nim ściągnąłem z siebie mokre odzienie, to niby mi było krzynkę zimno i zębami klekotałem jak bocian. A! wielmożny konsyliarz pyta, czy miałem jaką kurację? Niby czy mnie kto lekował? A juści, lekowali, lekowali dobre ludzie; jedno nadało, drugie nie nadało, a w ku- racyi byłem ciągiem. Jakie doktory? Po prawdzie, konsyliarzów nie szukałem, bo gdzie to ta u nas na wsi! Zanim się człowiek doczeka jar- marku, to i choróbsko całkiem zmoże, a naumyślnie według lekowania jechać, to i mitręga i koszt duży. I dziśbym ja, po pr. awdzie powiedziawszy, do wielmożnego konsyliarza nie

przyszedł, jeno raz, że jarmark, a po drugie, że mi nasz rządcą ze dwora naraił, żeby koniecznie być... to i przyszedłem, i oto dopraszam się łaski wielmożnego konsyliarza, żeby wielmożny konsyliarz dał co takiego, żeby albo na jedną, albo na drugą stronę; bo już mi się zmierziło to cherlanie, a najgorzej ono zimno i ból po gnatach... Ma być śmierć, niech będzie śmierć, jeśli taka wola Boga miłosiernego, a ma być lepiej, niechże będzie lepiej, bo podług gospodarskiej potrzeby, jak chłop zdrowia dobrego nie ma, to nawet tyle nie znaczy co baba...

Skoro wielmożny konsyliarz chce wiedzieć prawdę, jakie miałem lekovanie, to powiem zara. Jakem się przy onych kamieniach po- dźwigał, to jedna kobieta znająca powiedziała, że to musi nie co, jeno urok, albo zadanie i że trza odczynić. Odczyniła i okadziła mnie zieleń siedmiorakiem, ale nie bardzo to nadało. Później kowal nasz przyszedł i powiedział, że to musi nie co, jeno zła krew, a jak nie zła krew, to suchy ból, a jak nie suchy ból, to pewnikiem psotny wiater—niby zawianie. Tak oto, wielmożny konsyliarzu, wysmarował mnie psiem sadłem i kazał wypić trzy kieliszki wódki z pieprzem, trzy przez pieprzu i znowu trzy z tłustością i ukłaść się przy piecu i przykryć kozuchem... Ano, juści nie mogę powiedzieć—

Mo idogi.

krzynkę nadało. W gorącość mnie wrzuciło i przeleżałem tak dwa dni, a trzeciego dnia juzem trochę łąził i chociaż kole bydła obrządek uczyniłem, sieczki trochę narżnąłem, ale zawdy do swojej siły przyjść nie mogłem... Dopieroż moja kobieta poczęła z babami rajcować; raiły, raiły i przed chałupą i w karczmie i tak i siak, aż naraiły, żeby z trzeciej wsi kobietę jedną sprowadzić, co próbantka jest i znająca na wszystkie cztery , boki, a powiadają, że takie ma ślepie, co niemi widzi w człowieku, jak we śklance... Sprowadziły ona Walentowę, tak się niby ta baba zowie, i znów poczęły rajcować a rajcować, aż się wpakowały, niby do mnie, do izby, osiem babów i dziewięta dziewczka Jagna, ale ta bardziej z ciekawości niż do pomocy... Wpakowały się i powiadają niby do mnie: „Ot, nie bójta się, Macieju, wszystko bajki: wątroba się w was zruszyła i poszła tam, gdzie nie potrzeba; na- trząśniemy was krzynkę, postawimy garjiek na żywocie i na bez tydzień bęilzieta tańcowali se w wesołości serca i we zdrowiu dobrem. Ha, no, rzekłem, dobrze...

Wielmożny konsyliarz śmieje się... Ja wiem, że doktory powiadają, jako niema w chłopie takiej rzeczy, coby się zruszyła... i że jeno głupi naród se zmyśla... Ha, 110, siak czy tak, ludzie też się znają coś i wiedzą... Zaprowa-

działy mnie do stodoły, omotały nogi postronkiem, przerzuciły postronek przez belkę i dalej dugować w górę... Obwiesiły mnie za nogi; Walentowa natrzęchnęła mnie ze trzy razy i powiada: „Już!...” Aż mi we łbie zasumiało i w uszach poczęło dzwonić, jak na sumę. Zdjęły mnie... Ledwie dolazł do izby, zara wzięły garnek, ukrajały kawałeczek chleba, na wtykały w niego wióreczków, zapaliły, postawiły na żywocie, niby u mnie, i nakryły garnkiem. Juści ciągnęło, bo ciągnęło; myślałem, że chyba mnie całego i ze łbem w ony garnek wciągnie — i niby nadało trochę, jeno bez oparzenia żywota to nie było... jako że się on chleb z wiórkami przewrócił. Ale to bajki—przykładałem kapuściane liście... I jeszcze mnie potem wysmarowały het całego, i ekonom też od siebie kropli kobieckich przysłał, to zara zażyłem i prócz tego wódki z gorącą tłustością, z goździkami i z miodem, jako że niby tłustość goi, goździki grzeją, a miód przenika na wskroś... I baby też piły, jako że zawdy w kupie weselej i choremu rozrywka r jako że się zdźwigały, boć zawdy chłopca takiego jak ja na belkę, to, podług kobiecej siły, choć ich było ośm babów i, jako się rzekło, dziewczka dziewiąta, je ciężko... Po onem natrzęśnięciu, wielmożny konsylijarzu, leżałem znów musi bez cały tydzień, ale później

podniosłem się i niby krzynekę byłem lepszy, snać ona wątroba wlaźła na swoje miejsce... Tymczasem pojechałem oto ze zbożem do młyna i wpadłem w przerębel... Już to od tego czasu nie jestem jak trzeba; coraz to ciągoty, to dygotki, to łamanie, to po kościach bolenie, to kolki...

Et, co też znów pan konsyliarz chce?! Gdzieżbym ja takiemu panu znacznemu jęzor miał pokazywać! a dyć to nie pasuje... Ale... proszę wielmożnego pana... No, już skoro tak koniecznie... ale co nie pasuje, to nie pasuje...

Po doktorsku lewowany też byłem... Gdzie? Ano, juści na naszym jarmarku... Akuratnie wtedy gadzinów dwoje sprzedałem i cztery worki kartofli i naraili mi iść do Berka, niby do felczera. Zerznął mnie bańkami okrutnie i jakieści lekarstwo we flaszczyce dał... niby do picia... Piłem, ale nie wieleć i to nadało... Powiedział Berek później, coś we dwa tygodnie, że jedna choroba ze mnie wylazła, a druga zaś wlaźła... i że ta druga, to niby je frybra łamana i trzęsiona. Lichoć go ta wie, może i frybra... Chciał mi proszki dać, ale nie wziąłem, bo się bestya okrutnie drożył, sam już nie wiedział, co chcieć za nie: i pieniędzy, i kaptofli i kurę... Powiedziałem mu, żeby sobie sam zjadł swoje proszki, kiej takie kosztowne...

Już taki jak dostanie gospodarza do ręki, toby z niego żyły wszystkie chciał wypruć.

A na tę frybrę, wielmożny konsylijarzu, też lekowany byłem... a jakże... Ekonomowa, bardzo dobra kobieta ona jest, dała mi taką karteczkę, żebym niby nosił kiele siebie, to od tego frybrę zgubię do dwóch tygodni — i byłbym może ozdrowiał, ale zgubiłem on karte- 1 uszek, a ekonomowa drugiego nie miała, bo i sama dostała też kiedyś tam od kogoś znającego... Różne mi różności raili, i zioła suszone trojaki we wódce, i gotowane pod szpuntem, do picia przed wschodem słońca i po zachodzie słońca, i zamawiali i okadzali, i jeden żyd doradzał, żeby niby choć dwa razy w tydzień raka złapać, ugotować, na miazgę w stepie potłuc i jeść—próbowałem. A drugi zasie żyd rail, żeby nie raka, jeno oczy rakowe, a prawdziwie nie oczy, tylko te białe kamyczki, co w raku są, potłuc na proszek i w wódce pić—i to próbowałem... To znowu kazali miętę z piołunem pić—piło się; to zaś owczarz ze dwora, też znający człowiek, psi proszek mi dał... I jedno nadało, drugie nie nadało, a zawsze jakoś te ciągotki mam i dy- gotki mam, i w gorącość mnie wrzuca i po kościach precz łązi...

Wielmożny konsyliarz powiada, żeby głupim nie być i babów nie słuchać. A juści, żebym ja zdrowie jeno miał, tobym nie słuchał, ale tak, to się człowiek ratuje, jak mogąc...

To niby z tą karteczką do apteki i będzie sześć proszków... i kwaśnego nie jeść' i tego nie i tego nie... Ano, dobrze, abym jeno spamiętał... I za dwa tygodnie znów tu przyjsć. Ha... jak trzeba, to się przyjdzie... '-Niech będzie pochwalony...

Ale, jeszcze się chciałem dokumentnie o jedno wielmożnego konsyliarza zapytać... A juści, niby czy te proszki mają być na lekką śmierć? Olaboga! a dyć co miałem zwaryować!? Nie zwaryowałem, jeno się pytam, bo doktorskie proszki zawdy niby od tego są... Ja się ta nie boję... Jak skoro trzeba umrzeć,, to trzeba, skoro taka wola Boga miłosiernego i skoro tak ma być... Niech się wielmożny konsyliarz nie obraża: chłop od tego jest, żeby orał, a konsyliarze, żeby śmiertelne proszki dawali. A sko- robym wyzdrowiał, to też o wielmożnym panu nie zapomnę; znajdzie się jeszcze u mnie i garnuszek miodu i osełka masła i kurczęcina jaka... to się, "aby we zdrowiu dobrem, wielmożnemu konsyliarzowi przyniesie...

W  
BIAŁY KOISŁ.

ielmożny panie dziedzicu, to jest krótkie ^ gadanie... Ja sobie jestem człowiek uczciwy, paclciarz; ja handluję z mlekiem, z serem, z maślanką; u mnie się i masło zdybie, i kurczęta, i kaczkę, i jajki—wiadomo panu, jak w takim interesie pachciarskim... Kupię też czasem cielę, czasem barana, czasem trochę skórek; pojedę za dworskim interesem do miasta, załatwię sprawunki, jak pachciarz... aby żyć, aby handel szedł...

Ja wyjechałem, temu tydzień, do miasta na targ; wyjechałem sobie na noc, żeby jechać po chłodzie, pomaleńku, bo mój towar jest delikatny, nie lubi prędkości... Pogoda była; mój koń szedł pomaleńku, ja siedziałem na turze. Myślałem sobie o różnych interesach, robiłem

swoje rachunki. Zaraz za Wólką dogoniła mnie fura; zaprzężony był do niej koń Jankla Kacza, siwy koń z obdartym bokiem, co jego cała okolica zna. Jankiel Kat zjechał i jeszcze pięciu żydków, samych młodziaków... Ja ich znam, ja wiem, że oni się niczem dobrem nie trudnią, i wiem, że to, czem się oni trudnią, nie jest nic dobrego, ale co mnie do tego? Niech oni robią, co chcą... Oni mnie dogonili, zagadali parę kilka słów; pytali, czy do miasta jadę, czy mam dużo towaru do sprzedania,—aby gadać... Ja im powiedziałem, że jadę sobie do miasta, że mam, Bogu dziękować, trochę towaru, i że na to kura grzebie, żeby miała ziarnko. Oni się śmieli, oni mówili, że kura głupia jest... Dlaczego głupia? — Dlatego, że szuka ziarnka w śmieciach, zamiast iść do śpichrza, gdzie ziarna leżą w wielkiej gromadzie... #

Śmieli się i Jankiel Katz się śmiał; wyminęli moją furę i pojechali bardzo ostro. Ja zostałem w tyle i myślałem sobie o tej kurze... Oni gadali mądrze; po co w śmieciach szukać tego jednego ziarnka, co może tam jest, a może wcale nie jest, kiedy w śpichrze leży cała fura gotowego ziarna? To jest mądre słowo, ale ja miarkowałem, że ta mądrość jest trochę niedobrego gatunku i... że dużo takich mądrych siedzi sobie w kryminale... Myślałem

0 tern i usnąłem. Obudziłem się koło karczmy na Wygodzie; mój koń stanął... On ma swoje stacye przy każdej karczynie, bo kupiony jest od takiego chłopa, który jeszcze w swoim życiu żadnej karczmy nie ominął... Przebudziłem się, patrzę—Jankla Katza koń z wasągiein też stoi. Dałem mojemu koniowi siana. Wchodzę trochę do karczmy, do arendarza (on się Josef Pejsak nazywa i trochę nawet mój krewny jest...) wchodzę do karczmy, a tam gwałt... jak na jarmarku. Josef krzyczy, Josfowa krzyczy, Jankiel Katz i te pięć szajgeców krzyczą i sześć gęsiów też krzyczy...

— Co jest? — pytam się — co jest?

Jeden szajgec powiada:

— Sprzedajemy gęsi...

— Skąd wy macie gęsi, kiedy ja widziałem, że wasz wóz pusty był?...

A szajgec powiada:

— Panie pachciarz, wy patrzcie swoje mleko i swój ser i swoje cielę, co na furze, bo wam mogą przypadkiem zginąć...

On przytem popatrzył takim okiem, co od razu zrozumiałem, że lepiej nie być ciekawym i nie dopytywać o gęsi... Gęś jest gęś, a ja nie jestem wójt, ani sołtys, żebym miał kogo zaczepiać. Oj, proszę wielmożnego dziedzica, teraz jest taki świat, że najlepiej pilnować swego interesu i swoich drzwi, nie trzeba nic

widzieć, ani słyszeć, bo niewiadomo z czego może się brzydki trafunek trafić...

Krótko mówiąc, targ był skończony, gęsi sprzedane, a Jankiel Katz i jego pasażery napili się- dobrej gorzałki, zapalili dobre cygara, po trojaka, i pojechali z wielkim turkotem. Choć Pejsak jest trochę mój krewny, ja go wcale nie zaczepiałem o te gęsi i on widać też się nie chciał chwalić swoim handlem, bo nic nie mówił, tylko obudził syna, kazał mu zaprządz do biedki i zaraz duchem zawieźć te sześć gęsi do rzezaka... Nie minął jeszcze kwadrans czasu, to już pejsakowa biedka turkotała po drodze... Ja się dziwiłem, na co taki pośpiech, ale nie gadałem nic. Na co ja miałem gadać? Ja sam byłem kontent, że mnie o nic nie pytają.

Tymczasem mój koń się napasł—zjadł całą wiązkę siana—napoiłem go i odjechałem. Josef mi na drogę dał radę; powiedział: „Wy się nie śpieszcie, Boruch; nie doganiajcie tych szajgeców, lepiej niech oni jadą osobno. Wasz interes nie pasuje do ich interesu, oni się lubią weselić, czasem zrobić jaką awanturę, co wam po tem? wy stateczny człowiek; wy sobie pachciarz, wasza zabawka mleko i cielęta.”

Josef miał rację; ja posłuchałem, ja nie śpieszyłem. Tymczasem, wielmożny panie, co się uzije? Ja przyjeżdżam do Brzozowa. Jankla

Hiały koi).

127

fura stoi przed karczmą; stoi też fura jednego gospodarza z Brzozowej Woli... bułany koń, wart najmniej sto pięćdziesiąt rubli... Chłopa przy furze niema; zwyczajnie jak chłop—woli siedzieć w karczmie, niż przy wozie. Z tych pięciu szajgeców jeden stał koło karczmy przy oknie, drugi leżał na furze, a trzech siedziało pod studnią. Ja myślę sobie, że Josef próżno nie gadał, żeby z nimi kompanii nie trzymać, więc nie stałem nawet dziesięć minut — pojechałem w drogę dalej... Tylko wjechałem w te krzaczki, co się za Brzozowem zaczynają, słyszysz wielki galop... Przeleciał ktoś koło mnie na bułanym koniu... Kto? Co mi do tego?

\$ "

O-

Niech sobie leci, niech szyję złamie, kiedy mu tak pilno... Zaraz potem, bardzo niedługo, słucham, znów wielki galop; pędzą na koniach chłopcy, może sześć, może osiem, krzyczą: „Trzymaj... trzymaj!” Akurat, ja głupi trzymać, niech oni trzymają rozpalone żelazo w garści... Odjechałem trochę na bok... oni przelecieli. Gdzie? Albo ja wiem? ciemno... Ale byłem trochę ciekawy... zawsze to jest nie mały interes: ten bułany koń, na moje oko, sto pięćdziesiąt rubli jest wart... Popędziłem konia, słyszę gwałt, krzyk, bitwa, cała 'awantura... Wjechałem w sam środek awantury... Chłopy już mają bułanego konia i mają szajgeca... Oj, wielmożny dziedzicu, co oni jemu nabili... takie chamy!

Ręce mają jak z żelaza. Pfe! Na co z nimi wojować? Ja zamknąłem oczy, zatkałem uszy, ja chciałem zaraz jechać dalej... Nie lubię patrzeć, jak kogo boli, nie lubię, jak kogo biją... Niech naszych wrogów biją... Chcę jechać, tymczasem chłopci nie puszczają...

- Boruch — powiadają, — zwracaj, będziesz świadek.

— Na co mam być świadek? Ja nic nie widziałem, mnie pilna na targ... Wiecie, że teraz noc: ja, Bogu dzięki, nie jestem sowa, żeby widział po nocy!

Chłopcy wołają:

— Jak nie chcesz dobrowolnie, to pojedziesz gwałtem.

Ja mam taką naturę, że gwałtów nie lubię; zawróciłem dobrowolnie.

— Czekajcie-no, Boruch, włożymy wam na furę cielę...

Oni włożyli mi ładne ciele—skrępowanego szajgeca! Nie mogłem słuchać, jak on jęczał; mnie serce bolało, a on tak ciągle jęczał po żydowsku:

— Oj, oj, reb Boruch, mnie bardzo koło lewej kieszeni boli, mnie tam gniecie; wyjmijcie wy z kieszeni co jest i rzućcie w rów... żeby chłopcy nie widzieli...

Ja wyjąłem... Pyta się pan, co tam było? Albo ja wiem? Jakieś żelazne instrumenty... Puściłem to w rów — chłopci nie słyszeli.

Przyjechaliśmy do Brzozowa, prosto do gminy, do wójta. Jadąc koło karczmy, zobaczyłem, że Jankla Katza fura jest bez konia... •No, no, myślę sobie, dobrze, że choć moja fura jest z koniem. Widać teraz na konie niedobre powietrze jest...—Wójta akurat nie było, tylko pisarz. Jemu się bardzo spać chciało, co się nie dziwić—sama noc, pierwsza godzina... Pisarz kazał młodego żydka zamknąć do kozy i postawić wartę, a bułanego konia zamknąć do obórki i postawić dwie warty.

— A co ze mną — mówię — będzie, panie pisarzu? Mnie się śpieszy na targ...

— Nie bójcie się — powiada; — poczekajcie do rana, tylko się napisze protokół i możecie sobie jechać, gdzie wam się podoba; przecież wy nie złodziej, tylko świadek... Teraz — powiada—nie mogę pisać, bo mnie mocno głowa boli (ja wiem, on bardzo lubi herbatę z arakiem), a po drugie — powiada — mnie braknie nafty, nie mam przy czym pisać.

Ja dałem słowo, że poczekam do rana. Zajechałem przed karczmę, dałem koniowi siana, sam położyłem się na furze i chciałem spać. Nie mogłem... tyle miałem zmartwienia tej nocy... więc słuchałem, co się dzieje. Najpierw

Monologi,

ci chłopci, co złapali szajgeca, pili sobie na uciechę, że im się tak dobrze udało; gospodarz z Brzozowej Woli, ten, co jego bułany koń, fundował. Dobrze chłopci pili i prędko pili i poszli spać... Ja też cokolwiek sobie zdrzemnąłem, ale uważałem, że koło pustej swojej fury chodzi Jankiel Katz i kilku szajgeców, że oni coś gadają, że ciągle słysząc „Abuś, Abuś...” właśnie ten, co w kozie siedział, miał na imię akurat Abuś. Ja już zasypiałem, tymczasem Jankiel Katz trąca mnie w bok i powiada:

— Słuchajcie-no, Boruch, wy macie dobrze pamiętać, że dzisiejsza noc to jest bardzo ciemna noc. Jak wy to dobrze sobie zapamiętacie, to wam nigdy nic z fury nie zginie, ja wam za to zaręczam.

Dlaczego ja nie miałem przyjąć takie pewne zaręczenie? Jankiel Katz jest bardzo słowny człowiek, on nie Oszuka... Przyjąłem... powiedziałem:

— Słuchajcie, Janklu, już dużo lat żyję na świecie, a jeszcze takiej ciemnej nocy, jak dzisiejsza, nie widziałem...

Nie darmo ludzie mówią, że dla mądrej głowy dosyć jest pałką w łeb. Ja byłem już zmęczony—zasnąłem naprawdę. Obudziłem się, jak słońce dobrze plecy mi przypiekło. Wołają do wójta, ma być protokół; dobrze, niech sobie będzie protokół. Ja idę śmiało, nie boję się,—

czego mam się bać? za co? Najpierw piszą całe „megile,” jak gonili, jak złapali bułanego konia, a na nim Abusia Gelbwassera... Pytają się mnie:

— Czy widziałeś, jak Abuś jechał na bułanym koniu?

Ja mówię:

— Ktoś jechał na koniu, ale noc była ciemna... ani człowieka, ani konia nie mogłem poznać... Widziałem tylko, że koń był pod spodem, a człowiek na wierzchu.

Zapisali moje słowo. Pytają chłopów—oni wszyscy chcą przysięgać, że koń był bułany. Okropnie-bo chłop prędko do przysięgania.— jabym się bał. Pytają Abusia:

— Tyś ukradł bułanego konia?

On powiada:

— Panie wójcie, to jest rozbójstwo! Ja mam połamane ręce i nogi, ja jestem pokrwawiony, ja jestem chory, ja jestem zabity. Te chłopcy mnie zamordowali, ja żądam protokół.

Wójt pyta go znów, dlaczego on ukradł bułanego konia, na którym go złapali? Abuś zaczął krzyczeć: Gwałtu! On w swoim życiu bułanego konia nie widział, on nawet nie rozumie, jaka to jest maść; on jechał na białym koniu, z obdartym bokiem; tego konia zna cała okolica, to jest koń Jankla Katza, który może poświadczyć, że go w pilnym interesie

pożyczył. Chłopi wrzeszczą, że Abuś kłamie, że koń, na którym go złapali, jest zamknięty w obórcie przy kancelaryi... Wójt każe przyprowadzić tego konia—idą wszyscy na podwórze, wójt idzie i ja idę. Otwierają obórkę ' i wyprowadzają... wielkiego białego konia z obdartym bokiem! Jankla Katza koń, biały jak perkal; kto go nie zna? Chłop z Brzozowej Woli przeciera sobie oczy, jakby ze spania, i pyta:

— Gdzie mój bułany koń? Wójt też pyta:

— Gdzie jest bułany koń?

— No, gdzie on ma być? Chłop się upił, zdawało mu się, że już jest w domu i wyprzągnął konia... a koń pewnie nie był pijany i poleciał do domu. On pewnie w Brzozowej Woli jest— woła Abuś; — niech pan wójt poszle to sprawdzić i każe pisać protokół, bo ja chcę mojej krzywdy dochodzić sędownie. Czy wolno złapać człowieka na gładkiej drodze, ściągnąć go z konia, zbić, zakrwawić, związać, całą noc w zamknięciu trzymać? Ja — powiada Abuś — chcę protokół, ja zaskarżę tych chłopów, oni za moją krzywdę tysiącami zapłacą...

Chłopi zaczęli spoglądać jeden na drugiego i drapać się po głowach, a Jankiel Katz przysunął się do jednego i powiada mu na ucho:

— Wojciechu, ja wam radzę, wy się z tym żydkiem pogódźcie, bo on was może zgubić... on was całkiem zgubi, jak zaskarży o rozbój...

Chłopi zaczęli między sobą radzić; radzą, a tymczasem wójt posłał do Woli, żeby sprawdzić, czy bułany koń jest. Niedaleko, wiorsta drogi. Za półgodziny przyprowadzili butan ego... Wójt pyta:

— Gdzie był?

— Był na pastwisku.

To już było całkiem jasno, że Abuś miał krzywdę. Zaczął wójt pytać mnie, jak to było: na jakim koniu Abuś uciekał? Ja powiadam:

— Panie wójcie, już trzydzieści dwa lata jestem pachciarzem, jeżdżę z mlekiem, z cielętami, z różnym delikatnym towarem po nocach, ale takiej ciemnej nocy, jak dzisiejsza, ja jeszcze w życiu mojem nie widziałem... Pyta się pan wójt, co ja wiem? Ja to wiem, że nic nie wiem; naprawdę, nawet nie wiem, po czemu dziś masło, bo mnie tu zatrzymali i nie byłem na targu: ja jestem grubo stratny na tym interesie.

Abuś wrzeszczy o protokół, Jankiel radzi zgodę. Pisarz, sam pisarz powiada, że lepsza będzie zgoda... Więc wszyscy poszli do karczmy godzić się. Ja też poszedłem — raz, że byłem ciekawy, jak się ten kram skończy, a po drugie, że i mnie się należało coś przy tym

interesie zarobić. Przecież spóźniłem się na targ, byłem dużo stratny. Klektali do samego wieczora, nareszcie skończyli. Jak skończyli i chłopci odeszli, to się zrobił znów obrachunek. Mnie Jankiel Katz dał cztery ruble papierkami i pół rubla miedzią i powiedział to słowo:

— Wy sobie pamiętajcie, Boruch, że noc zawsze jest ciemna i że ten koń, co się w nocy zdawał bułany, w dzień może być biały jak perkal, jeżeli się zgrabnie koło tego interesu zakręcić.

Ja to pamiętam, ja będę pamiętał; dlaczego nie mam pamiętać? Mądre słowo to jest jak list zastawny — czasem można od niego odciąć kupon.

Niepocieszonij

«

Wojtek.

Rzec', dzieje się w karczmie. Wojtek siedzi przy stole zapłakany, z głową wspartą na rękach. J! pochowali ci ją, jagodę, Magdusię moją, pochowali! Zasyпали ziemią niebogę, a ja sam zostałem na tym świecie. Sierota! Sam jeden, jak kołek w płocie, zgorzkniały, jako ten chrzan, co w polu rośnie... Oj, dolo, dolo moja! Jak tu żyć na świecie przez kochania, przez jadła i przez opierunku!. Ni się z kim przemówić, przekomarzyć... ni... ni nic. Psu lepiej żyć na świecie, niż mnie, sierocie biednemu! Powiadacie, Mošku: „trza wypić”—i wy kumie, Piętrzę, mówicie, że potrza, i wy, stryj- no JagaJto, rzekliście: „napij się, Wojtusi...” Ha, dajcie Mošku kwartę! Niech ta! Robak we człowieku siedzi i wierci, a w chałupie

dziecisków troje! a w obórce ogonów pięcioro! a w chlewie gadziny, dwie i wieprzak; a lnu dwa zagonki, a konopi zagon i to wszystko nic nie gada, jeno lamentuje i płacze: „niema naszej gosposi! niema naszej gosposi! a kto nam żreć da? kto nam pod gębę podetka? kto nas, sierotki biedne, napoi, nakarmi, wydoi?” Jedno ci ryczy, drugie piszczy, inne kwiczy, a po mnie żałość chodzi, niby ból po kościach.

Oj, kumie, kumie, sprawiedliwie powiadacie, jako nic nie rozłączy męża od żony, jedno rydel a motyka; rozłączyła mnie ona z Magdusią moją, rozłączyła! A żyliśmy we zgodzie i sprawiedliwości, jako mąż z żoną. Bywało, żem ją nieraz zeprał na kwaśne jabłko, bo od tego męzowskie prawo, ale zawdy z kochaniem to prawo było, bom jej nigdy ani zęba nie wybił, ani oka nie naruszył, ani najmniejszego gnatka w niej nie przetrącił... I ona, chudziaczka, bywało nieraz, jakim się, na to mówiący, w karczmie upił, to ona, chudziaczka, chociaż i przy ludziach, nic nie pyta, jeno z pazurami do mnie, jak kocica, i nieraz mi się wpiła we włosy jak, nie przykładając, kleszcz w owcę, albo żypie w bydlęcy ogon... Mocna to kobieta była i na grosz chytra i w kochaniu zawzięta. „Ślepię ci—powiada,—Wojtku, wydrę, gębę ci podrapię, cały łeb z wełny oskubię, jak się będziesz upijał i grosz po karczmach

Niepocieszony Wojtek.

141

tracił." Inny ksiądz z ambony tak dokumentnie nie przetłómaczył, jak ona; a niechnoby zaś kto na mnie co powiedział, oj, dałaby mu ducha, nie zważając na osobę... Niema cię, Magdus moja, oj, niema, a ja przez ciebie sierota i jako kaleka przez ręki i przez nogi, a sprawiedliwie to i przeze łba, bo ani ja chodu, ani ja roboty, ani pomysłu żadnego (plącze). Powiadacie, Janowa: „nie płacz, Wojtek...” a juści, nie mam płakać! A kto mnie, biedakowi, i dzieciom moim, sierotkom, jeść ugotuje? kto krowiny wydoi? kto gadzinie zielska usie-ka? kto kiele chałupy? kto kiele ogrodu? kto naprzędzie? kto utka? kto uszyje? kto do pielenia? do grabi? do sierpa? do motyki? do pieca wylepienia, do izby wybielenia, do chleba upieczenia? kto w żarnach zmiele? kto podsieje? kto barszczu nakwasi? kartofli naobiera? kto kiele kapusty? kto len zbierze, kto go wymoczy, wysuszy, wymiędli? Już mnie chyba albo do lasu pójść z postronkiem... albo grzdykę sobie kosą poderżnąć, albo we wodę skoczyć, albo też sobie śmierć zrobić! (Po chwili). Grzech, powiadacie, kumie a juści grzech. Panie miłosierny, odpuść... Powiadacie, kumo, że babów na świecie dość — toć prawda... Dziewki łążą po świecie jak muchy, a każda za chłopem jak za miodem; dość niby się wstjda, a żeby jeno palcem kiwnąć, to już się do wesela

sposobi... Prawda i to, ale jak koń koniowi, tak baba babie nie równa. Insza będzie insza, a insza znowu inaksza, zaś mało która jak się patrzy...

Ej! Mošku! jeszcze dajcie kwartę, bo już z tej żałości w gardle zaschło i język zdębiał jak podeszew... Pijcie, kumowie, krewne i przyjaciele, na zdrowie, pijcie, nie żałujcie, niech ta nieboszczka wie, żeśmy ją sprawiedliwie opłakali, żeśmy ją nie suchą gębą wspominali.  
{Po pauzie}.

Janowa mówi, że niby Zośka Pędraczanka... Juści, niby krów będzie miała dwie i gruntu po ojcach ze cztery morgi... Nie, nie chcę! Latawica jest i zęby szczyrzy, Jak szkapa na pastwisku. Nie chcę ja takiej... Wałkowa zaś, po Wałku Dzieciole wdowa, kobieta letnia, na matkęby mi prędzej pasowała... Juści ta podobniejsza niż Zośka, bo jej grunt alcuratnie przy moim, a ta łączka jej, co klinem w dworskie wchodzi, to już do nocnego szkapy pasienia jak na urząd dowodna... Pytacie tedy-- „i czegoj?” a juści „czegoj?” Toć synów ma 1 trzech, mało ode mnie młodszych, a choć po ojcu grunt już wzięli, o matczyne życie nie byłbym pewny... Nie namawiajcie: na wszystko- bym przystał, na lata — bajki, baba nie koń, nikt jej w zęby nie-będzie zaglądał; na urodę—

też bajki, juścić jej pewnie z pięćdziesiąt patrzy, ale babsko obsadne jak dzieża, za dwie młode podzwignie; że krzynekę napija, to też bajki; spralbyłbym rzetelnie raz i drugi—oduczyla-by się; jeno już tych synalków nie chcę. Juści ożenić się trzeba, ale skoro mój taki los, to zawdy wolę z jedną babą ślub wziąć, niżli z trzema chłopami... Oj, Magdusiu, moja Magdusiu! bez co że ty pomarłaś i bez co na taki czas pomarłaś, kiedy właśnie robota największa w polu i w ogrodzie i kiele chałupy! Z sercem bolejącem i z żalości dusznej, po sprawiedliwości,- jako oto przy tej kwarcie siedzimy, do- praszam się grzeczności waszej, kumie Janie, i waszej, kumie Piętrzę, idźta zaraz dziś z flaszką do Grochala Marcina, gospodarza naszego i sąsiada. Ma ci on córkę Baškę, niechże mi ją podług stanu małżeńskiego za żonę da—i żeby zaraz w niedzielę zapowiedzi wyjść mogły, bo już mi się ckni z onej żalości dusznej i podług dobytku opatrzenia. Nie uważam ja, że Baška na jedną nogę utyka, boć baby do brony, ani do woza nie zaprzęgę; nie patrzę, że krzynekę zawięła i że jej na gębie dyabeł groch młócił; jeno wymówcie u Marcina te dwie jałówki graniaste i wieprzaka czarnego i gruntu, żeby Baške odpisał zara u regenta, siła jej się patrzeć będzie, podług działu z ojczywego i matczywego. Obrachowałeni ja ci, choć i w żalości

mojej, że powinno być bez mała czego pięć morgów. Nie tak mi o ten grunt chodzi, bo ja na majątek nie chytry, jeno chciałbym tych zagonków, podług żalu mojego owdowiałego, żebym miał chociaż czem oczy obetrzeć.

Powiadacie: „prawdziwie;” prawda, juści nieco, ino prawda prawdziwa i sprawiedliwa. Hej, Mošku, jeszcze kwartę gorzałki! boć pan młody funduje, a na wesele szykuj z dziesięć garnicy, bo choć cierpię w sercu, ale zawdy gospodarskie wesele przez poczęstunku nie będzie. Muszą ludzie pić, tańcować bez trzy dni, żeby pamiętali, jako nie byle kto, ale Wojciech Mucha, gospodarz sprawiedliwy, z gospodarską córką się żeni. Prawda, kumie?! Dyc sami powiadacie, że prawda... Będziemy tańcowali na weselu, aż drzazgi z podłogi się posypią... Ej, dolo, dolo moja, losie zatracony! A ty, Mošku, muzykantów sprowadź z miasta, żeby grali pięknie — i piwa beczkę i gorzałki, żebyśmy się weselili jak się patrzy....

Oj, Magdusiu, Magdusiu, p-> cóżeś ty pomarła i bez to na takich godach nie będziesz!? i nie zobaczysz już swego Wojtka, jak będzie z Baśczynych zagonów snopki do stodoły woził... Na przekorę ty mi zrobiłaś, kobieto... ale zawdy... zawdy... mi ciebie żal, Magdusiu!

MOJA SZLACHTA.

li

Monologi,

10

Kupiec zbożowy z małego miasteczka, otyły; kapota za kolana, buty długie, czapka aksamitna, kamizelka także, gruby łańcuch od zegarka.

oj a szlachta, ładny gatunek ludzi, bardzo ładny gatunek! Państwo powiadacie, że człowiek jest człowiek i nie ma żadnego gatunku. Ładne gadanie! Wrona jest ptak, gęś ptak i bocian ptak, a przecież wrona a gęś to wielka dyferencya... I między ludźmi tak samo... chłop co innego, żyd co innego, szlachcic co innego.

Nie potrzebuję opowiadać wiele, kto ja jestem i jak ja się nazywam — wszyscy znają mnie dobrze: czy hrabia, czy ekonom, czy prosty Maciek, czy taki nawet mały bachor, co w śmieciach grzebie, wie, kto jest Chaim Piernik z Odrzykonია!

I to każdemu wiadomo, że ja handluję zbożem, że mam moją szlachtę; nie chwaląc się, dwanaście sztuk bardzo piękne i wspaniałe panowie. Oni mnie sprzedają zboże... w zgodzie, kłótni, czasem w procesie, ale zawsze w handlu, bo ja z nimi umiem delikatnie wychodzić.

Na przykład raz, pan Bajdalski, bardzo gwałtowny szlachcic, rozgniewał się na mnie przy sprzedaży pszenicy. On chciał po siedem rubli, ja jemu dawałem po sześć; on się bardzo rozgniewał i krzyknął:

— Słuchaj, ty stary łajdaku! (w przyjacielskim to się czasem takie przyjemne słówko usłyszysz), żeby mi inny dawał po pięć i pół, to mu sprzedam, a tobie, cyganie, nie sprzedam!! Idź do wszystkich dyabłów i żebyś cię tu więcej nie widział!

Inny na moim miejscu toby sobie zabrał i poszedł; ja poleciałem do Odrzykonii jak ptak, dałem jednemu młodemu żydkowi pieniądze, wsadziłem go na biedkę i kazałem mu jechać galop, zanim pana Bajdalskiego złość ominie... Żydek zdążył na czas; szlachcic się jeszcze nie wysapał, jeszcze był zły jak lichy... W trzech słowach skończyli na pięć i pół; żydek kupił dla mnie trzysta korcy pszenicy, a kiedy odjeżdżał, to pan Bajdalski jeszcze wołał za nim z ganku:

— Powiedz temu szelmie Chaimowi, żeś kupił, i powiedz mu, po czemu kupiłeś, niech go serce zaboli z zazdrości!

Taki jest zawzięty. Bogu dziękować, na serce byłem zdrów, a jeśli mi cokolwiek pikało, to z kontentności, że zrobiłem niezły interes. Pszenica była moja, a tamten żydek zarobił za fatygę.

Handel zbożem to jest ciężki kawałek chleba, to jest taka wielka praca, że człowiek sam nie wie, jak ma nazwać to ciężkie życie. Jest pfe!... Nie dużo powiem i nie mało powiem, dość jedno słowo: pfe! Najczęściej to się robi na zielono. Jak pragnę szczęścia, już mam pełną głowę tej zieloności—czasem to mi w oczach zielono, w uszach zielono; myślę nawet, że i w sercu zielono. Kupuje się to, co jest na polu, i to, czego jeszcze niema na polu, i to, co ma dopiero być na' polu. Ładny towar, coś fein!

Kupuje się na kontrakt, na termin, targuje się o termin, kłóci się o termin. No, jak państwo myślą, co to jest ten termin? Ja wiem naprzód, że termin nie będzie dotrzymany, f tamta strona też wie, że nie dotrzyma ter-

/

J

min, więc po co pisać? Po prostu tylko formalność dla sądu. Sąd lubi, aby w kontrakcie stał termin, i przez to termin musi stać... Ja kilka razy do roku jestem chory; raz doktor

powiedział, że mam zapalenie od płuca, ale on się omylił — to było rzepakowe zapalenie, zielone! To jest paskudne ziarno, a w tem największa jego paskudność, że na rzepak zawsze muszę pieniędzy dać. Może się komu zdawać, że w handlu niema przymusu, chcę kupić — wolno mi kupić, nie chcę — wolno mi nie kupić... To nie prawda; rzepak ja zawsze muszę kupić, bo rzepakowych pieniędzy moja szlachta potrzebuje na żniwa; jak nie dam pieniędzy, to oni nie zrobią żniwa: a jak nie zrobią żniwa, to skąd ja odbiorę moje zbożowe zieloności?! Skutek taki, że muszę dać, choćbym nie chciał.

I tak co rok. Jak przyjdzie do odstawy, to też jest smak. Raz było takie zdarzenie, że jeden szlachcic obiecał mieć żyto na 15 grudnia; miałem zabrać sto korcy. Przyjechałem z furmankami; tam czekał już Icek, który miał też umowę na 15 grudnia i także na sto korcy; ledwie zszedłem z fury, przybył Abram, także po sto korcy...

Kto je miał zabierać? Icek, Abram, czy ja? Nie potrzebuję opowiadać, że zrobiła się mała kwestya; a że Icek jest bardzo duży człowiek i mocny awanturnik, więc zrobił Abramowi siniak koło oka, a mnie (żeby mu głowa spuchła!), potargał brodę.

Z wielkim gwałtem poszliśmy do dworu: co będzie?! Myśmy krzyczeli, a szlachcic się śmiał i powiada:

- Panowie nie macie się o co kłócić, ja was pogodzę; chodźmy do ogrodu.
- Na co do ogrodu? czy 15-go grudnia jest w ogrodzie groch, albo cebula?
- Ale chodźcie.

Poszliśmy... O!11 kazał postawić na słupku kółko z papieru, wyciągnął z pod paltota pistolet. Słyszał kto? pistolet!

- Fe! co pan zabójstwo chce robić?
- Nie—powiada, — ja chcę was pogodzić. Strzelajcie do celu; kto trzy razy trafi, weźmie żyto; kto nie trafi, będzie czekał, aż się wy- młóci.

My zrobiliśmy krzyk.

- Strzelać!? Co to jest strzelać? w kontrakcie nie stoi, żeby my wystrzelili... niech pan schowa to paskudztwo; to rozbój jest, to gwałt!

Ja tak wołałem, bo ja jestem odważny, a tymczasem Abram i Icek uciekli z ogrodu, więc zmiarkowałem, że i ja potrzebuję uciekać i uciekłem, wcale nie daleko — do pachciarza.

Abram i . Icek już tam siedzieli, bardzo osłabnięci ze strachu, i pili wódkę na wzmocnienie. Ja też osłabłem i trochę się napiłem. Icek ciągle przeklinał, a Abram powiedział, że zrobi

kryminalną sprawę. Pachciarz radził nam, żebyśmy byli spokojni.

— Jakto spokojni, jeżeli on nam zamiast żyta daje pistolet i każe wystrzelić? Co to zamodajest?

Pachciarz obiecał pójść do dworu rozmówić się i zrobić interes dobrze; żądał za to niewiele: pięć procent od tego, co my zarobimy na pistolecie.

Na pistolecie? alboż można co zarobić na takiej maszynie? Pachciarz mówi, że żydek powinien na każdej maszynie zarabiać. On bardzo mądre słowo powiedział... myśmy istotnie zarobili. Każdy z nas, Icek, Abram i ja, dostaliśmy gotowego żyta trzecią część stu korcy, prócz tego, wszyscy we trzech mieliśmy zabrać dwieście korcy w styczniu, z tym warunkiem, że nie będziemy przymuszeni do strzelania i prócz tego, do wspólki we trzech, kupiliśmy wełnę, też na zielono. Kupiliśmy wcale nie drogo i prócz tego dostaliśmy za przestraszenie od pistoletu po' parę korcy kartofli. Pachciarz miał rację— czasem i z pistoletu może być zysk, tylko trzeba umieć handlować.

Nasz zbożowy proceder jest ciężki, trzeba mieć do niego mocne zdrowie, dlatego, że często daje zmartwienie. Ja martwię się, gdy jest za sucho w polu, ja cierpię; gdy grad pada; mnie serce boli, kiedy zboże leży na garściach, a deszcz na nie chlapie; ja bardzo nad tem

cierpię, więcej cierpię, niż sam szlachcic; a dlaczego ja więcej cierpię, to jest prosty rachunek. Każdy obywatel cierpi za siebie, każdy się martwi o swoje zboże, a ja mam dwunastu obywateli i przez to dwanaście razy tyle cierpię, gdyż ich zboże to moje zboże. Czasem nawet muszę jednym okiem śmiać się, a drugim płakać. Jeżeli dostanę na przykład wiadomość, że we Wroniej Wólce ślicznie zboże sprzątnęli, a w Sowiej Wólce był grad, wtenczas ja mam w sercu i radość, i boleść, i wesele i smutek — cały magazyn!

Ludzie myślą, że ze zboża są wielkie zyski. Wcale nie; tyle tylko, że się cokolwiek żyje. Ja tu mam przy sobie kontrakt na pięćdziesiąt korcy pszenicy, a on nie jest wart jednego worka plew. Dzierżawca, który mi tę pszenicę sprzedał, zbankrutował i uciekł, i ja już nie widziałem więcej ani dzierżawcy, ani mojej pszenicy, ani moich pieniędzy—przepadło! Niech on tak przepadnie, gałgan jeden... Państwo powiadacie, że nie wszyscy obywatele są bankruci. To prawda, ale ci, którzy nie są bankrutami, wcale nie chcą z nami handlować. Ołii mają stosunek z wielkimi kupcami w Warszawie lub Gdańsku, a o nas mówią, że jesteśmy paskudne faktory i łapserdaki.. Dla nich my łapserdaki, a dla bankrutów Rotszyldy, więc handlujemy z bankrutami. Ale to już koniec,

na moje sumienie, koniec — ja się zarzekam całkiem tego interesu. Zdrowie straciłem, jestem ciągle niespokojny i przestraszony, mam zielono w głowie, w oczach i w sercu... Ja się zarzekam, ja będę czem innym handlował, choćby mydłem, albo smołą. Tylko trzeba zakończyć... Jak zakończyć? Chcąc odebrać jedno zielone, trzeba dać na drugie zielone... a drugie też nie może przepaść, więc trzeba dać na trzecie... potem na czwarte... Taką naturę ma nasza handlowa zieloność. (Wydobywa z kieszeni list). Ten papier otrzymałem dzisiaj i na całą noc muszę jechać. Gdzie jechać? — Do Wólki. Po co jechać? — Kupić partię zboża.—Jakiego zboża?—Też zielonego... Zarzekałem się, że już nie kupię... Dlaczego nie mam kupić? — kupię. Czy to jest zły interes? On wygląda bardzo źle... ale w sekrecie mogę powiedzieć, że on jest czasem bardzo dobry.

SZYMON ORATOR.

«

Szymon, dziad kościelny, chłop krępy, z czerwonym nosem; kapota siwa, pas włóczkowy zielony, czapka barania, rogata, w ręku wielka laska.

oje dobre ludzie, nie bajcie aby... Nie każdemu Pan Bóg miłosierny jednakowych darów udzielił, i jako widzicie przy psie ogon, przy ptaku dziób, a na to mówiący, przy żydzie jarmułkę, tako i w naszym stanie—jeden będzie chłop mocny w krzyżach, że półtora korca grochu podniesie; inszy silny w nogach, że go i garniec wódki nie zwali; a trzeci zaś edukowany w gębie, że z niej słowa lecą, niby kluski ze skwarkami, okraszone mądrym sensem, który, jak woda ze studni, b<sup>^</sup>wa z książki albo z czego innego, a najbardziej ze swojego rozumu i kadencyi.

( Wydobywa rolek z tabaką i zażywa powoli).

Monologi.

Siedzi was tu, na tem weselu w karczmie, siła chłopów i babów, ale żadne z was trzech słów godnie do kupy nie złoży, żeby się trzymało w podobieństwie, a pewnie żadne nie wie, co znaczy „egzoltabunt,” albo „haspergesme,” choćby mu wszystkie zęby powybił... Wam, Walentowo, ujadać nie pasuje, bo wiadomo, że baba młyn przekrzyczy; ale co innego krzyk, a co innego mowa. Lata inszej niewieście język jako pytel, to prawda, ale z onego pytlowania nic. O, ludzie, tu zgromadzone na weselu! posłuchajcie, jako przemówię do was, jeno mi dajcie kwartę do ręki, iżbym zabił suchość gardła, bo od gorącości serca schnie ono prędzej, aniżeli płótno na słońcu, niż len na piecu, aniżeli trawa na pokosie przy letniej skwarości...

(.Przerywa i pije)\*

Ozenione ludzie! Ty, Janie Kielbiku, i ty, Kunegundo Mietliczanko! które oboje z gospodarskich rodów idące, pobłogosławione i poślubione dopiero co jesteście! Ty, Janie Kielbiku, i ty, Kunegundo Kielbikowo, jać to, anie kto inny, posługiwałem wam przy chrzcie świętego obrządku; ja zapalałem świece przy ołtarzu dla poślubienia waszego, ja wam też, a nie kto inny, groby pokopię na cmentarzu, że so- bia kiedyś będziecie leżeli w piasku, niby na

pierzynach; a choć nie wiadomo, które pierwej, ale zawsze ten was koniec spotka, bo śmierć chodzi po świecie jak lew i, choć nie ryczy, ale zawdy szuka kogo do pożarcia.

Słuchajcie tedy, Janie i Kunegundo, i rodzice, i krewnie, i przyjaciele i gospodarze zgromadzone; bierzcie słowa moje do duszy, niby do torby, bo i słowo jest jak obrok, jako owies ze sieczką.

Ty, Janie, w dobrej zgodzie i przyzwoleni-  
stwie rodziców, pojąłeś na małżonkę tę oto  
Kunegundę i znajdziesz w niej gruntu morgów trzy, urodę, sprawiedliwość, dwie krówska,  
czworo owieczek, dwa podświnki, posłuszeństwo, jako ci zaprzysięgła, i miłość, i wierność, i  
statki domowe, i chusty porządne i szmaty zdrowe, pościel i co sobie jeno sam zażadasz.  
Zgrzeszyłybyś, gdybyś urągał, żeś skrzywdzony, bo i ślepy namaca, że dziewucha z mięsa i z  
pierz a zabudowana niezgorzej, bo pół obory ojcowskiej na nią idzie i chlewik, i przytem w  
sobie silna, roboty nie bojąca, zębów nie szczerząca, i skromna niby owa gaska, co siódme  
gąsięta już wodzi, a jeszcze się wstydzi nieboga. {Zatywa tabakę, i ociera pot z czoła). Ty  
zasię Kunegundo, po ojcach Mietliczanko, po mężu Kiełbikowo, dostałaś chłopca nie ułomka,  
a w nim gruntu morgów trzy, jako i przy tobie, i koni parę, i bydła dwoje i podświnków

coś trzy, że które was oto, do kupy zgromadzone, przy dobrem kochaniu, gnatów ni©  
przetrażeniu, oezów nie wybijaniu i Zabiegli- wości, mogą was na znacznych gospodarzy  
wyprowadzić i pociechy z dzieci dadzą wam doczekać, jako i inszego przychówku przy-  
mnożenia. I to sobie bierzecie na uwagę, Janie, że Adam, rodzic nasz pierwszy, bez babę  
zginął.

i, •

Miał posiadzialność w raju, gruntu—ile chciał, bydła—więcej niż widział, na czyjem jeno  
chciał— to pasł, gdzie mu się uwidziało rąbać—to rąbał, szarwarku nie odrabiał, do gminy na  
stójkę nie chodził i byłby na dzisiejszy dzień tak siedział, gdyby nie babska ciekawość.

I wszystko przez kobietę, właśnie przez Ewę postradał, jako że się chytremu wężowi  
skusić dała. Taką sobie szkodę w gospodarstwie i w majątku i spokojności Adam, rodzic  
nasz, uczynił, nie przez co innego, jeno przez to, że ślamazarny był i, Panie mu odpuść  
grzechy, niedorajda.

Żeby był Ewę w posłuszeństwie utrzymywał i, jak potrzeba, co twardego do ręki  
wziąwszy, przetłómaczył jej po plecach, toby go się bała i w żadne szachrajstwa z wężem nie  
wchodziła. To sobie tedy, Janie, zapamiętaj i żonie twej, Kunegundzie, zapowiedz.

Bez przekleństw, bez kości przetrącania, bez oka wybicia, godnie, jak w świętym stanie małżeńskim przynależy, przetłómacz, gdy potrzeba, czy to rzemieniem, czy biczyskiem, albo choćby i pięścią — tylko politycznie, nie jak inne chłopcy, co lada o co zaraz za cepy, albo za hołoblę!

I ty, Kunegundo, to dobrze zapamiętaj, że jest męzowskie prawo i jest żonine — i że ty, gdybyś widziała, że mąż traci giosz, że za wiele pije, albo insze jakie rzeczy czyni, które nie powinien — też przetłómacz mu niekiedy.

Jeno nie perswaduj jak one czarownice, co zaraz do oczu z pazurami, albo garnek ukropu na łeb chlustające, albo-li gorejącą główkę z komina chwyciwszy, że może całe obejście z dymem puścić; jeno jakim delikatniejszym statkiem, jak na ten przykład, kosiosem, czy łopata, czy miotłą, a choćby kopyścią, albo' pięścią tłómacz, gdyż w tym stanie małżeńskim zawsze przywiązalność i poszanowanie być powinno, żeby nie jako pies z kotem, nie jako wróg z wrogiem, ale w przyjacielstwie i kochaniu, pracując, Pana Boga chwając, żyć uczciwie, jak należy.

T^k, kochany Janie i kochana Kunegundo, nie brak jemu, nie brak i tobie. Ty jesteś chłop obsadny, ona też podufała w sobie, zdrowa i mocna; tedy czy we zgodzie, czy we sprzeczce, jedno

drugiemu krzywdy nie uczyni—i przez to właśnie wam przy jednym dyszlu chodzić będzie pasowało sprawiedliwie.

Wiór tak na słońcu nie schnie, jak moje gardło wyschło—łaknie ono trunku, jak święta ziemia dżdżu po spiekocie.

Dajcie mi tedy kwartę, abym to przemówienie moje zakończył głosem wielkim, iżby wam długo .w uszach dzwoniło, a w głowach ■ pozostało.

(Bierze flaszkę i pije).

Wielkim i mocnym głosem do was w tem zgromadzeniu przemawiam, abyście tego oto Jana, pana młodego, i tę oto Kunegundę, pannę młodą, zabawiwszy się i poweseliwszy, do domu odprowadzili; abyście, jako tu w godziem zgromadzeniu jesteście, życzyli i jemu, i jej, i im obojgu w kupie, i ojcom, i matkom, i siostram, i braciom i całej familii, żeby zawdy sobie w zdrowiu dobrem żyli i gospodarowali, żeby mieli przymnożenie i w koniach, i w dzieciach, i w każdym inszem bydłciu, i w gadzinie kwiczącej, i w konopiach, i we lnie, i w wełnie, i w pierzu i we wszelkiej ciepłości, i żeby czy kiele łąki, czy w życie, czy w owsie, czy, na to mówiąc, w grochu, mieli swoją przyjemność, patrząc, jako to rośnie, dojrzewa, idzie do stodoły, potem na targ

x\_\_\_\_\_

Szymon orator.

i potem do komory pieniędzami czystymi, zaktóre jako potem znowuż przykupiwszy kawałek, będą w posiadzialności swojej zaokrąglone, w gruncie swoim wzbogacone, w bydle rozmnożone, szczęśliwie żyjące, godnie umarłe i spokoju wiekuistego zażywające, teraz i zawsze i na wieki wieków, amen!!

gani gipermentb

W

na wodach w Ciechocinku.

Pani Pipermenth, otyła żydówka, lat 40, ubrana pretensyjnie; z pod kapelusza widać perukę, w rękach parasolka i torebka.

smak! ja już stąd odjadę. Te wody, te kąpiele popsuły mi wszystkie nerwy!... Doktor Rajsenhering, od mojej ciotecznej siostry syn... wielki doktor! — on jeden poznał się na mojej słabości, on jeden powiedział: „Pani Pipermenth, pani masz nerwy!” On się poznał. Ja naprawdę mam nerwy (żeby moje wrogi mieli dwa razy tyle!).

Pani pozwoli, ja sobie usiądę. Ja widzę, że pani jest także kupcowa... Jaki pani ma interes? Aha, handel win i korzeni—ja zaraz zmiarkowałam. Ja też mam handel win i korzeni i zajazd. Pierwszy hotel na cały Lubartów...  
niech moje wrogi mają taki

wszystkie panowie w nim stają, ale panowie są teraz gołe—same kapconim! Mój mąż jest bardzo uczony, on więcej siedzi w szkole, niż w sklepie... wszystko idzie na moją głowę, a ja? no —ja już całkiem zdrowie straciłam...

Od małości byłam bardzo delikatna, ale jeszcze temu dwa lata nie mogłam się we drzwi zmieścić—teraz, patrz pani, co się ze mnie zrobiło! Sama skóra i trochę kości.

Czy pani zna Lubartów? Nie zna pani? To szkoda — bardzo ładne miasto.

Właśnie ja chciałam pani powiedzieć, skąd się wzięła moja słabość. Ona się wzięła od tego nowego domu, co na wprost bóżnicy, nad samą kałużą, co go Joel Szpigelglas postawił, akurat koło mojego zajazdu. Zna pani Joela? To wielki gałgan jest, na moje sumienie. On tylko na moją zgubę patrzy.

Pani wiadomo, co każda kobieta ma feler (pani też ma, ja wiem)... ale jak Joel zaczął dom stawiać, to mnie zaraz piknęło tu, koło serca, i od tej pory we mnie zrobiły się nerwy... słyszała pani, nerwy! To ładna słabość jest!

Ja się ratowałam. Byłam u doktorów w Lubartowie, w Czemernikach, w Łysobykach, w Kocku... Patrz pani, co ja tu mam recept! 32 ruble kosztowały lekarstwa. Jeden doktor kazał mi pić' słodkie mleko, drugi kwaśne,

trzeci "Serwatkę. Ja to wszystko'jadłam i dostałam jeszcze większą słabość w sercu.

Tymczasem Joel (niech on czarną ślepotę dostanie!) zaczął stawiać dach. Ja to już nie mogłam wytrzymać, pojechałam do Lublina. Tam znowuż mnie doktorzy oglądali... patrz pani, ile tu jest recept! to wszystkie z Lublina. Tam doktorzy jest! Jeden dał mi receptę i prócz tego puścił mi maszynkowych elektryczności do pleców, tak, że narobiłam gwałtu na całe Krakowskie-Przedmieście; drugi także dał receptę i chciał mi robić masaż. No, powiedz pani sama, jak to można porządnej żydówce i kupcowej robić masaż? Bogu dzięki, mam męża, mam dzieci, niedługo spodziewam się wnuczka. Czy ja jestem podobna do masaż? Powaryowali, na moje sumienie! Ale najgorszy był trzeci doktor. On mnie pukał, stukał, szczypał, dziobał mnie jak kura, potem zapisał medycynę, wziął rubla i powiada: „Pani Pipermenth, ja potrzebuję panią na 5 minut powiesić." To gałgan, rozbójnik! Ja krzyczałam: „Niech się pan sam powiesi, na całe trzy dni!" trzasnęłam drzwiami i uciekłam. Niech jego dyabli wezmą. Niech on sam wisi, ten rozbójnik! On chce komu powiesić; Tfy! Przy- \* jechałam do domu, do Lubartowa, nawet nie<sup>^</sup> piłam herbaty, tylko położyłam się w łóżko. Byłam całkiem chora. Moja córeczka Hrońcia,

(po naszymu<sup>1</sup> ona się Brucha nazywa) pyta się: „Mame, co mamusię boli?” Ja powiadam: „Broń- ciu, kotfnaneczko, mnie bardzo ^erce boli;’ zrób ty mnie szklaneczkę rumianek.” Trochę mi się lepiej zrobiło po rumianku. Tymczasem przyszedł mój mąż od rabina. Pani nie zna mego męża, ón wi.elki nabożnik jest!. On najmniej dwa razy ffa fe^lzień pija u rabina herbatę! Bierze ode mnie dwa kawałki cukru i idzie na herbatę. Pani potrzebuje wiedzieć, że my jesteśmy z wielkiej rodziny, nas cały Lubartów zna. Małe dziecko powie, gdzie jest Pipermentha dom. Jak mój mąż przyszedł i zobaczył, że ja jestem taka chora, jak usłyszał, co doktorzy lubelskie chcą ze mną wyrabiać, tak powiedział: „Ty się, moja kochaneczko, nie martw, ja będę się radził samego rabina.” On się radził. Rebe . (niech on ma długie życie!) kazał mi jechać do Warszawy i pytać się specyali- stów. Ładny los! ja do Warszawy, a tu Joel. Pyta się pani: co Joel? No, jakto co? kto może wiedzieć, co taki paskudnik myśli? Rebe powiedział, że warszawscy doktorzy każą mi pić moralne wody, każą jechać daleko, może nawet za granicę—a co będzie w domu, Co będzie ze sklepem? zajazdem? z tymi panami, co potrzebują pieniędzy pożyczać? Bo trzeba pani wiedzieć, że choć ja się tem nie trudnię i cała nasza rodzina ma obrzydliwość do lichwiarstwa,

ale jak- mnie kto bardzo prosi, to lubię czasem wygodzić, nawet" nie na hypotekę, na prosty weksel. Całkiem głupi zysk; jedno z drugim nic, ledwie pięć od' sta na miesiąc. Pani kiwa z głową? Ja wiem, dlaczego pani kiwa... Pani sobie wzdycha i myśli że marny nasz żydowski los! To prawda jll, na moje sumienie. Ja nie chciałam jechać do Warszawy, ani na ciepłe wody, ani na lekkie powietrze. Teraz ciężki czas, szkoda pieniędzy, a po drugie, kto wie, co myśli Joel (żeby jego złe powietrze spotkało!). Ja mówię do męża: „Nie pojedę, choćbyś ty mi dawał brylantowe kolczyki, nie <sup>4</sup> pojedę." Ale mój mąż uczony, mądre książki zna, a taki zawsze ma co, powiedzieć. On myślał trochę i powiedział tak: „Żebyś ty nie chciała jechać, że tobie pieniędzy szkoda, to- byś miała mniejszy już recht, bo zdrowie więcej warte niż pieniądze; żebyś ty nie chciała jechać dlatego, że się boisz sklep zostawić, tobyś miała także pół recht, bo sklep znaczy mniej niż zdrowie; ale że ty nie chcesz jechać, choć sam rebe kazał, to ty nie masz wcale recht, bo rebe więcej znaczy niż pieniądze i niż sklep. Ty jesteś nabożna żydówka, ty masz słuchać rebe." Ja przystałam; prosiłam tylko męża, żeby na wypadek, jakby ten cygan Joel (niech on nogę złamie!) co zrobił, żebym ja miała zaraz depeszę. Mąż obiecał. W wagonie Monologi. ■

ja pytałam między żydówkami, jakie są w Warszawie specjaliści? Powiadają: „pan ten,” „pan ów,” „pan trzeci,” „pan czwarty,” „pan piąty,” aj, cały kahał tych specjalistów! Ja ich sobie zapisałam. W Warszawie stanęłam w Berlińskim hotelu na Nalewkach. Pierwszy hotel na cały świat. Ubrałam się w jedwabną suknię, w kolczyki brylantowe, w perły—i poszłam do specjalistów. Jak żyję, nie widziałam takich dzikich doktorów. Pan „ten” wziął szkło, patrzył mi w oczy, kiwał mi palcem, kazał mi czytać litery... Nareszcie mi powiedział, że mam całkiem ładne oczy. Taki kobietnik! Wielka nowość! Temu lo lat, wszystkie naj- pierwsze panowie w Lubartowie to samo mnie mówili, choć nie są specjaliści, dziś też nie potrzebuję się pochwalić, pani sama widzi, że ja mam całkiem ładne dwa kawałki oko... Oj, oj, oj... żebym ja tylko chciała, no, no... ale jestem nabożna; ja nie pozwolę sobie zrobić żadne rzecz, co choć trochę nie pasuje... to pfe jest! Ja poszłam do pana „owego,” dałam jemu kilka rubli, a on krzyczy... Czego pan doktor krzyczy? On się pyta, czy ja słyszę, i zaczyna rachować: raz, dwa, trzy, cztery... „No, co mnie pan doktor uczy rachunku? ja lepiej potrafię li'czyć niż pan...” Wziął maszynkę, wsadził mi jedną rurkę w ucho, drugą, za przeproszeniem pani, w nos, a sam trzyma

w ręku taki gutaperkowy interes, jak gruszka— całkiem osobliwa osobliwość. Potem kazał mi brać do gęby wodę i powiada: „Jak pani usłyszysz słowo „trzy," to łyknij." Krzyknął: „trzy!" ja łyknęłam wodę, a on z tego gutaperkowego interesu puścił luft. Mnie zaszumiało w głowie; wiatr mi wleciał w nos, aj waj, i wyleciał, za przeproszeniem, przez ucho. Cała komedia! Pan „ów" powiedział, że ja dobrze słyszę... Wielki interes! dowiedziałam się, że rubel ma loo kop., a dzień 24 godziny. I to ma być specjalista! Ale myślę sobie: spróbuję jeszcze trzeciego. Poszłam do pana „trzeciego." Przyszłam i czekam; doczekałam się swojej kolei; wchodzę... a ten doktor, zamiast mnie zapytać, skąd przyjechałam i co mnie boli? pyta: ile mam dzieci? „Co panu do tego, ile ja mam dzieci! mam tyle, co Pan Bóg dał. Na złość panu będę miała jeszcze tyle, ile Pan Bóg da. Co panu do moich dzieci?!" On się rozgniewał, on powiedział, co jemu potrzeba to wiedzieć. Wielka rzecz, że potrzeba—mnie też potrzeba na loteryi wygrać, a tymczasem nie wygrałam. On mnie pytał o taki interes, co nieładnie się pytać. „Na co panu wiedzieć? Czy pan doktor rabin jest?" „No, to czego pani chcesz?" „Chcę specjalisty..." Krótko pani-powiem, że on kazał mnie wypychać za drzwi; ale ja także mam swój honor, więc narobiłam gwałtu na całą

ulicę. To takie są specjaliści; niech ich bok zaboli! Wróciłam do hotelu i tam mnie poradzili, żeby zwołać jednego młodego doktora, od naszych. On przyszedł — bardzo mądry doktor, on mi przyświadczył, że ja mam nerwy i że przez tego gałgana Joela we mnie przewróciła się żółć. On powiedział, żebym ja jechała do Ciechocinka i żebym piła taką moralną wodę, co trochę kwaśna jest; on po-' wiedział, że jak ja od kąpieli będę z wierzchu słona, a w środku od wody będę kwaśna, to moje nerwy całkiem zginą, a żółć przemieni się w karmelek.

Aj! moja pani, złote jego słowo! złoty kawałek żydka. Ja go bardzo prosiłam, żeby on przyjechał do Lubartowa, ja go z moją Brońcią ożenię. Od razu zrobiliśmy całą zgodę—ja mu obiecałam pięć tysięcy posag, mieszkanie' nad sklepem i słowo od rabina, że mu zrobi większą praktykę, niż ma najpierwszy specjalista w Warszawie. Ja teraz przyjechałam do Cie- chocinka. Aj, moja pani, na taką drożyznę, co ja tu utopiłam pieniędzy, co pieniędzy! Tu bardzo drogo jest! Całe szczęście, powiem to pani pod sekretem, kupiłam dwie skrzynki pruskie cygary i trochę szwarcowanych koronek, to mi się koszt kuracyi powróci. Na zdrowie było mi trochę lepiej; miałam jeszcze brać trzy kąpiele i pić trzy butelki wody, ale wyjeżdżam

dzisiaj... Oj, moja kochana pani, dzisiaj dostałam list od męża. Patrz pani: „Wielmożna pani Malwina Pipermenth w Ciechocinku.” Ja pani przeczytam: „Kochana Malwinko, ty potrzebujesz wrócić zaraz do domu. Ten kochany Joel, żeby on śmierć zobaczył!...” Nie, moja kochana pani (plącze), ja już nie mogę dalej czytać, całe moje nerwy, cała moja słabość mnie się powraca; ten łajdak Joel zgubi mnie, całkiem mnie zgubi ten cygan, ten rozbójnik! żeby jemu robak w głowę wlał! On potrzebuje zrobić sklep, on potrzebuje zrobić zajazd (żeby jemu zła słabość w serce zajechała!). Ja jadę—niech się co chce dzieje, ja jego zgubię, ja obniżę ceny w sklepie, ja będę sprzedawała na wpół darmo... ja na dziady wyprowadzę tego szelmę, on będzie szleper!... Pani mówi, że nie ładnie kłąć... No, ja już nie klnę, po co ja mam kłąć? Niech Joel przeklina (żeby on drewniany język dostał!). Ja będę w Berliński hotel, ja pošlę po mojego doktora, ja go z sobą wezmę, on będzie już mój zięć... Przyjeżdż pani do nas na trąbki, będzie wesele... Nasz rabin... Uważam, że się pani śmieje, jak ja mówię o rabinie—pani nie wierzy w rabina? pani niemiecka żydówka jest. Tymczasem, patrz pani, jaka jego mądrość! On kazał mi iść do specjali- stów — przez to, że-ja do nich poszłam, ja się musiałam rozgniewać; przez to ja szukałam

młodego doktora od naszych; przez to, że szukałam doktora od naszych, to znalazłam męża dla Broni.

Widzi pani, że rabin wiedział, co robić... Gitla, żona Joel'a, jak się dowiedzie, to jej z zazdrości żółć pęknie... Niech pęknie! niech ona też pojedzie do specjalistów, żeby jej obejrzelik oko i wpuścili powietrze do ucha (żeby ją zimny wiatr przedmuchał!)...  
(Ochodzi).

ULECZONY SAMOBÓJCA.

przed niedawnym czasem, przed rokiem zaledwie, mówiłem do siebie tak: nic mi do szczęścia nie brakuje... a jednak... Jestem zdrow, mam majątek, powiadają, że jestem przystojny, że ludzie mnie lubią... Ożeniłem się nie dawno z kobietą piękną, miłą i bogatą, kochamy się, mamy własny, powóz, śliczny apartament, znakomitego kucharza i teściowa przy nas nie mieszka... Świat mi szczęścia zazdrości... a jednak... Ja nie jestem szczęśliwy...

I to nie — jestem najniezszczęśliwszy pod słońcem!

«Otóż\* w tem właśnie była moja niedola, że pod słońcem!

Co to jest? Czy bakterye idei materyalizmu i nicości rozmnożyły się w moim mózgu i

szały, ażebym wziął nóż do ręki? Nie wiem, ale doznawałem prawdziwych pokus...

Może byłem ofiarą epidemii?... Codzień ktoś kończy samobójstwem... dlaczegożbym ja?...

Raz powiedziałem do mej Anielci, gdyśmy się całowali przy oknie:

— A gdybym wyskoczył na bruk?!

— Umarłabym z- żalu — odrzekła.

Po cóż ma umierać taka młoda, taka ładna kobieta?

Chciejcie posłuchać mojej historii.

Prababka moja pochodziła z Hiszpanii. W spadku po niej, między innymi, dostał mi się przepyszny sztylet toledański, arcydzieło prawdziwe archeologiczne; znawcy ofiarowywali mi za to cacko znaczną sumę, ale nie chciałem sprzedać. Pieniądzy nie potrzebuję, a sztylet zawsze może się przydać.

Żona moja mówi, że niema w gospodarstwie takiego mebla, któryby się na co nie przydał. Moja śliczna Anielcia! ona ma zawsze słusność.

Gdy kraję kuropatwę przy obiedzie, mam ochotę poderznąć sobie gardło; gdy zatapiam widelec w białej piersi indyka, aż mnie coś korci, żebym własną pierś przebił. Gdy idę nad rzeką — nęci mnie toń wody. Gdy widzę

..... \* .....

drzewo — powiesiłbym się z przyjemnością; w podróży chciałbym się rzucić pod pociąg, a widok rewolweru robi na mnie takie wrażenie, jak beczka wódki na pijaku.

Ale po co? na co? z jakiej racyi?

Gdybym się nie oparł tej dziwnej manii, moja śliczna Anielcia umarłaby z żalu.

Stało się!...

0

Śliczny sztylet toledański wsunąłem sobie pomiędzy czwarte a piąte żebro z lewej strony piersi, aż po samą cyzelowaną rękojeść. Wszedł w serce jak po mydle, prawie bez bólu...

Zmarłem...

Nie wielka to sztuka, zaiste.

Umarłem. Ciało moje leży na aksamitnym

\* szezłagu, martwiejące, sztywne, ale duch widzi wszystko doskonale...

Gwałt w domu; doktorzy, sąd, policja...

Anielcia płacze, ale jeszcze żyje... Nie zabiła się, ujrzawszy mego 'trupa, i spazmuje tylko.

Młody doktor X., który już raz leczył ją na nerwy, powiada, że to przejdzie... zwłaszcza przy energicznej kuracyi.

Kiedy się już wszyscy rozeszli i zwłoki moje złożono w trumnę, przyjechała teściowa...

Weszła do pokoju, majestatyczna, szeleszcząca jedwabiem...

Spojrzała na moje szczątki śmiertelne, przeżegnała się, westchnęła i rzekła:

— O Boże! przebacz temu idyocie... Były to najżyczliwsze słowa, jakie w życiu mojem z ust tej niewiasty słyszałem.

Widzę, że ciało moje leży na stole sekcyjnym, a uczeni medycy, mający badać przyczynę mej śmierci, śmieją się, palą cygara, oglądają mój sztylet toledański po babce.

Wreszcie biorą się do rzeczy — oglądają ranę między żebrami i ze zdumiewającą bystrością sądu przychodzą do wniosku, że była ona zadana narzędziem ostrem. Następnie, wystudyawszy wewnątrz mej byłej osoby, piszą, że przyczyną mej śmierci było uszkodzenie lewej komory serca i wstrzymanie funkcji tego organu. Uczyniwszy odkrycie, kazali mnie pięknie zaszyć, zacerować, ubrać w garnitur frakowy i zalutować w metalowej trumnie.

Tak się też stało.

Duch mój widział to wszystko, asystował pogrzebowi, towarzyszył Anieli, która okropnie rozpaczała nad grobem.

W żałobie było jej prześlicznie. Doktor X. ratował biedaczkę.

Teściowa miała oczy o tyle mokre, o ile wymagała przyzwoitość, i odchodząc od świeżej mojej mogiły, wyrzekła tę, bez zaprzeczenia \* mądrą sentencję:

— Ślicznie zrobił ten waryat, że się zadźgał dość wcześnie, póki córeczka moja jeszcze młoda...

Niewidzialna dłoń chwyta mnie i unosi w przestrzenie.

Znajduję się w światach jasnych, świetlanych. Dziwnie tam błogo... ale czuję nieopisaną trwożę... Wszakże jestem samobójcą, wydarłem sobie życie... co mnie za to czeka!

Zachodzi mi drogę jakiś poważny, ubogo ubrany staruszek.

— Czytam ' w twych myślach — rzecze, — biedny szaleńcze... ty się lękasz?

Kiwnąłem głową na znak potwierdzenia.

— Słusznie, mój chłopcz%— odpowiedział dziaduś,— bardzo słusznie. Trzeba być idyotą, żeby odbierać sobie życie wogóle... Trzeba być kwadratem z idyoty, żeby się zabijać bez przyczyny. Ty, kochanie, wobec tych warunków życia, jakie miałeś, popełniłeś najgłupsze szaleństwo. Iluż ludzi dźwiga bez szemrania ciężkie brzemie życia... a ty... ty... Nie dziw się więc, że czeka cię kara bardzo ciężka...

Zadrzałem...

— Najcięższa!— powtórzył, marszcząc groźnie wielkie brwi siwe, krzaczaste — a ja zostałem wysłany na twoje spotkanie, ażebym ci wyrok ogłosił... Słuchaj i drzyj... Niema dla ciebie miejsca tu, powrócisz na ziemię. Niewidzialny będziesz przy twej żonie, przy teściowej, posłuchasz głosu opinii...

— No—pomyślałem sobie,—to jeszcze pół biedy. Spodziewałem się czegoś gorszego.

— Głupi jesteś! — odrzekł staruszek, który czytał w moich myślach; — niemasz dla głupca większej kary, jak dać mu tyle rozumu, żeby mógł ocenić głupotę swych postępów. Dość! Usłyszałeś wyrok, a teraz idź i cierp...

Zaszumiało mi coś nad głową, jakby skrzydła wielkiego ptaka, uczułem dojmujący chłód i znalazłem się napowrót na ziemi.

Niewidzialny, szedłem środkiem ulicy, wśród tramwajów i dorobek. Byłem co krok przejeżdżany i tratowany kopytami końskimi, ale mi to nie sprawiało najmniejszego bólu. \* Istota moja nie miała ciała, ani kości, ani określonych kształtów. Chcąc wejść gdziekolwiek, nie potrzebowałem otwierać drzwi, lecz dostawałem się, jak powietrze, przez szczelinę w oknie, przez dziurkę od klucza, przez niewidzialne porowate otworki w ścianach.

Błądziłem przez kilka godzin po ulicach, i ogarnęła mnie tęsknota i żal do ludzi zarazem. Jakto?! ja umarłem, a na świecie żadnej zmiany przez to niema? Ubytek mojej osoby nie zostawił najmniejszego śladu?!

Podły świat!

Nie żałują mnie, zapomnieli o mnie zupełnie. Ludzie, jak przedtem, jedzą, piją, bawią się, uśmiechnięci, weseli... Niechże ich piekło pochłonie!

Łez, łez mi potrzeba! Dajcie mi łez! Po rublu za jedną płacić wam będę, kramarze!!

Pójdę do Anielci. Ona pewnie usycha z żalu, biedaczka!

Istotnie, siedzi sama w tym pokoju, który był niegdyś naszym sypialnym...

- Siedzi przed toaletą i posypuje śliczną buzię pudrem... widocznie płakała... Poczciwa!...

Wchodzi służąca.

— Proszę pani — mówi, — pan doktor X. przyszedł.

— Proś do sali — odpowiada aniołek.

Spojrzała raz jeszcze w lustro. Zrobiła naprzód minkę grobowo smutną, potem rozjaśniła twarz przyjemnym uśmiechem, a potem rzuciła spojrzenie tak zalotne, że aż mnie, ducha, mro-

\* wie przeszło.

Monologi.

Udałem się do sali i uczułem, że dziwny dreszcz przenika całą moją istotę.

Ach! czemuż nie mam rąk, rąk ludzkich, kościstych, muskularnych, żebym mógł zmiażdżyć tego doktora, który w tej chwili całuje białą rączkę mojej Anielci... Mojej?! Alboż duchy mają co swego?! Brr!

— Czy już pani lepiej? — zapytuje — czy wraca spokój? czy nerwy przychodzą do porządku po strasznym wstrząśnieniu?

— Dziękuję ci, doktorze — odpowia Anielcia, — jeszcze mi nie zupełnie dobrze... ale...

— O! zapiszę pani kali bromatum — mówi i znowu wpija się ustami w jej rękę.

Zbójco! w jakiej farmakopei wyczytałeś, że dotknięcie twoich ust nazywa się „kali bromatum?”

Anielcia rączki nie cofa...

Zaczynają rozmowę, banalną rozmowę o pogodzie, teatrze, projektowanych zabawach ni karnawał... wreszcie o żałobie i o mnie...

O mnie!

— Droga pani (już mu jest droga!) — powiada ten damski lekarz, — dziś możemy już mówić o tem spokojnie... (Już?! Dopiero tydzień, jak mnie pochowano!)

— Tak... — odzywa się Anielcia z westchnieniem.

— Więc, jeżeli mam być otwarty, to powiem, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło

— Oh... panie!

— Tak, tak, droga pani. (Znowu mu droga! Żeby z piekła nie wyrżał!) Nieboszczyk pani mąż już od kilku miesięcy cierpiał na nieuleczalną chorobę, na manię samobójczą.

— Dlaczego mi pan nie powiedział tego od razu?

— Czyż mogłem przedstawić pani całą okropność położenia?! Na szczęście, samobójstwo jego uwolniło panią od nieszczęścia.

— O! doktorze!

• — Żeby was milion kroć sto tysięcy! — ryknąłem, ale głos ducha nie wpadł do uszu wiarołomnej.

Pójdę do resursy.

W resursie zwykle towarzystwo... Zabierają się do gry... Mówią o mnie.

— Szkoda — powiada jeden—wielka szkoda; zawsze przegrywał i płacił.

— Spodziewam się—odezwał się jeden z moich przyjaciół, — łatwo jest płacić z cudzego...

— Co pan mówisz?

— Powtarzam to, co mówi całe miasto...

No? no? mówże pan!

— Wszystko, co powiadają o jego cierpieniach umysłowych, o rozstroju nerwowym, to farsa, wymyślona dla zamydlenia oczu ludziom.

— Niepodobna!  
— Daję wam słowo honoru...  
- Ach, łotrze! — pomyślałem — ty masz honor?/ ty!  
— Tak, tak — perorował dalej, — to wiadoma rzecz; mówiłem z lekarzami, którzy robili sekcję.  
— I cóż?  
A powiedzieli, proszę was, że popełnił bardzo wielkie nadużycie.  
— Jakiej?  
— Podobno jakaś wdowa powierzyła mu jedyny swój fundusz, no i jak się nim zaopiekował, tak fundusz dyabli wzięli, a wdowa pozostała bez chleba. Łudził ją, mydlił jej oczy przez jakiś' czas, ale nareszcie, gdy zagroziła procesem, z obawy skandalu...  
— Zadźgał się... Brr! mógłby sobie przynajmniej w łeb strzelić, to już jakoś szła- 5 chętniej.  
— Nie, panowie — odezwał się drugi jegomość (mój niegdyś serdeczny przyjaciel),  
— ja słyszałem co innego... Nieboszczyk miał romans z ciotką pewnego bankiera, z tego wywiązał się pojedynek amerykański... wyciągnął czarną gałkę i musiał umrzeć...  
— Ho! ho! — rzekł trzeci (najlepszy mój niegdyś przyjaciel, pożyczałem mu pieniędzy na każde zawołanie); — widzę, że nie wiecie

nic. Słyszeliście o tej grubej kradzieży brylantów u jubilera V, nieboszczyk był w to zamieszany, a mając do wyboru hańbiące więzienie lub śmierć, wybrał tę ostatnią.

Ha! łotry! Czemu wam nie mogę plunąć w oczy!

— Nie, drodzy panowie — zawołał inny. — Wszystko to nieprawda. W tym wypadku, jak i w wielu innych, należy przedewszystkiem „chercher la femme.”

— Aha... j

\*J Szanowna jego małżonka miała wcale nie dwuznaczny romansik...

Ach, dość tego! Nie mogłem, słuchać, jak bezczelnie szarpią po s'mierci moją dobrą sławę i honor mojej Aniel ci... To nikczemne, oburzające, podłe!

Czemuż nie mogę zabić się powtórnie!

. Uciekłem na cmentarz i tam w cichej koritem- placy, między nagrobkami, spędziłem pół roku.

Sprzykrzyło mi się to... i poszedłem znowu między ludzi.

W ogrodzie miejskim, na ławce, siedziała była moja teściowa, a obok niej druga, również- okazała jejmość.

Może. także teściowa jakiego nieszczęsnego samobójcy...

— Czy wie droga pani—mówiła moja (no tak, juści moja) teściowa, — jakie śliczne koronki kupiłam na wyprawę dla Anielci?

— Więc pani Aniela pocieszyła się i wychodzi za mąż?

— Cóż ma robić drogi aniołek! Tamten waryat, bo chyba nie można go nazwać inaczej...

— A waryat, szaleniec, proszę pani.

— Między nami powiedziawszy, nie był on dobrym mężem, a nawet... co tu w bawełnę owijać!... był złym mężem: maltretował moją jedynaczkę, za wiele czasu przepędzał poza domem, upijał się, miał kochankę...

— Hm! ja. słyszałam... nie wiem tylko, czy mogę pani to wprost powiedzieć...

— O, pani! wszak po takim łotrze wszystkiego spodziewać się można...

— A więc powiem, że miał aż trzy przyjaciółki.

— Ach! niegodziwiec! Ma szczęście, że już nie żyje, gdyżbym mu oczy wydrapała. Wie pani, że ja miałam przecucie... Od pierwszego spojrzenia, jak tylko zobaczyłam tego jegomościa, domyślałam się, co to za ziółko. Dobrze, że go piekło pochłonęło nareszcie...

Z grzecznością dobrze wychowanego cienia ukloniłem się szanownej teściowej i odszedłem. Zobaczę, co robi Anielcia.

t

Ślicznie!

Siedzi uśmiechnięta na kozetce, obok niej kochany doktorek.

Są sami tylko, we dwoje... Gruchają jak para turkawek.

Ha!... teraz rozumiem, dlaczego Otello zadusił Desdemonę... Czemuż nie mam rąk!

— Anielciu, kochasz? — pyta ten wyperfu- mowany naprawiacz nerwów.

— Sto razy ci to mówiłam.

— Z całego serca?

— Gdybym miała sto serc, kochałabym cię wszystkimi.

— A jednak... A jednak...

. — Co?

— Trudno w to uwierzyć.

— Jesteś niegodziwy!

— Gdybyś mnie kochała, pozwoliłabyś złożyć pocałunek na twoich różanych usteczkach.

— O!

— Przecież za cztery miesiące nazwę cię żoną.

— Czekaj więc.

— Nigdy...

To mówiąc, objął ją w pól i zaczął całować, jakby ją pragnął pożreć pocałunkami. Tego było mi już za dużo... Ryknąłem z wściekłości jak dzikie zwierzę, a jednocześnie spostrzegłem, że leżę na podłodze w moim gabinecie.

Nade mną stoi wystraszona Anielcia... Ach! więc żyję! Więc to był tylko sen!

— Co ci się śniło? — pyta Anielcia.

- Nie, nic, kochanie. Czy tu nie był do- Jgtor X.?

— Skądże? — wszyscyśmy zdrowi.

— I ty?

— Naturalnie.

— I mama?

—<sup>1</sup>Przed chwilą wyjechała na spacer. - Moja duszko, czy wiesz, gdzie jest mój sztylet toledański po babce?

— W komodzie; czy ci potrzebny?

— Daj mi go, bardzo proszę...

— Na co?

— Poszlę go w prezencie naszemu kochanemu doktorowi X., to taki mój serdeczny przyjaciel.

Od tygodnia posiadaczem sztyletu jest doktor X. Ja z Anielcią jadę do Zakopanego, teściowa nam nie towarzyszy, gdyż pije Karlsbad (oby jej poskutkował!). O samobójstwie już nie myślę—jestem wyleczony radykalnie z tej niebezpiecznej manii.

Koniec części pierwszej

MARCIN BADYL

PRZED SADEM GMINNYM.

A to, dopraszam się łaski prześwietnego sądu, było tak: szczerą prawdę powiadam, jak na świętej spowiedzi. Szliśmy na jarmark, we trzech gospodarzy sprawiedliwych: Michał Dziecioł, Wojciech Balasiński i ja, a zaś babów jeno dwie, bo moja słabowała na kolki i musiała w domu zostać, a zasz wieprzaków dwa, niby biały Dziecioła Michała i czarny, niby mój.

Zas baby miały, wedle przemożenia, jajka, masło i widzi mi się, koguta, albo może kokoszę, bo nie pamiętam... Chyba kokoszę... a zresztą może i koguta... Nie spieram się, może to był kogut, a może i kokoszą...

Prześwietny sąd powiada, żeby gadać o sprawie, jako że mnie Icek, psia wełna, oskarża we dług pobicia. Nie było żadnego pobicia. Niech to choćby pięciu dochtorów stanie; wszystkie gnaty mogą w nim porachować, czy który przetrącony, albo wykręcony! A ja sam mam krzywdę, bo za wieprzaka dostałem jednaście rubli, we dwóch papierkach, niby jeden czerwony, a jeden żółty— i to mi ktoś ukradł — żaden dochtór tego nie znajdzie. (Chwila przerwy).

Ano, juści sprawiedliwie prześwietny sąd powiada, żeby gadać, jak było; ja też gadam po porządku... Szliśmy na jarmark... trzech nas było gospodarzy sprawiedliwych: Michał Dziecioł, Wojciech Balasiński i ja...

Gdzieśmy wstępowali po drodze? A dyć wstępowaliśmy w Wólce do karczmy, według tego, jako na świecie był ziąb. Na jarmarku piliśmy z rzeźnikiem litkup u Abrama. Godny rzeźnik, grubaśny taki oto...

A potem? A juści, prześwietny sądzie, z Balasińskim u Judki, a z Dzieciołem u Michla... Sąsiedzi to dobre, niby Balasiński i Dziecioł. Pilo się z jednym osobliwie i z drugim osobliwie, a potem zeszliliśmy się wszystka trzech koto mostu u Srula i piliśmy w kupie. Na to jarmarki są, żeby sobie gospodarze mogli czasem grzdyki przepłukać.

A! dyć słucham, prześwietny sądzie, opowiadam jak było od początku... Szliśmy sobie na jarmark, trzech nas gospodarzy Sprawiedliwych: Dziecioł Michał. Balasiński Wojciech i ja..

(Chwila pauzy). Ale gdzie zaś! prześwietny sąd pyta, gdzieśmy byli potem? niby od Srała wyszedłszy?... Ajuści byliśmy... zapomniałem, jak się ten żydzisko nazywa., ale to pamiętam, że Balasiński byt fundator. Ja już żółtego papierka nie miałem. jeno mi ostał czerwony. Owinąłem go we szmatkę, zapakowałem do kalety i rzekłem: siedźże tu spokojnie; nie prędko świat obaczysz... Bo ja już taki jestem zawzięty...

Wielmożny sędzia każe gadać, a jak jeno ja gadam, to wielmożny sędzia dzwoni i każe nie gadać, jeno żeby o tem, co do sprawy należy. Toć gadam. Szliśmy na jarmark we trzech, gospodarze sprawiedliwe: Balasiński Wojciech...

(Pauza).

To niechże prześwietny sąd sam powie, co chce wiedzieć.

(Pauza),

No, dobrze... i dość na ten skutek, że jakeśmy na jarmark szczęśliwie przyszli, takeśmy szczęśliwie wyszli, jeno co Balasiński raz się w rów obalił, bez to. że mato ma kleju w nogach. Szliśmy gościńcem do samego lasu i lasem het znów

het do samej Wygody — a to już prześwietnemu sądowi wiadomo, że nie tylko człowiek, ale i każde bydłę w Wygodzie koto karczmy stanie; bo i ono, choć jeno wodę tylko pijące, rozumie i miarkuje, że o suchej gębie... I znówu dość... Toć mówię, żeśmy wstąpili we trzech, gospodarze sprawiedliwe: Balasiński Wojciech, Dziecioł Michał, niby ja — Marcin Badył i batów dwie: Wojciechowa i Michałowa. A narodu było już jak nabił, żeśmy się ledwo do beczki dopchali, a fundator był Dziecioł, bo ja już żółty papierek swój straciłem, a czerwony schowałem do kalety...

A toć powiadam: było nas trzech gospodarzy... Nie? Jeno o Wygodzie? Słucham się prześwietnego sądu. Wypiliśmy po miarce. Michałowa powiada: jedźmy, ja powiadam: jedźmy; Balasiński nic nie odpowiada, jeno się przekomarza z żydami, bo się napchało chyba z piętnastu. Wiadomo prześwietnemu sądowi, że żydy w kupie bardzo harde: poczęli Balasińskiego popychać, a że kleju w nogach miał obrzednio, tedy się cŁJopisko obaliło—a żydy na niego powsiadały... Kumie ratuj! .także nie ratować?... I jego baba woła: kumowie, ratujciel I zaraz sama też do żydów z pazurami... odrapała kilkn... a ja widzę, że kiepsko i że na Dalasińskim ścisk za duży—dalejonego ratować...

(Pauza).

Prześwietny sal pyta,: czyni bit? Ja do bicia nie wrywny i bić nie bitem, jenom ich krzynkę zeprał, i to nie kijem, ale gołą pięścią. Puścili Balasińskiego, nawalili się na mnie cała, kupą... że choć klej w nogach mam, przecie powaliłem się na ziemię. Żydy na mnie, a Balasiński na wierzch na żydów, Dziecioł na Balasińskiego... jeno mi było okropnie ciężko... bo choć żydy naród lekki, ale w kupie ważą... Chargotały jeno z zawziętości, aż im w gardzielach grato; już myślałem, że duch ze mnie wyjdzie — dopiero Wojciechowa z Michałowa stągiew wody chwyciły i chlust na cała kupę! Żydy się wody boją... Ja się podniosłem... sięgam do kalety, czerwonego papierka niema. Mankulia mnie zdjęła... Ja do żydów — żydy w nogi... Icek się nawinał... kropnąłem go — a on, psia wena, zaraz do sądu o pobicie...

Prześwietny sąd powiada, żebym się przyznał— toć sprawiedliwie mówię jak było. Szliśmy na jarmark we trzech, gospodarze sprawiedliwe: Dziecioł Michał, Balasiński Wojciech i niby ja... Cicho'... dość?... noto dość. (Po pauzie).

Albo trzy ruble kary, albo dwa dni kozy?... A juści, odsiedzieć, odsiedzę, ale com zeprał... tom zeprał... Bo to prześwietny sędzie, było tak... Szliś

my na jarmark we trzech, gospodarze sprawiedliwe: Balasiński, Dziecioł i ja...

Za drzwi mam iść? to pójde; nie chceta słuchać, to nie słuchajta.. ale com żydów zeprał, tom zeprał.

## SIÓDMY DOM.

(Monolog pana Figelmana).

Ja pana radcego przepraszam, ale tak nie może być! U pana dobrodzieja lokator to pierwsza osoba! Za co? Czy on kupuje plac, cegłę, wapno, czy płaci za plan? Pan radca mówi, że on mieszka!... Za przeproszeniem, to jest gruba omyłka, to jest „fykcyja.” Jakim sposobem może mieszkać, kiedy dom wcale nie jest jeszcze postawiony?! kogo pan radca broni? Takiego, który nie jest, którego pan nigdy w życiu nic widział... Fe!  
Powiada pan, że on będzie. Dobrze, niech będzie, wtenczas o nim pomyślmy, damy mu wszystkie dogodności, niech płaci i niech sobie używa. Damy mu śliczny apartament. Cztery pokoje i pasaż. Masz tobie! Pan radca znowuż zawróci głowę, że miejsca jest ledwie na trzy... Proszę pana, ja też jestem znawca, ja już buduję

siódmy dom, ja w tę kochaną architekturę wsadziłem cokolwieczek kapitału, ja parzyłem się na gorącym, ja dmuchałem na zimne... mam smak... Ja się znam, ja lubię czysty gotyk. To jest śliczny styl... można dać ważkie okna, nie potrzeba dużo światła. Pan radca lubi się upierać przy powietrzu... Czy ja żałuję lokatorowi powietrza? Owszem niech on sobie idzie na spacer; ma Saski Ogród, ma Łazienki. Czy ja jemu odbieram światło? Niech pali dwadzieścia cztery lampy... co mi do tego? Musi być cztery pokoje i pasaż, proszę pana radcego, to jest konieczne... ja bardzo lubię pasaż. Nie będzie ciasno, na moje sumienie, ja sam mierzyłem. Tam jedna kobieta, choćby otyła, zmieści się, i jeszcze może postawić dwa kuferki nieduże. Na kuferki położyć trochę materacu, na materacu sama siebie... może ślicznie spać. Ja sam nie mam takiej wygody!  
Proszę pana radcego, koniecznie cztery i koniecznie pasaż. W stołowym będzie ciemno? Dlaczego? Ta ściana od oficyny, co pan radca powiada, że zasłoni, ona nic nie zasłoni, owszem, ona nie dopuści za nadto wielkiej reparacyi słońca. Czy to przyjemnie, jak słońce w same oczy świeci? To bardzo niemiło, trzeba roletę sprawić... Niech pan rachuje, że to im zrobi duży oszczędność. Pan radca mówi, że te ściany będą pod kątem piętnaście, a ja sumiennie zaręczam, że tam będzie jeden i to bardzo maleńki kącik. Ja się znam, ja

siódmy dom stawiam, sześć przehandlowałem i wszystkie były bardzo zdrowe, tylko dwa trochę musiałem podstemplować, ale za to jakie ozdobne! Taka spekulacya na domach, to żaden smak. Można trochę zarobić, ale jaka praca! Pan radca ma grymasy a majstry to grube ludzie, bez delikatności... Siódmy dom! Czy to bagatela! Ja go nie stawiam na fuszerkę, bo to dla mnie. Ja go nie myślę sprzedać, chyba, żeby mi kto bardzo dobrze zapłaci...

On musi być bardzo ozdobny Na froncie koniecznie trzeba dać takie złożone złocistości, takie mendaliony, jak imperyaty wprost z pod stempla; trzeba dać kroksztynki, kaputele. gzymy, figury. Ja zapince! Ja lubię elegancyę; ja już obstaiowałem drewniane schody na marmur, także maleńkie terakotki do sieni. Pompejańska sień czerwona, aksamitne balustrada do schodów, mosiężnych pręcików pod dywan; cztery żelazne brązowane panienki do trzymania gazowych lamp, kolorowe szkło do okien schodowej klatki. Sztukaterę też

obstalowałem u artystów... Oj! przyznam się pana radcego, że z tymi artystami to jest gorzkie życie! Ja ich znam, oni są rzeźbiarze, odlewniki z gipsu, oni też mogą zrobić, niech Bóg broni nagrobek.. To dzikie ludzie! Ja przychodzę do jednego, zamawiam rozetów, fasetów, niaskaroBSw na kominki. Daję nie dużo. bo kto może teraz dużo płacić! Wiesz pan co on powiada! On

powiada:— panie Figelman, obstaluj pan sobie „majzoleje.” Co to jest „majzoleje?” Powiada:—to taki familijny nagrobek. Słyszałeś pan, jaki to gruby doweip. artystyczny koncept!! Kto inny byłby się obraził, ja nie. Ja ich ukarzę pieniądze”, dostana. % mniej za robotę. Ja obstalowałem u nich rozety, fasety i maskaronów, cztery kantarydy do frontu, gzymy do pilastrów i różne kroksztynki, jak pana radcego wiadomo, żeby było elegancko. Obstalowałem jeszcze przeszłego roku. Było z nimi dość kramu! Oni powiadają: — panie Figelman, pan potrzebujesz stylowe fasety, czysty barok: a ja mówię: „nie zawróć pan głowę, pan jesteś artysta, pan potrzebujesz wziąć zaliczkę i robić co ja chcę. Nie żaden barok tylko ptaszki! To bardzo ładny styl, ten ptaszkowy styl! Na fasecie co dziesięć cali jest gipsowe gniazdko i gipsowe dwa kanarki. Nasi lokatorowie to lubią, oni mają z natury taką poczciwą familijną tendencję. Jeszcze artyści mi mówili o stylach, ah, musieli zrobić, jak ja chciałem. To gadanie jest! Czyje pieniądze, tego styl. Nie mogę powiedzieć, zrobili wszystko, oprócz maskaronów na kominki. Dlaczego to jeszcze nie gotowe, ja się pytani. Artysta mówi, że nie mógł dostać model. Co to jest model? Taki człowiek, co ma twarz w stylu, podług niego robi się maskaron. — A czy ja mam twarz w stylu? On obrócił mnie do okna i aż krzyknął: panie Figel

man, pan masz w twarzy dwa style, trzy style: rokokie, barokie i kawałeczek zopfu. Pan jesteś urodzony na model... Siadaj pan, obaczysz jaką ja zrobię, z pana małpę!... był tak zachwycony moją twarzą, że nawet: nie umiał się wyrazić delikatnie..No, powiada, siadaj pan i siedź... Śmieje się pan cokolwiek — ja się śmiałem, a teraz mówi: zrób pan taki minę, jakbyś pan miał zmartwienie albo boleść... — Na co ja mam mieć boleść, jestem zdrow!— Nic nie szkodzi! Ja się skrzywiłem, on krzyczy: — zachowaj pan ten wyraz twarzy, to jest cudowne!... Słyszał pan?! Siadałem de tego interesu pięć razy i ten artysta zrobił coś łajni! To nie był maskaron, to ja byłem, moja własna twarz, moje oko, mój uśmiech, moje delikatne skrzywienie — cały ja!... Te maskarony miały być w moim szóstym domu, bo ja stawiałem wtenczas szósty, ale je zatrzymałem do siódmego, do tego, co, choć pan radca nie wierzy, ja stawiam dla siebie... Nad każdym kominkiem będzie maskaron z mojej twarzy, z twarzy gospodarza! Lokator będzie miał mnie przed oczami, on zrozumie, że mój przyjemny wyraz oczu znaczy, że ja delikatnie przypominam si; o komorne, a boleść w moim skrzywieniu da mu poznać, że go z wielką przykrością będę musiał wyrzucić, jeżeli w terminie nie zapłaci.. Jaki to śliczny język sztuki, jaka wysoka myśl stylowa! .Ja to zabieram do mego siódmego domu, tylko proszę pana radcego w tych lokalach

musi być po cztery pokoje i pasaż... Oj znowuż lokatory! Fe, niech ich djabli wezmą... proszę pana radcego namyślić się i obliczyć. Ja w tym tygodniu przyjdę i pokaże fotografię z maskaronów... Śliczna twarz w trzech stylach: barokie, rokokie i zopfu... I to mój portret!

Słusznie mówiła nieboszczka moja ciotka, Weronika, po której w swoim czasie odziedziczyłem spadek: Jasiu, bierz się do jakiej specjalności, bo tylko człowiek specjalnie uzdolniony może mieć jakieś stanowisko na śniecie." Złote słowa tej zacnej niewiasty obrałem sobie za godło i od najmłodszych lat życia jestem specjalistą... Tak... wiedza o tem dobrze moi znajomi i — pochlebiam sobie — podziwiają jak daleko można zajść na obranej drodze, ma się rozumieć przy pracy i przy zdolnościach. Jeżeli się kiedy ożenię i jeżeli będę miał synów, każdemu powtórzę radę ciotki, każdemu z osobna i wszystkim razem. Zawołam wielkim głosem: Janie, Piotrze, Michale, Syinforyanie, Achacyuszu, Rochu i Bonawenturo! bądźcie specjalistami, Jak wasz ojciec — a zajdziecie daleko i wysoko. Ja czuję to, że jestem społeczeństwu memu

użyteczny i potrzebny, czuje, że gdyby mnie nie było. to stówu honoru daję, sam nie wiem, coby to było... Pytacie, jaka jest moja specjalność? To się nie da opowiedzieć w dwóch słowach, jest to albowiem specjalność specjalną, obszerna, wielka, nie skłamię, jeżeli powiem, że bezbrzeżna jak ocean. Bo proszę sobie wyobrazić naprzykład taką sytuację: ktoś, ma się rozumieć ze sfery moich znajomych, namiętny palacz cygar i człowiek zamożny, bo i to należy do mojej specjalności, że się z biedakami nie wdaję, jest w kłopotcie... Zapas prawie wyczerpał, nowego jeszcze nie posiada, próbował nabyć tu i owdzie, nie moje znaleźć takich, jakich żąda. Jest zmartwiony, cierpi, nareszcie, szczęśliwy traf zrzędza, że spotka! mnie na ulicy. — Józiu! — woła — ratuj, ty jesteś specjalista, a ja nie mam cygar, zmiłuj się, radź! Sądzicie, że go opuszczę w nieszczęściu? O! to się po mnie nie pokaże! Z całą uprzejmością i poświęceniem zajmuję się nim, niby miłosierny Samarytanin, prowadzę do znajomego agenta, każę pokazywać różne gatunki, próbuję sam, i nie upłynie godzina, a mój przyjaciel znajdzie się już w posiadaniu tysiąca przepysznych „Manilli." Entre nous soit dit... przyjaciel wyprawia mi pyszne śniadanko, a od agenta kapnie coś w gotowiznie. Mam z nim specjalne rachunki. Na cygarach wszakże nie koniec... o nie! Specjalność moja

obejmuje także wina, powozy, konie, ładne mieszkania, obejmuje ona również pewne, że tak powiem, stosunekki prywatne. Złośliwi robią z tego plotki, nie mające żadnego sensu, bo oczywiście albo się jest specjalista, albo się nim nie jest. Ja jestem i to w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu. Przyjeżdża ktoś znajomy ze wsi, chce wesoło przepędzić czas, zabawić się, ostatecznie, stracić trochę pieniędzy na rozrywki — któż mu w tem pomoże, jeżeli nie ja, człowiek fachowy specjalista? Nikt go nie oprowadzi sumiennie po wszystkich miejscach godnych widzenia. Ja, bo znam różne wejścia niekoniecznie frontowe, mogę wprowadzić przyjaciela do handelku przez sień, do ogródka przez kulisy, do cyrku przez stajnie, a że nie masz dla mnie tajemnic gabinetowych — to wiadoma rzecz. W całym mieście jestem jak u siebie w domu, a kto się mnie powierzy, może być spokojnym, gdyż dobrze ulokował swe zaufanie — oddał się specjalistom. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, ile mi z tem nie jest. Życie upływa wesoło i bez wszelkich wydatków z mojej strony, bo już się specjalność przynosi pewne dochody; nawet, jeżeli kto jest tak jak ja przewidujący i ostrożny, to i na czarną godzinę potrafi coś złożyć. Śniadania takiego, jak ja zorganizuję, nie zorganizuje nikt; takąż samą biegłość posiadam w urządzaniu obiadów, kolacji, majówek, czy to w większym towarzystwie, czy w mile do

branem kółeczku „intime” Znają mnie też nietylko w Warszawie, ale i w okolicach podmiejskich i abym się tylko pokazał, służba kłania mi się nisko, gospodarz wybiega na moje spotkanie gdyż wie, że jako specjalista nigdy sam nie chodzę, lecz zawsze kogoś prowadzę za sobą.

I w rzeczy samej, albo się społeczeństwu swemu służę, albo się nie służę — ja mu służę, a pochlebiam sobie, że służę dobrze, uczciwie, z poświęceniem. Naprzykład podoba się komuś kusić fortunę — zwyczajna rzecz, młody człowiek ma coś do zaryzykowania, ale jest przyjezdny, nie zna nikogo w mieście. Do kogóż się uda po radę, kto go wyprowadzi z kłopotu? — Oczywiście ja specjalista. W tej chwili znajdę czterech, pięciu, dziewięciu ludzi młodych, również pragnących próbować szczęścia i powiększyć swe kapitały. Ja ich wnet jednych z drugimi zapoznam, otworzę im moje własne mieszkanie, dum własny stolik, świece, karty, nawet dobrą kolację i wina, ile zechcą. Ktoby inny zrobił taką dogodność?! I nie myślcie państwo, że robię to tylko dla przyjaciół i blizkich znajomych? Bynajmniej — dla każdego, choćbym go widział poraz pierwszy w życiu. Ludzie, jak wiadomo, wdzięczni nie są — i częstokroć odpłacają złem za dobre. Tacy młodzieńcy przy grze pokłócą się czasem, niekiedy nawet idzie „de grubis” i cała złość zwraca się na mnie. Mówią, że utrzymuję szulernię, zwabiam niedoświadczonych,

grożą, bywa i taki, co rękę podnosi... Myślałby kto, że się obrażam, że wyzywam niegrzecznych na pojedynek... Przepraszam, albo się jest specjalista, albo się nim nie jest. Otoż ja, szczerze mówiąc specjalista od pojedynków me jestem i nie wdaję się wogóle w takie głupstwa. Przeciwnie, zawsze chętny do zgody, mogę nazajutrz dać buzi moim adwersarzom, o ile, naturalnie, wynagrodzą mi wyrządzoną przykrość. To trudno, każdy medal ma dwie strony, a każda specjalność swoje przyjemności i nieprzyjemności, więc się godzę — i nie koniec na tem... Gdy się który z moich gości zgira do nitki, kto mu przyjdzie z pomocą, jeżeli nie ja? Kto ułatwi mu sprzedaż pierścionków, zegarka, zbywającej garderoby? Ja i tylko ja.

Kto zna wszystkie lombardy, wszystkich lichwiarzy pożyczających młodzieńcom niezupełnie jeszcze pełnoletnim, nie pytających się o ścisłą autentyczność podpisów, nabywających spodziewane sukcesy, jak niedojrzałe zboże na pniu? Ja, tylko ja... Uczynność moja jest bez granic, a przyjaźń sięga aż do ostatniego rubla, ma się rozumieć, nie mojego, lecz owego młodzieńca. Gdy i tego zbraknie, nie pogardzani moim byłym przyjacielem, nie robię mu żadnych wymówek, ale poprosili nie znam go.

Powiedzcie państwo sami, czy można znać człowieka nie mającego rubla? Mnie, specjaliście.

nie wypada nawet mieć takich znajomości; popro\_ sto honor firmy na to nie pozwala, a pochlebiam sobie, że moja firma znana jest w szerokich kolach, jako bardzo solidna i zasłużona... Iluż to ja młodzieńców w świat wprowadziłem, ilu wykształciłem w sztuce życia!

Łajdaki są niektórzy z nich, nie dlatego, że mają indywidualne pojęcia o moralności, bo co mnie to w gruncie rzeczy obchodzi, ani ich matką, ani guwernantką nie jestem — ale łajdaki są dla tego, że wytwarzają mi konkurencję, że biorą się do tego samego fachu, na którym ja zęby zjadłem. To boli, to piecze jak ogniem, taka czarna niewdzięczność życie zatruwa.

Podły świat! ale... przepraszani... przepraszam... już ósma, a o trzy kwadransy na dziewięta zaczyna się u mnie tak zwana „partya pikiety...” Trzeba iść i poświęcać się dla dobra drugich, bo albo się jest specjalista, albo nie. Ja jestem — a jako taki, muszę być punktualny, jak zegarek. (Wychodzi).

Praktyczne lekcje anatomii.  
(Opowiadanie pana (Grunfischea.)

fl

Nie potrzebuję państwu opowiadać, że nie jestem bynajmniej uczonym doktorem.

Uniwersytet znam tylko z widzenia, a do tego. miejsca, do tej sali, w której prują nieboszczyków i patrzą, co w nich we środku jest, nie wszedłbym za żadne w świecie skarby.

Jestem maleńki finansista, i to bardziej komisowy, pośredniczący w interesach, aniżeli prawdziwy. Trochę pieniędzy mam, ma się rozumieć bo dlaczego nie mam mieć?... Raz na parę lat potrafię wyjechać na kurację za granicę; a kiedy wydawałem za mąż moją najstarszą córeczkę, pannę Reginę, to położyłem na stół całe dwa tysiące rubli — a przecież to jest ładny kawałek pieniędzy!...

Czy ja mogłem kiedy przypuścić, że będę znał

wyższe doktorskie nauki... taką naprzykład anatomię?!

.Ja pracowałem spokojnie przez całe życie... Naprzód cokolwiek nczytem się w che... to jest w takiej niższej szkółce handlowej; potem przechodziłem kurs w różnych innych zakładach, co już nawet nie pamiętam; potem byłem dla praktyki w kantorze, zanim samodzielnie zacząłem pracować w kleju...

To nie jest zły interes, tylko, że inne łajdaki zrobili już dużą konkurencję.

Ja byłem chłopak młody, elegancki, ja lubiłem chodzić w cylinder, mieć na oku kawałek szkiełka, w rękę ładną laseczkę... ja nawet trocię hulałem. Co państwo chcecie, człowiek miody... miałem przyjaciół...

Nieraz, jak przyszliśmy we trzech, to nas było pełne całe Eldorado! Ach, to jest, jak Włoch lubi powiadać: „tępe passate,” ale naprawdę to było „ostre passate,” —nieraz pukał szampan—a piwo to płynęło jak rzeka...

Pamiętam, była panna Esnieralda, Hiszpanka... znałem ją od małego dziecka, bo jej ojciec miał na Czarnej ulicy sklepik... to jest... co ja powiadam? Widocznie pamięć mi nie służy... ona była hiszpańska Hiszpanka z samego Wiednia, szansnistka pierwszej próby... Nieraz jadałem z nią kolacya.

Przytem .ja się nauczyłem z anatomii: że w kotlecie cielęcym jest kostka, a w kurczętach nadzienie.

Ja pozwalałem sobie jeść w restauracyi — to trudno od wczesnej młodości miałem cokolwiek libertyńskie liberalności w głowie i do dziś dnia zawsze chodzę nietylko z laską, ale i z postępem. Ja też mam cokolwiek wykształcenia; a chociaż długi czas pracowałem tylko w kleju, jednak trafiało mi się czytywać książki, a co do gazet — to nie przepuściłem ani jednego ogłoszenia o Irytacyi... Wszystkiem czytał...

Ta szansonistka Esmeralda kosztowała mnie trochę pieniędzy — ale na co ja to państwu opowiadam? Było, stało się, przepadło, czas przeszedł...

Ja miałem wujaszka... Pewnie go państwo znali—taki byt pan w angielskim surducie, z piękną brodą, aksamitną czapkę zawsze nosił—więc jak on dowiedział się, że ja cokolwiek pieniądze puszczam, to on innie zawołał i powiedział:

— Ty łaj... to jest on powiedział: ty ładny chłopaczku... czas już. żebyś nie był oszol... to jest, oszołomiony tą jakąś pask... to jest panienką, i żebyś się ustatkował. Ja tobie nie dam więcej chodzić do Eldorado, ani do „Chateau des fleurs,” ty potrzebujesz cokolwiek się ożenić i być człowiekiem; bo jeżeli nie, to zejdziesz na ostatniego tapserdaka.

On ostrą mowę miał ten wujaszek, ale byt

człowiek porządny; on mi wyszukał ładną panienkę, z bardzo godnej rodziny, z kawałkiem posagu; on ni dal posadę w innym kantorze i on mnie później wprowadził w klej\_\_\_\_\_

Taki stolarski klej. bardzo dobry towar... Ja się ożeniłem, Ksmeratda pojechała śpiewać do Katowic.

No?! co ja wtenczas mogłem znać anatomii? Chyba tyle, że... w rublu jest sto kopiejek, albo, że w rachunku może się znajdować feler. Czy ja miałem czas myśleć nad tem, jakie w człowieku znajdują się części Co mi do tego!—Wołałem wiedzieć, jaki człowiek ma kredyt i ile kleju można mu dać na rachunek. To była cała moja anatomia...

Zrobiłem się człowiek poważny, solidny, zacząłem brać różne interesa komisowe, przybyło mi kilkoro dzieci, zacząłem wyglądać dobrze, coraz lepiej. Nie potrzebuję się chwalić, ale w jednokonnej dorożce mnie było bardzo ciasno, a w parokonnej nie czułem za nadto obszerności....

Byłem bardzo śliczny mężczyzna — moja zona nie mogła się nacieszyć, że ma tak grubego i wspaniałego meza... Jej też nie brakowało kształtów... W Krasieńskim ogrodzie, jakeśmy szli, ludzie oglądali się za nami. Krótkie gadanie! Inne kobiety, nawet znaczne, firmowe damy, aż zieleniały z zazdrości, widząc, że moja zona ma takiego pięknego męża!... Nie

potrzebuję się chwalić... ale każdy człowiek ma jedną brodę—ja miałem trzy!

Tylko w tym czasie zacząłem miewać krótki

Oddech i lctucie w boku. Ma się rozumieć, poszedłem do doktora.

— Co jest? Niech pan doktor powie, co jest?... Oj! on mnie gniótł, on mnie pukat. on słucha! uchem, co we mnie skrzypi... i jak wysłucha}, wypukał, to się pyta:

— Panie Grinfiseh, czy pan masz pojęcie o anatomii?

— Panie doktorze, ja pracuję w kleju...

— Może dlatego pan jesteś bardzo rozklejony...

Ja krzyknąłem...

On mówi (bardzo porządny doktor):

— Nie potrzebujesz pan krzyczeć, panie Grinfiseh, tylko odbyć kurację. Ja panu wytłómaczę, anatomię.

On mi tłómaczy! całą kanalizację, jaka w człowieku siedzi; on umie nauczył, że wątroba to jest filtr, że ja mam tego filtra o jakie irzy funty za dużo, i że tan filtr jest zapichnięty i nie może dobrze filtrować, że przez to krew nieporządnie chodzi w swoich wodociągach, że cale wentylacje w inoju płucach jest przez to felerowate, że ja jestem jedna fabryka tłuszczu, i że nie ma się co dziwić, że ja, wszedłszy na trzecie piętro,

bardzo ciężko dycham... Przecież jestem ociężała fabryka...

Ja mówię do niego:

— Pan doktor mnie straszy!

— Nie bój się pan; ja pana informuję, żebyś pan wiedział, że trzeba się kurować.

Oh! ja odszedłem od niego z pełną głową anatomii — i od tej pory rozpoczęły się moje lekcje!

Chwalili Boga, ten doktor, ach, doskonały doktor! dał mi różne medycyny i kazał mi pojechać do Karlsbadu...

Ja pojechałem mnie pomogło.

Moja figura zeszcupiała, moje trzy brody zmniejszyły się o , moja rderoba musiała być zwężona o... J, a moja gotówka zwęziła się po tym kochanym Karlsbadzie do 1t%... Proszę państwa, jaki klej może to wytrzymać?... ale przynajmniej nauczyłem się troi hę anatomii.

Śliczna nauka! przynajmniej człowiek ma ten zysk, że jak go pika tu (pokutuje na serce), to wie, że jest do czynienia z sercem; jak tu (promi boi;), to kochana wątróbka; jak tu ciężko to wentylacja placowa.

To już się idzie prosto do takich doktorów, którzy od tych chorób są. Ja już nie pytam doktora, co mi jest, — tylko mówię jemu: „Proszę mnie leczyć na lewe strone płuca od frontu, albo od pleców...” Bo trzeba wiedzieć, że płuco to jest taki interes, co ma dwa fronty...

Doktor pyta:

— Panie Grinfisch, zkaąd pan tak znasz anatomię?

— Znam... i jaką anatomię ja znam: pajtologiczną! To nawet nie każdy doktor potrafi. Oni znają więcej tę ordynaryjną anatonóę!

Proszę państwa, ja nie mogę się pochwalić, żebym był zanadto zdrow, nie powiem też, żebym ciągle chorował; tak sobie mam—średnie zdrowie; raz na dwa lata jeżdżę na kurację za granicę, ale anatomii to ja się ciągle uczę. Mnie zabolę oko—ja idę do okulisty, on mnie da lekarstwo i musi mnie nauczyć, co jest w człowieka oku; mnie zabolę gardło, to się dowiaduję, co to jest za interes gardlany... i ciągle tak.

Ja mam wielką zdatność do takiej nauki i czuję się bezpieczniejszy przez to, że wiem, co mi dolega.

Ja mam takich przyjaciół, którzy śmieją się ze mnie, że ja sam sobie tworzę różne choroby; ale oni głupi są—ja wiem, co ja robię...

Ja lubię kontrolę — a jeżeli nie dam bez kontroli paczki kleju, to jak mogę dać doktorowi bez kontroli całą moją osobę? Pan Grinfisch nie jest głupi... bardzo dobrze wie, co robi.

Ja wciąż biorę moje lekcje anatomii... ja z czasem będę umiał więcej, niż sam najlepszy profesor.

A wiecie państwo, gdzie ja teraz jestem w mojej anatomii?...

Daleko jestem... bardzo daleko...

Czuję, to jest czułem pewne szczywienie w nodze.

Przyznam się, że nie wiedziałem, jaka to może być anatomia kolo kolana. Powiedział mi jeden doktor, że to jest interes nerwowy... ładny geszeft!

(Vo diu ili).

Aj! (chwyta g za ramię). Niech go lichu weźmie! Ten interes nerwowy potrzebuje mieć filię w ramieniu? Nie wiedziałem... Ja taki znawca na całą pajtologię....

(Vo pauzie).

A któż mi zaręczy, czy tam nie jest całkiem niezależny geszeft, czy to nie jaka nowa awantura kościana, niusknlowa albo skórzana? Czy ja wiem?

Nie, przepraszam państwa, ale ja idę do doktora; ja się go spytać, poradzić się z nim... Choć ja jestem duży znawca, ale co dwie głowy, to nie jedna. Przytem... ja się trochę boję... Na ten ból w ramieniu nie zdarzyło mi się jeszcze chorować...

fiKMiYi peiągiei.

Któraż to godzina? Kwadrans po czwartej! Wielki Boże! Obiad dopiero co się skończył, a miał być na dragą punktualnie.

Co za ironia! Punktualność i nasza Wojciechowa, zegar i gapiowstwo, pośpiech i rozlazłość w najwyższym stopniu!

Zapowiedziałam jej, że o dwunastej siadamy do stołu, w przekonaniu, że wyguzdrze się na drugą. Jej się zdawało, że ja wspominałam pierwszą i dała wszystko prawie surowe o trzeciej, dogadując jeszcze, że co nagle, to po dyable.

Niechże kto wytrzyma z taką babą! Mąż mój nie miał tej siły, uciekł.

Usłyszał też przed wyjściem, o! usłyszał, ale... on do tego przyzwyczajony; rządzi się filozofią obojętności. Tak to przynajmniej nazywa po swojemu...

Dobrze jednak, że sobie poszedł, bardzo dobrze. Możemy się pożegnać i na dworcu, a obecność mężczyzny, gdy cztery kobiety wybierają się w podróż, jest nieznośna.

Szczególniej obecność mego męża; ten pan bowiem liczy kufarki, pakunki, walizki, pudelka, 'zawiniątka, tłomoczki, kosze, koszyki i zapytuje: ile ma zamówić dorożek pod rzeczy, które bierzemy, a ile pod te, których zapomnimy?

O panie! my mamy lepszą pamięć niż sobie wyobrażasz, a twoja złośliwość nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Na tym punkcie może najlepiej uwydatnia się wyższość kobiety nad mężczyzną!

Dziś wyjeżdżamy nareszcie tej dusznej Warszawy, z murów rozpalonych od słońca, wyjeżdżamy dla wypoczynku, dla zdrowia, a najbardziej dla spokoju.

Ach, spokoju! Niczego tak gorąco nie pragnę. Warszawa męczy, szczególnie w tak zwanym letnim karnawale, który jest uciążliwszy od zimowego, gdyż odbywa się specjalnie na świeżym powietrzu i wymaga efektownych toalet spacerowych.

Koncerta, wycieczki, wyścigi... Mąż mówi nieraz: co cię obchodzą wyścigi, czy się znasz na koniach?

Bardzo przepraszam, kto ina trzy córki dorosłe, ten się zna na wszystkim i wszystko go obchodzi. Gdyby były w modzie wyścigi zab lub

koncert zakatarzonych kotów, musiałbyś kupić tożo i przypomnieć światu, że masz żonę i córki: Kazię, Micie i Florcię.

Dziękuję Hłogu jednak, że się to już skończyło, że odetchnę na wsi.

Co za rozkosz! Wieś, cisza, nie ma prawie nikogo. Willa, hamak i negliż!

Jak na pustyni, w cieniu palm... według wyrażenia Kazi, która ma talent do poezji, prześlicznie maluje, a teraz uczy się wypalania na skórze...

Tak... ze strojami rozbrat stanowczy, biorę tylko po doraźne dla pańienek... prześliczne, leciutkie, powiewne jak zefiry, no i dwa dla mnie, ubierane jedwabiem, strojniesze.

Nio można się przecież zaniedbywać.

Mai mówi, że za dużo tych fataJaszków. Jacy oni niewyrozumiali! Zdaie im się, że kobieta powinna diodzie w worku i przepasywać się sznurem konopnym.

Za dużo fabilaszków a tu raptem: po dwa negliże, po dwie sukienki spacerowe, po dwie wizytowe i po jednej strojniesze}. Myślałby kto, że cały wagon sukien, a tylko po siedm, a że nas jest cztery, więc całej parady... ileż to? Cztery razy siedm... to mamy zaledwie dwadzieścia ośm:

Tak, trochę więcej niż dwa tuziny, no, do tego okrycia, parasolki, rękawiczki, kapelusze, naturalnie bielizna, pościel... przecież niepodobna

tego wszystkiego zmieścić w portmonetce albo w kieszonce od zegarka i rzeczywiście jest kilka pakunczków, aonmówi, że to „sterta tlomoków”!!

I zapytuje na co? Dlaczego tyle rupieci z sobą zabierani! Dlaczego biorę tyle naczyń kuchennych, bielizny stołowej, szkła, porcelany?

Dlaczego?

Co za naiwne pytanie! Dlatego, że trzeba jeść, spać i utrzymywać stosunki towarzyskie.

Wytacza się nowy argument, ciężki jak armata, a złośliwy jak osa (naśladuje głos mija): — Ależ zastano w się, kochanie, jesteś zmęczona, znużona, jedziesz na wieś dla wypoczynku, dla zdrowia, dla spokoju...

przedewszystkiem dla spokoju. Jak sama powiadasz, chcesz oddychać swobodnie i napawać się ciszą pustyni... Ależ tak, sto razy tak, mój panie, ja chce oddychać, chcę się napawać ciszą, tylko niech ci się nie zdaje, że na pustyni nie ma ludzi!

Kilkanaście rodzin, z którymi bliżej żyjemy, już wyjechało. Niech ci się nie zdaje, że będziemy siedziały jak w więzieniu. O przepraszam, bardzo przepraszam!

Coby to był za wypoczynek bez krowki, lawntennisu, wycieczek na łodziach, bez podwieczorków w lesie, bez tańców, bez teatru amatorskiego!

Micia już ma ładną rolę i prześliczny kostyum. Boże! gdzie ta dziewczyna przepada? Już piąta,

za pot godziny czas jechać na kolej... Poszła do magazynu, żeby jej odmienili kwiat przy kapeluszu i dotychczas nie wraca... Florcia z Kazia pobiegły po rękawiczki i różne drobiazgi. Maryanrię poszłam do szwaczki... A Inąż marudzi.

Sinieje się, że miałyśmy wyjechać jeszcze wczoraj, także wieczornym pociągiem, o szóstej, i że nie mogłyśmy się wybrać.

Ten człowiek wyobraża sobie, że wybrać się z domu to tak łatwo, jak jemu naprzykład, zrobić plan jakiej głupiej gorzelni, albo młyna! To zupełnie co innego usiąść wygodnie przy biurku i rysować, a co innego pozbierać tyle drobiazgów, ułożyć porządnie, żeby się nio pomyęły, o wszystkim myśl.'

Ach! in;;',. myśleć. Gdy się ma trzy córki w domu, to myśleć o czym jest.

Trzy, nit przyszły rok może będzie tylko dwie albo jedna, bo pan Kalikst widocznie wyróżnia Kazię, a pan i itoni Micie.

Oni też będą na letnieni mieszkaniu; zapowiedzieli wizytę...

Wobec tego, zapytuje, jak wygląda zarzut męża, że bierzemy za wiele tlomoków?! Coś podobnego powiedzieć może tylko wogóle mężczyzna, specjalnie człowiek złośliwy, a najspeciallyniej i przedewszystkiem kochany mój małżonek!

Ach liożel Kazi jeszcze nie ma, Micia z Flor

cią nie wracają, a Maryanna musiała kogoś spotkać. Ta dziewczyna ilo razy jest postana po jaki pilny sprawunek, tyle razy musi, ale to musi koniecznie, trafić na pożar i zobaczyć wszystkie pięć oddziałów straży ogniowej. O, już to ja mam wogóle szczęście do sług!

Panienki nie wracają, Maryanna, na pewno przy ogniu, a niegodziwy zegar nie idzie, ale leci jak waryat! On się chyba spieszy, ale nie (idzie do okna), u zegarmistrza visavis zegar wskazuje to samo co do minuty. Istna zmowa na moje nieszczęście...

Ach! byłabym zapomniała na śmierć. Nie zapakowałam zarzutki koronkowej; zdaje się, że została w szafie... ale... co ja mówiel!? Wzięłam ją Tak, tak, jest w największym kufrze.

W głowie się mąci, doprawdy!

Dzwoni ktoś.

To napewno Kazia. Ta dziewczyna jest dziwnie punktualna. Eli, złudzenie! Szlifierz dzwoni na podwórzu, a mnie się zdawało, że to ona w przedpokoju.

Zostaje dziesięć minut czasu. Nio sposób ułożyć reszty rzeczy, znieść do dorożek, ubrać się, włożyć rękawiczki, zapowiedzieć Wojciechowa), żeby się ani jednego razu przez lato nie upiła, żeby codziennie sprzątała, podlewała kwiaty, dawata jeść kanarkom...

Nie, to nad sity ludzkie!

Założyłabym się, że mój matzonek czeka na dworcu, aby kupić bilety, wyprawić bagaż i pożegnać się z nami.

On jest dobry, ja wiem, ale pewnie pociąg już odszedł.

Teraz Florcia dzwoni, poznaję,... Tak, to ona. Kychło w czas! nie ma co, przepadło... ten pociąg dla nas stracony.

Kto koleje żelazne urząda!, nie miał dobrze w głowie. Rozkład zrobili, jak na przekorę, taki, żeby się publiczność koniecznie spóźniała. Co pomoże, że „Kuryer wciąż pisze o nosie i tabakierce. Dużo to ich obchodzi? Aby bilety sprzedawać i pieniądze zgarniać, to główne zadanie tych panów!

teniz Kazia przyszła... otwiera zatrask kluczem, wchodzą wszystkie trzy.

Spóźniłyście się panienki, pociąg już odszedł. Pojedziemy rano o dziesiątej... Nie zdążycie, więc o drugiej?

Micla mówi, że za gorąco ma słusność. Ano, dobrze.

Jutro już napewno wieczornym,, jeżeli kochana Wojciechowa znów obiadu nie spóźni.

ZDATNY CHŁOP.

...Już, wielmożny panie, mnie nie pierwszyczna; od maleńkości po dworach służę, do każdej roboty zdatność uiam, że aż mi w garści piszczy, jak się czego chwyć.  
(Kłania się).

...Wielmożny pan pyta, jak dawno we służbie jestem? Ile lat?

Ktoby ta rachowali... Ano juści... zara jak tatulo odum.irl, to mnie wzięli do Boliboktiw, do gęsi; pasłem bez dwa lata za wikt i przyodziewek, a zimową porą popychali mnie do różnej posługi, po letkości...

Na trzeci rok pasłem świnie w Zawrotkach. we dworze, ale mi się okrutnie mierziło bez cały dzień we świńskiej kompanii ostawać i jako, że to stworzenia zdradliwe i szkodne, a rządcą o byle co po karku tłukł, tak się we mnie złość zbu

rzyła, rznąłem czapkę o ziemię i powiedziałem: nie chcę i tyło...

Mieli mnie znów do owiec obrócić i byłbym może przystał, jako, ie taki inwentarz jest pocziwy, ale się owczarza bałem, bo czarownik był wielki, ziola zbierał, baby po wsi lekował, a jak chciał komu zadanie złe zadać, to zadał i zaraz takiego pokuliło het, że jeno za żywot się trzymał i tak chodził.

Nie chciałem być kolo takiego człowieka i zgodziłem się do Wólki, do bydła, ale zaraz na drugi rok stangret z Chabęcina umie namówił, żebym się zgodził do stadniny, niby do żrebaków—i byłem sprawiedliwie przez trzy i oki, jeno, że wikt był marny, a szafarka skąpa, to znów rznąłem czapkę o ziemię i rzekłem, że nie chcę i na tem skutek.

Poszedłem na jarmark do Ogonowa, kupić buty, i zara mnie żydy obstały i poczęły namawiać, żebym się zgodził do Zabłocia za fornala...

Dogadywały, że pensya legumina, wikt dobry, a dziedzic bardzo wspaniały pan, że będę siedział sobie w wygodzie, że się, na to mówiący, ożenię, dostanę ordynaryą...

Skusiły mnie, poszedłem...

Tymczasem dziedzic byt starozakonnego narodu, taki sam, jako i te faktory, zamiast pensyi jeno kwitki na gorzałkę dawał i na śledzie do

dziedziczki, jako że sama z córką w karczmie siedziała.

Zamiast jakiej roboty, żeby choć, nato mówiący, orać albo bronować, albo co inszego robić, to jeno wozilem dziedzica i jego familiantów po jarmarkach, po żydowskich weselach, gdzie jeno kazał...

Wielmożny pan powiada, że pewnie znów rznąłem czapkę o ziemię... A juści że nie co, jenom rznął dziedzicowi pod same nogi. Sądem odgrażał, ale ja jeszcze lepiej. Rozwarłem gębę, bo rozwarłem, a mnie co!... Miałem się bać takiego?...

Juści że mnie przypozwał i świadków postawił czterech; iak poczęli szwargotać, zem go zdyfamował, zem się odgrażał, do bicia się rwał... jak poczęli łącać te świadki, kazał mi sąd przy giuin ie trzy oni w kozie odsiedzieć. Radzili mi apelaeyą robić, ale nie chciałem; co będzie to będzie; odsiedzę, a jak swoje wysiedzę, to go jeszcze lepiej zdyfamuję.

Ma się rozumieć, zem odsiedział, a bardziej toni odkopał.

Niby że to była sama wiosna, przed Wielkanocą, pisarka kazała mi w ogrodzie grzedy kopać. Kopalem dokumentnie, nie przykrzyło mi się, jeść pisarka dawała dobrze i dość, a na noc słałem sobie w kozie dwa snopki słomy, stróż mnie zamykał na kłódkę, jako niby żebym nie uciekł, Monologi.

i spałem lepiej, niż mój sUrozakonny dziedzic na swoich betach.

(Pansa).

Proszę wielmożnego pana, to bajki; dużo sInżbów różnych miałem, ale za to, do każdej roboty, do czego mnie jeno obrócić, zdalny jestem i odpowiedzialny.

Wotami to wolami, końmi to końmi, do sierpa, do kosy, do cepów, do grabi, do lady, do sieczkarni, do czego jeno kto chce... a siekierą też potrafię.

Jak się w Dziurawej Woli stodoła zawaliła, to przy cieślach robiłem i takem ją wrychtował, że po dzisiejszy dzień stoi jak nowa i choć nieraz duży wiatery bywa, ani nie zatrzeszczy.

Już nie mam się co chwalić, wielmożny panie, ale zdarność we mnie jest okrutna do każdego obrotu i byłem sobie dobrze podjadł, a pensja mnie doszła, to się lada czego nie złączę i za dwóch zrobię...

(Pauza).

Świadectwa wielmożny panie miałem, sprawiedliwie miałem, ale teraz, po prawdzie mówiący, nie mam.

Gdziem podział? Czy zgubiłem?

Nie, wielmożny panie, łgać nie będę, anim zgu

bil, amin podział; jeno spożytkowałem, bo choć człowiek nie jest piśmienny, ale zawdy papier mu czasem bywa potrzebny...

Na co? A dyć czasem się człowiekowi knczy, to radby papierusa wypalić, jako że fajki teraz niemodne... to się bierze garsteczkę tiutiuniu i kawałek papieru, ukręci się taką, nie przymierzając, kiszeczke i jest rozweselenie w markotności, a gdzie ta papieru białego szukać, wycinało się i zapisany.

(Pauza).

Eh, nie wielmożny panie, tego nie zrobię, ani we stodole, ani w oborze, ani w inszym budynku, ani nawet w chlewie; ro inszego w polu, albo, na to mówiący, w chałupie przy kominie, jako że Da taką przygodę jestem probant, bo już widziałem, jak fornał całe obejście z dymem puścił...

Wielmożny pan pyta, gdzie była ostatnia moja służba? W Saganówce, u pana Wierzgajskiego.

Bez dwa roki u niego byłem, dobre panisko, jeno, że go okrutnie żydy obsiadły i bez to pieniędzy ma obrzednio.

Ledwie dycha nieboraczek i pewnie z posiadzialności swojej pójdzie, bo się precz na niego odgrają, że niby obdłużouy jest i że komorniki mają Saganówkę sprzedać. Niech go tam Pan Jezus miłosierny ratuje, bo chmtziaczek na ostatnich nogach stoi, a te się na niego zawzięty i precz go piłują.

Niby do czego służyłem i dlaczego odchodzę, skoro pan rzetelny i dobry?

No juści, zgrzeszyłbym ciężko, gdybym na niego narzekał, dobry pan, że takiego drugiego w świecie poszukać. Bez jeden kwartał bytem u niego za fornała, a bez siedm kwartałów za dziewczkę i byłbym do dzisiejszego dnia, jeno że z dzieciakiem nie moge sobie dać rady...

A co wielmożny pan tak patrzy? Toć nie lżę, jeno sprawiedliwą prawdę ])]wiadam.

W Saganówce takie założenie było, że się dziewczki nie wiodły.

Będzie inne miejsce, że się nio wiodą owce, insze znów złe na konie—w Saganówce było takie złe na dziewczki.

Co jaką przyjmą, tu albo sama ucieknie, albo trzeba wypędzić.

Jedna ci próżniak, druga walkoń, insza latawica, że jeno zęby grzeje na słońcu; co się która trafi, to takie gałgaństwo, że jeno w harmatę nabić i wystrzelić.

Ostatnia była przy krowach Jagna, ale ukradła gospodyni spódnicę i uciekła, a pan Wierzgajski mnie wola i powiada:—„Janie, już mi te dziewczyska kością w gardle stoją, patrzeć na nie nie mogę. Rób co chcesz, musisz mnie ratować — bądź ty za dziewczkę!”

A ja się, wielmożny panie, po głowie skrobię, jako że od maleńkości dziewczką nic bytem i ko

oleckiego wypraktykowania nie mam... Ale pan Wierzgajski szafę otworzył, kielich gorzałki mi nalał i mówi znów: „Janie, nic się nie bój, będzie z ciebie dziewczka lepsza, niżli te latawice, zębów nie szczyrząca, przy studni nie wystająca, na tańce w karczmie nie ochotna, a co się tycze kobiecekiego obrotu, też się nie bój, tyś zdatny, wszystkiego się domyślisz, a jakbyś czego nie potrafił, to cię Onufrowa, niby gospodyni, douczy, jako wypraktykowana we wszystkich babskich sposobach.”

Ja gorzałkę wypilem, skłoniłem się panu grzecznie i powiadam:—„Skoro tak pan każe, trudno— niech się co chce dzieje, będę za dziewczkę.”

(Pmua).

O, wie'.....żny pan się dziwuje, jak sobie rady mogłem dawać. Bajki! krowy obrządzałem, doilem, gotowatei kartofle dla gadziny, siąkałem zielsko, Onufrowej pomagałem w kuchni, wszystko, co jeno potrzeba, robiłem.

Juści mi się trochę przykrzyło, to prawda, ale dla dobrego pana to się człowiek przemoże i wszystko ze szczerości serca uczyni... i byłbym jeszcze parę lat posiedział w Saganówce, ale nie mogłem sobie rady dać z dzieciakiem...

Maleństwo, samego w chałupie zostawić nie można, oddać na wychowanie duży koszt, familii po bliskości nie miałem, a Onufrowa też przy swoim zatrudnieniu nie mogła mi pomocy dać,

Bez to ja wielmożny panie służbę zmieniam, a skoro pan chce mnie za fornała, to zaraz zadatek biorę, a od świętego Jana do obowiązku przyjdę.

Jeno inaczej nie, tylko na ordynaryę, bo się muszę ożenić...

A no juści, wdowiec jestem, zona mi zmarła, dzieciątko ostawita...

Niech się wielmożny pan nic boi, czapki o ziemię nie rznę, zadatku nie odniosę, a co do zdatności, to się wielmożny pan przekona.

Potrafiłem za dziewczkę być i pan Wierzgajski był kontent i mówił, że w życiu swoim lepszej dziewczki nie miał — to i za fornała jeszcze potrafię, jako że wszyscy wiedzą, że jestem zdatny chłop na wszystkie cztery boki.

Feniks.

Uf! gorąco dziś jest... Ktoby się spodziewał, w Warszawie w słońcu... w takiej Warszawie!  
Nie dziwiłbym się, żeby w Wiedniu, bo tam inne zupełnie miasto, tam cywilizacja, tam świat!  
U nas panują jeszcze grube zabobony, ciemnota. Ja sam posiadam w rodzinie takich stryjaszków, co chodzą w długich kapotach i takie ciocie, co noszą peruki. Ja nie jestem zabobonny człowiek, noszę surdut krotki, ubieram się elegancko — moja żona mnie namawia, żebym sobie sprawił perukę, ale to głupstwo jest. Ja byłem w Wiedniu i znam tamtejszą modę.  
Najpierw bankierowie noszą łysiny, dlaczego ja nie mam nosić łysiny? To wygląda poważnie i świadczy, że człowiek jest finansista solidny, zahlfahig— wypłatny.

O rano powiadają—przepraszam, ja sobie trochę usiądę, na takie gorąco człowiek traci siły, bardzo traci (siada i ociera twarz chustką), ° na Warszawę, gdzie normalna temperatura procentowa jest tylko ]°!  
Ja też jestem trochę finansista, niewielki, bo na to mnie nie stać, ale cokolwiek: dwa razy w życiu miałem spory skład galanterii, teraz prowadzę interes z garderobą na raty. Cóż robić, trzeba pisać: „walutę w haweloku, w spodniach, w kamizelce i w smokingu otrzymałem.”  
Stara zasada nazywa, że jeżeli na drodze stoi przeszkoda, to trzeba ją ominąć.  
Ja omijam. Woję handlować spokojnie wiedeńską garderobą, aniżeli ze zmartwieniem pieniędzmi.  
A może kto myśli, że ja jestem krawiec? Nie; w naszej rodzinie krawców nie było i nie będzie. Ja jestem handlujący i syn...  
Mój syn będzie czem zechce, bo ja jemu daję wysoką edukację. Ja chcę jego śrubować do góry.  
Och, edukacja! Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to nie rozumiem sposobów tej edukacji; chociaż sprytnie dziecko, że wszystkiego potrafi sens wyciągnąć.  
Wczoraj naprzykład było takie zdarzenie. Ja siedziałem grubo, grubo zamyślony... moja żona liczyła pieniądze, moja córka reperowała swój kapelusz, o! bo ona wielka elegantka jest; ona lu

bi wyglądać na ulicy jak najwspanialsza dama, a mój syn Leoś czyta! swoje lekcje.  
Ja byłem bardzo zamyślony. Teraz wszystkie sklepy chcą mieć dziką firmę: „Colorado,” „Pensylwania,” „Kolumbia!” Jabyłem chciał przyozdobić mój skład garderoby jakim ładnym tytułem.  
Moja córka, ta elegantka, co sobie reperuje kapelusz, ma w sobie cokolwiek złośliwości, lubi się śmiać z tego, co nie trzeba... to ona robiła mnie propozycję, żeby mój wielki magazyn garderoby nazwać: „Szmaleseite,” „Lumpenland,” Tandeteninsel” — więc ja się rozgniewałem i powiedziałem do niej: — „Hlnlt moj! dy Ryfke,” to znaczy: Nie dowcipkuj, ty kochana Reginko! i byłem jeszcze bardziej zamyślony, a tymczasem Leoś, mój synek Leoś, ciągle czytał swoją lekcję.  
Jakieś bajki! Czytał, że była na świecie jedna kura, czy wrona, co się nazywałą Feniks i co zrobiła taką sztukę, że się spaliła zupełnie na popiół i że z tego popiołu znowuż się zrobiła żywa kura, czy wrona, taka sama, jak była w pierw i ta sama co była w pierw!  
Więc mnie się uprzykrzyło takie zawracanie głowy i mówię do synka:—Słuchaj Leoś. ja mam duże myślenie, nie przeszkadzaj mi i czytaj swoje bajki po cichu, jeżeli zaś koniecznie chcesz czytać głośno, to idź do kuchni i czytaj.  
Nasza kucharka, stara Moškowa, bardzo lubi różne bajki i plotki, to akurat dla niej zabawa.

Państwo myślą, że Leoś poszedł do kuchni? Nie; eo się obraził.

— No, powiada, ojciec sobie żartuje z tego ptaka?

— Żartuję!

— To ojciec się nie zna na klasyczności.

— Idź do licha ze swoją klasycznością! Ja lubię prawdę. Jakim sposobem może kto ożyć i odrosnąć z swojego popiołu?

On się zaczął śmiać i'. Reginka także się śmiała i moja zona jak zobaczyła, że wszyscy się śmieją, też puściła w ruch swoje trzy podbródki i ztapata się rękami za boki.

Ja jeden nie śmiałem się, bo byłem bardzo zły.

Jakto! ja pracuję głową, ja się męczę, ja chcę wymyśleć coś efektownego dla mego magazynu, śliczną firmę w wiedeńskim guście, a oni się śmieją? Więc krzyknąłem głośno, tupnąłem nogą i powiadam do Leosia:

— Kiedyś taki mądry kawaler, to pokaż mi takiego ptaka.

On się znów śmieje.

— Nie mam co długo szukać, znaleźć go mogę u nas, w naszej rodzinie, przy tym samym stole.

— Gdzie jest ten Feniks?

— Tate jest Feniks. Tate już dwa razy był spalony na popiół przy galanterii, teraz się tate odrodził przy garderobie wiedeńskiej. Może nie prawda? Może wierzyciele nic dostali popiół za

miast pieniędzy. Niecił tate teraz powie, że tate nie jest Feniks?!

Tu ja już nie mogłem wytrzymać i także zarząłem się śmiać. Dalibóg, zdolne dziecko ze wszystkiego wyciągnie naukę, nawet z takiej zwyczajnej bajki!

Feniks! na moje sumienie Leoś ma rację. Ja byłem już raz Feniks i byłem drugi raz Feniks. lia! ba! ha!

(Sinieje się).

Leoś zdolny chłopak, on to od razu zmiarkowali...

Ach... coź robić, każdy człowiek pracuje, jak może — ja robiłem w galanteria Miałem ładny sklep na Długiej ulicy.

Mnie sz! ". Był kredyt, był ruch publiczności, a gdy idzie, gdy jest u hurtowników kredyt, a w sklepie ruch, to dlaczego nie zbankrutować?

Ja tak się urządziłem, że towar zniknął, a w sklepie zostały same pudełka, potem czekałem, aż będzie termin weksłu wystawionego hurtownikowi. Termin przyszedł sobie, a ja poszedłem do Saskiego ogrodu sobie.

Mnie zrobili protest, ogłosili upadłość, chcieli sprzedać pudełka, ale ja mam delikatną naturę, ja im powiedziałem: .Moje kochane wierzyciele, my się dobrowolnie ułożmy i handlujmy spokojnie dalej, ja wara proponuję ośm kopiejek za rn

bla. Oni zażądali dwanaście i półstanęło na dziesięciu, ze innie zdjęli upadłość i zacząłem znowu handlować galanterią.

Jak ślicznie powiada ten mój kochany Leoś!— Ja byłem wtenczas pierwszy raz Keniks. Ja sobie całkiem odrodziłem; na Długiej ulicy w sklepie, który zajmowałem, został mój popiół, a na Marszałkowskiej ufundowałem nowy, bardzo elegancki sklep i tam znowu siadłem i siedziałem, jakby całkiem świeży ptaszek, co z popiołu wyfrunął.

Jaki to był sklep, jaki szyk, jaka elegancja, jaka taniość! Moja zona stała przy kasie, czasem Reginka (właśnie tam ona nabrała fanabery).

Trzymałem dwóch subiektów z francuskimi językami, po dwadzieścia pięć rubli na miesiąc, a sam cztery razy do roku jeździłem do Wiednia aby wybrać różne figielki, nowości...

Bardzo dobrze było, dobrze szło... no, ale co państwo chcecie?  
Najlepszy koń czasem źle nogo postawi, najlepsza firma może zbankrutować. Ja też miałem taki przytrafnek—  
ogłosili mi znowu upadłość.  
Tym razem było trochę trudniej, wierzyciele zawzięli się, chcieli dostać ) kopiejek za rnbła.  
Takie łajdaki bywają czasem nionasycone; gardła im zapchać nie sposób!  
Kłócili się ze mną, nawet robili mi osobisty przymus, tak, że musiałem trochę siedzieć, ale skończyliśmy  
zgodnie, dostali za sto.

Niech ich djabli porwą, czas coraz cięższy  
jest.

Ten łobuz Leoś ma rację. Ja zrobiłem się drugi raz Feniks i wylazłem z popiołu.  
Do galanterii nie było po co wracać; hurtownicy już nie chcieli dać kredytu, więc handlowałem potrochu  
pieniędzmi...  
No, alit i ten interes w ostatnich czasach zaczął się robić nieprzyjemny, więc założyłem mój wielki magazyn z  
garderobą na raty...  
To trochę idzie, bo ludzie lubią elegancko wyglądać, jeżeli ich to niedrogo kosztuje,  
A u mnie garderoba jest bardzo tania, ja potrafię dać najmodniejszy garnitur za kilkanaście rubli!  
Plotkarze mówią, że ja kupuję stare lachy od handlarzy... Pfe!  
Ja mam wszystko z samego Wiednia, a czy w Wiedniu kupują od handlarzy, tego nie wiem.  
Ja patrzę tylko na plombę. Który magazyn potrafi dać teraz z plombą? Co najwyżej zdobędzie się na ołowiane  
guziki.  
Głowa mnie, bolała od myślenia nad tem, jaką nazwę nosić ma mój magazyn.  
Już byłem zdecydowany na „Kalifornię,” ale Leoś otworzył mi oczy — będzie „Feniks.” Śliczny interes, śliczna  
firma.  
Monologi.

Leoś mówi, że to trzeba pisać „Phoenix,” jeszcze ładniej! a że ja uiam na imię Fajbuś, to się napiszo tak. „Grand  
magazin de Mr. Phuyboucho Piperblatt,” a nad tym napisem każę wymalować samego Feniksa, jak on  
wyskakuje z popiołu.  
Zaraz idę do malarza, tylko mam wielką trudność: Nie wiem jakiego ptaku malarz powinien dać za Feniksa.  
Leoś nio może mi udzielić informacji, gdyż, jak powiada, żaden F'eniks nie stoi w zoologii.  
On zawsze ma wyższe i klasyczne wyrażenia ten Leoś.  
Trzeba wybierać samemu: wróbel jest za mały na Feniksa, wrona to smutny Feniks, kura bardzo pospolity.  
(Zamyśla się).  
Może kanarek... Nie, może... albo ja wiem, jak on się nazywa... ale także nie; może papuga, to podobno drogi  
ptak... ale nie, nie, na nici  
Ja potrzebuję ptaka okazałego, żeby był imponujący, żeby ludzie widzieli zdaleka, że jest w dobrym gatunku.  
(Zrywa się nagłe).  
Już mam! mam! Wyborna myśli Mój Feniks będzie gęś! to jest ptak duży, ładny, to jest coś!

Mnie się zdaje że lepszego nawet mój Leos nie znajdzie.

Biegnę do malarza, zapłacę mu dobrze, bo konkurencja nie śpi, mogą mi ukraść pomysły i handlować pod moim rodzonym Feniksem!

Cześć zasłudze!

Oto hasło, które, że się tak wyrażę—zgromadziło nas przy tym stole biesiadnym, zgromadziło nas, to jest kogo? Oczywiście tych, którzy przyszli, ażeby uczcić dwudziestopięcioletnią rocznicę posiadania domu murowanego w Warszawie przy ulicy Niewyraźnej, Nr. hypoteczny, hij, a Policyjny, .

Któż jest tym szczęśliwym a zasłużonym światu posiadaczem rzeczowej realności? Któż figuruje w wykazie hypotecznym, w księgach meldunkowych, na liście lokatorów, wreszcie na blasze cynkowej, przybitej na froncie?

Któż jest ten mąż?

Znacie go, to nasz jubilat dzisiejszy, to nasza chluba, nasz przyjaciel, najdroższy, najukochańszy

towarzysz zabaw, wycieczek, partner winta... Konstanty Kopytkiewicz!

?le mówię: Konstanty. Takim może on być dla świata, dla lokatorów, dla wszystkich, dla nas zaś jest to...

Kocio.

Nie przerywajcie mi burzą oklasków, huraganem zachwytu, nie! Muszę wypowiedzieć to, co mam na sercu, bo uczucie kipi we mnie jak w kotle, jak lawa w wulkanie, jak... jak... no ostatecznie, dość, że kipi, a skoro kipi, to musi wydobyć się na zewnątrz, musi wybuchnąć płynącym z głębi serca okrzykiem: Cześć zasłudze!

Panowie! Biografię kochanego Kocia skreślę w kilku słowach. Nie mając nic lepszego do roboty, urodził się w roku... po co daty? Już ukończył pięćdziesiąt...! I ja także skończyłem. I nie dość na tem, że się urodził, o! bo to nie wystarczyłoby dla zadowolenia jego ambicyi, on się wychował!... I nie przestając na tem, że się wychował, wszedł do pierwszej klasy, mając zaledwie może jedenaście, może dwanaście wiosen życia...

Tam go poznałem...

Panowie! niech mi nie będzie poczytanem za samolubstwo, bo skromność moja granic nie ma— ale, co to w bawelnę owija! Podczas gdy ja jak lew walczyłem z łaciną, on spuszczał przed nią uszy pokornie, jak osioł. Daleki od próżnej chwały, to jednak mogę powiedzieć, że jego wyrzucę

no z klasy czwartej, a ja, broniąc się jak lwica, dobytełem w piątej do Nowego Roku.

To jest głupstwo, kochani panowie. Szkoła furda, prawdziwą naukę daje dopiero życie... a ja jestem najlepszym świadkiem życia naszego czcigodnego jubilata!

Szto ono, to życie, również jak moje życie, po dwóch liniach równoległych i to daje nam najwyraźniej poznać całe niedołęstwo nauki szkolnej.

Swego czasu do kozy wsadzano mnie za to, iż nie wiedziałem o tem, że dwie linie równoległe nigdy się spotkać nie mogą, a my z Kociem po liniach równoległych idąc, spotykaliśmy się codziennie wieczorem pod „Gwiazdą," gdzie piliśmy X kwadratów z paru kufelków...

Cześć zasłudze!...

Okrzyk ten zawsze wrywa mi się z głębi serca, gdy patrzę na naszego kochanego Kocia. Uczyliśmy się razem, on odziedziczył po rodzicach kamienicę, ja również; on się ożenił, ja także; on doczekał jubileuszu — mój za tydzień. Posłuchajcie, panowie!... Ja się nie chwale, ale kamienice nasze były zupełnie jednakowe. On ma ze swojej „ja”, on ma lokatorów niewypłacalnych w polowie, n mnie ani jeden grosz nie zginie, bo psu z gardła wydobyć potrafię; on się reparable co roku, ja raz na pięć lat; on front chłapie co dwa lata, ja pomalowałem się olejno; on do tej pory piszczy, że nie ma za co, ja je

stem skanalizowany już od roku i już z tego powodu podniosłem wszystkim lokatorom komorne.

Cześć zasłudze, panowie]

Malo jest takich obywateli jak nasz Kocioł Na honor. mato.

Nie należy on do żadnego towarzystwa filantropijnego, bo szanuje grosz; ja, nie chwając się, należę do trzech i, wprowadzie groszy wiele nie daję, ale honorowo urzędy pełnię.

Znają umie na Slarem i na Nowem Mieście, a takie mam niewzruszone, takie katonowskie zasady — że gdyby leto z głodu konał, to mu nie wyjednam ani szaląga wsparcia, dopóki cała sprawa nie przejdzie przez czternaście komisyj! Robią mi czasem zarzuty, że biedny w samej rzeczy umarł, nim się rezolucyi doczekał—ale cóż ja temu winien, że był w gorącej wodzie kąpany i nie czekał na decyzję ostateczną.

Panowie! jeżeli podnoszę ten kielich, to tylko dlatego, aby w tem to szlachetnem gronie oddać należną cześć zasłudze.

Kochany Kocio ożenił się w tym samym roku co i ja. Nie chcę bynajmniej wymawiać, że zacna pani Konstantowa, małżonka szanownego jubilata, była w chwili, gdy się dozgonnym połączyli węzłem, nie młoda, nie imponująco piękna, nie tęgiego zdrowia, nie bogata i że miała ubogich krewnych.

Co do mnie, wziąłem w tymże czasie pannę

piękną jak Venas, zdrową jak rydz, młodą i świeżą jak poranek, i bogatą... dwadzieścia tysięcy gotówki było na stole!...

Ostatecznie ja dziś jestem panem w domu, a Kocio pod pantoflem siedzi... atoli zawsze, panowie, zawsze, wszędzie, na każdym kroku powiadam:

Cześć zasłudze!

Kochany Kocio, człowiek pełen energii i tego ognia dusz;, który nazywają Zniczem, trzyma rządęcę, który .nu urządza różne malwersacje. Ja inaczej te rzeczy pojmuję: ja meldunki sam, odbiór komornego sam, reparable sam, ja jestem w domu alfą i omegą, ja nie mógłbym wytrzymać, nie mógłbym żyć inaczej, ja nikomu nie mierzę ani na jeden grosz i dlatego, szanowni panowie, powiadam, wołam, krzyczę z całej głębi duszy:

Cześć zasłudze!

W ostatnim czasie, jak wiadomo, złym dla obywateli, gdy oto kanalizacya i to i owo, trzeba było poruszyć wszelkie sprężyny, drogi kochany nasz Kocio, wyczerpawszy możliwe możliwości Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy, znalazłszy szczęśliwie jakąś sume nielefuich, której dał w swrojej hypotece staroslawiańską gościnność, znalazł się jednak w konieczności zaciągnięcia pożyczki prywatnej, w czem dopomógł ma szczerze niejaki Joel Uyament.

Co prawda, szanowni panowie, ja w takich

wypadkach nie szukam ani nieletnich, ani Dyamentów, otwierani tylko moją kasę ogniotrwałą i to mi wystarcza... ale... trudno.. każdy ma swój system.  
System Kocia o tyle byt gorszy, że dziś Dyament egzekwuje swoją, należność i dom naszego kochanego, drogiego jubilata jest wystawiony na sprzedaż...  
Panowie! Ja się nie chwale, ale zje djabła, kto mnie ruszy mojej posiadłości! Panowie, daleki jestem od wszelkiej próżności, ale przyznacie, że trzeba być chyba cielęciami, aby mając dom, dać się z niego wyzuć sromotnie.  
Dlatego też, Szanowni Panowie, z okazji dwudziestopięcioletniego obywatelstwa, ćwierćwiekowego małżeństwa kochanego Kocia z kamienicą — wznoszę toast: Niech żyje nieoszaczony nasz przyjaciel, kolega i wielce szanowny obywatel Kocio...  
Cześć zasłudze!

HARDA BASIA.

...Znaliście państwo zapewne Dziurdziulewicza Damazego? No, naturalnie z tych Dziurdziulewiczów, z Golojnynia...  
Rodem kurki czubate, bo niedaleko jabłko pada od jabłoni.—Harde... żaden sobie, panie dzieju, w kaszę dmuchać nie dat, każdy miniasty był, a chciał przyjmować u siebie, jak księżę!... Zastaw się, paniedzieju, a postaw się; niech znają pana po cholewach!...  
Oczywiście mina była i cholewy były, ale że znowu jak bieda, to do żyda, więc się i Abrama po brodzie całowało... i mówiło się: Mój ztociutki. mój taki, mój owaki...  
Jak zwał. tak zwat, byte co dał—ale że gdzie cienko, tam się rwie i że dzban dotąd wodę nosi, póki się ucho nie urwie, więc to tam z tem fiolomłyniem nietęgo i lziurdziuleiricz siedział na folwarczku, jak pies na płocie, a żydzisko łąził

po stodołach i zaglądał wszędzie i patrzył, jak sroka w kość... Marnowało się wszystko potrosze i na taki psi koniec zeszło, że, paniedzieju, ani juszki, ani pietruszki — ani czem wkroić, ani w co wdrobić, Damazy oczywiście spuścił nos na kwintę, bo czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci, a po gołym owsie gola sieczka nie idzie koniowi w smak...  
Szumiećby się chciało, ale z próżnego nawet Salomon nie naleje, a z pustej stodoły wróbel nie wyleci; nawet żydy z Łysobk powiadają: „Nyštu giełd, uyštu koiimpliment.” Więc choć Dziurdziulewicz się kręcił, ale na niżej podpisanego nic nie mógł dostać, i prędzejby z kamienia wodę wycisnął, anizeli z nich rubla...  
Było mu paniedzieju ciepło, jak w pokrzywach, tembardziej, że i córeczka rosła... moje uszanowanie!!  
Jak malowanie dziewczyna, jak orzech! Oczy niby tarki, buzia jak śmietana — odpowiedzialna panna na wszystkie cztery boki, z prozapią... z parantellą, tylko że substancyn niucha tabaki nie warta.  
Na czarnej roli chleb się rodzi, a po białej pies chodzi, a na llołomłyniu piaseczek... Maciek zrobił Maciek zjadł... Przecudowne kraje: korzec siej, kopę zbieraj, kopa korzec daje; przytem długów po

same uszy... Więc choć niby Barbarka panna cudna jak jagoda, ale... ojciec nic nie doda...

A ja bo znowuż tak: swego chowu człowiek jestem, węża w kieszeni mam, pieniądze szanuję, bo kto grosza nie ceni, ten szeląga nie wart.

Gospodarstwo prowadzę po staremu, w trzy pola; nowości nie lubię, bo mi jeszcze nieboszczyk ojciec zapowiadał: „Synku, nie buduj! lataj, podpieraj, a zbieraj; pamiętaj, że gdyby nie glina i mech, toby cieśla, za przeproszeniem, z głodu zdechł; kładź na dziurę łatę, będziesz miał intrate...”

Mądry to był człowiek, świeć Panie nad jego duszą! Słucham też jego rady, w domu siedzę, bo pańskie oko konia tuczy, a kto nie dopatrzy wzrokiem, ten dołoży workiem—służbę trzymam w garści, bo myszy wojują, gdy kota nie czują—a pieniążki składam, gdyż ziarnko do ziarnka, to się zbierze miarka.

Siedzę ja sobie, paniedzieju, raz wieczorem przed domem, letnią porą, aż tu dryndula się toczy..

Dziurdziulewicz jedzie... Właśnie myślałem o nim; o wilku mowa, a wilk tuż... Witam, ale dumam sobie: Nie ma karesu bez interesu; przyszła koza do woza... Ale po co?

Mówi: Tak cię kocham, Wicnsiu, żem się stęsknił do ciebie...

Ano... lepiej mieć stu przyjaciół, niż jednego nieprzyjaciela; na grzeczności nikt nie traci, a gość

w dom, Bóg w dom.. Czem chata, bogata, tem rada—więc dalej na stół kwaśne mleko, panicedzieju, ulęgałki i zostało trochę kaszy z kolacyi...

— I'osilźe się, sąsiadeczku, i przebacz, że mięsa nie daję... raz, że taki człowiek nadziany, jak i nalany; po drugie, że dziś piątek; po trzecie, że kasza grosza nie wystrasza, a zaś jak z mięsem, to i z ekspensem...

On machnął ręką i rzeki:

— Dobra, mój sąsiedzie, psu i mucha; bo na bezrybiu i rak ryba, a w braku laku wystarcza opłatek... Ja bo, powiada, ogródkami chodzie nie lubię: co mam na myśli, to i na języku...

— To też—mówię—najlepiej, poprostu z mostu, w bawełnę nie owijając, a mądrej głowie dość dwie słowie...

— Czemu się, Wicnsiu, nie żenisz? — pyta.— Jeszcze rannego wstania i wczesnego ożenienia nikt nie żałował, a dobra zona domu korona.

— Iia — powiadam — dużoby o tem gadać...

— Ale przecie...

— Widzisz, sąsiad, co mąż furami zbierze, to zona fartuszkciem wyniesie...

— Nie zawsze...

— I'o drugie... jestem nieco łysy, a wiadomo, że z łysiną do panny, a z jeżem do psa nie przystępuj.

— Żenią się jednak i łysi...

— I'o trzecie, kochany sąsiedzie, tak mi z tem,

jak i bez tego, a może lepiej bez tego. aniżeli z tein. Na co zdrową głowę pod Ewangelię k'aść?...

— Et — powiada — głupstwo... Żydzi mówią, że człowiek bez żony tu to samo, co rubel bez numeru.

— Nie racya, bo jeżeli rubel srebrny, to numer tak mu potrzebny, jak dziura w moście...

Widzi Dziurdziulewicz, żem twardy; zaczyna z innej beczki.

— Wiesz — powiada — kochany sąsiadeczku, że mojej nieboszczki żony stryjaszek bardzo chory, lada dzień może umrzeć...

Ja powiadam:

— To jeszcze widiami na wodzie pisano...  
— Miody może, stary musi, a majątek spadnie na moją Barbarkę...  
— E—mówie—sąsiadeczku, kto czeka na buty po teściu, to musi długo bosy chodzić...  
Skrzywił się trochę... ale mnie zaczęto jakoś brać... Patrzyłem na ulęgalki, a widziałem czarne oczy..  
Co u licha, czym się zakochał nagle, jak dyabeł w suchej wierzbie! czy co? Nie, nie tak nagle... już to nie od  
dziś ta Barbarka... Masz tobie! gdzie dyabeł ide może... No, nie miała baba kłopotu...  
Dziurdziulewicz odjechał, a ja przyrzekłem, ie go nazajutrz odwiedzf. Jużci trudno... sąsiedzki obowiązek...  
Jadę tedy nazajutrz; chciałem zwlec.

ale myślę sobie: Co masz zrobić jutro, zrób dziś, a co masz dziś zjeść, zjedz jutro.  
Nie kazałem gotować obiadu. Jadę... Myślę sobie: mitość o głodzie sprzykrzy się i panu komisarzowi... Ale  
gdzietam!... Jakem ją zobaczył, zajechała mi odrazu w głowę, jak fura siana. Zacząłem do niej smalić cholewki;  
widzę, że panna nie od tego, sprzyja mi...  
Wiadoma rzecz: kot łowny, a chtop mowny, zawsze sobie rady na świecie da — a chociaż własna chwała u  
drzwi stała, jednak, co prawda a nie grzech, człowiek języka w gębie nie zapomina, a i pięknej setitenoyi  
pożyczać nie pójdzie, bo ją w głowie ma...  
I zrobiło się ze mną coś dziwnego: Chociaż blizki czterdziestki jestem i niby łysinka trochę prześwieca, ale  
uczulem się takim młodym, jakby mi kto ze dwadzieścia lat ukradł... Bo Barbarka jest jak przylepka, a dyabeł  
niekoniecznie tylko w starym piecu pali... Jakem ztamtąd wyjechał, to właśnie jakbym z łaźni wyszedł i  
takiegom sobie ćwieka w głowę zabił, że ani rusz...  
Parobek mi mówi o owsie —ja myślę o Barbarce; gospodyni chce pieniędzy na sól —ja nie słyszę; dają mi  
znać, że cielęta w jęczmieniu, a mnie się zdaje, że jestem w Gołomłyniu...  
Dziad o szydle, baba o motowidle... Na drugi tydzień byłem tam znowuż, na trzeci też, a później prawie co  
dzień; nie ma zlej drogi do moje

niebogi... Juzem Jq i w rączkę całował... Nareszcie raz, choć wiadomo mi, . słówko ptaszkiem wyleci, a wolem  
nie wróci, bucham panie dobrodzieju, na kolana i powiadam:  
— Panno barbaro, śmierć i zona od Boga przeznaczona; oto wóz i przewóz. Kocham panią z całego serca, a czy  
wisiec za jedną nogę, czy za dwie, to wszystko .jedno, więc niech raz będzie kapucyn, albo starosta...zostań pani  
moją żoną...  
Kłęcie i czekam... czekam czasu, jak żyd szabas; patrzę na nią miłosiernie, jak kot na u perkę, a ta siedzi.. i nic.  
— Panno Barbaro! — wołam, czekam zmiłowania.  
Ta się, paniedzieju, podnosi, spogląda na umie z partemu i dopiero:  
— Byłam życzliwa—mówi;—ale dać kurowi grzędę, io on powiada: jeszcze wyżej siędę. Xiech pan pamięta, że  
jestem Dziordziulewiczówna, a to za wysokie progi na pańskie nogi...  
Zaczerwieniłem się jak burak i jużein chciat jej powiedzieć ostro: żt ja też nie wypadłem sroce z pod skrzydła,  
że skoro niemiała księdzu ofiara, chodź cielę do domu, że dyabl po tytule, jak pustki w szkatule—ale. nio  
mogłem... ugryzłem się w język...  
Po co palie za sobą mosty?I... A że od pierwszej instancyi nikt nie umarł, umyśliłem zaape

lowuo do ojca, naradzie się: boć zawsze co dwie Słowy, to nie jedna... A że kobięcy humor jest jak jesienna pogoda, więc mogłem przypuszczać:!, że to się zmieni... Ukłoniłem się zgrabnie, nizko, z rewerenryą. i wyszedłem — ale czułem, że jestem zapalony, jak żyd w tańcu, i że coś we mnie tak krzyczy, jak na jarmarku... Jła się rozumieć, do Dziurdziulewicza jak w dym; ale i ten jakoś grubo śpiewa.

— Panna — powiada — harda; nie dziw się, z prozapią, z Dziurdziulewiczów wychodzi, matka była lioliwuwna; przytem piękność, uroda, edukacya, Goloiilynie... Nie miała baba kłopotu...

— A wreszcie — powiada — czekaj, cierpliwości...

Czekałem... Ale myślę: niema ognia bez dymu... co oni chcą?...

Ha, no, stówko wiatr, pismo grunt, obiecanka cacanka...

— Ty jej, Wicusiu powiada Dziurdziulewicz— zrób zapis...

Jak żyję nie robiłem zapisów; ale... ostatecznie... kocham ją... choć harda panna... Robię zapis; jadę do rejenta i niech się dzieje co chcel...

Stało się; co z wozu spadło, to przepadło, wzięli dyabli krowę, niech wezmą i cielę... Na

wyprawy jej dani, choć taka harda; dom każę pobielić z wierzchu iw środku...

Dziurdziulewicz tryumfuje, bo mnie wziął, chodem niby taki dyplomata; ale nikt nie jest prorokiem w swojej parafii, a jeszcze, jak takie śliczne oczy cz to wieka prześwidrują, to, paniedzieju, trudno być w Psiej Woli Itismarkiem...

Nie, kochany Jasiu, stanowczo nie! Wszystko to jest głupstwo! Nauka... ideały, dążenia, marzenia, wierzenia, wszelka filozofia, metafizyka, okultyzm... Ha! ha! Oddałbym to wszystko razem za porcję dobrej sztukamięsy... ale wiesz, takiej, takiej (gestykuluje) przerastałej, przy kości, z doskonałym ogórkiem... albo może być i sos... owszem, z pomidorowym sosem, albo szczawiowym...

Nie! trzymam się stanowczo ogórka, bo tylko pierwsze natchnienie jest rzeczywiście natchnieniem.

Widzisz, mój Jasiu, ludzie mają różne namiętności.

Ludzie są głupi... Jeden szaleje za kobietami... także satysfakcyja! inny traci majątek na karty... czysty waryat!

Trzeci zbiera numizmaty, pasy li

te, stare skorupy, osobliwe książki... szaleniec!

Jabym całe muzea oddał za dobrą pieczeń z rożna.

Ty się nie śmiejesz, Jasiu! Pieczeń z rożna to jest W swoim rodzaju kwintesencya i szczyt wszelkiej filozofii.

Niechże mi Platon, Seneka, Kartęzjusz, ltegel, lub inny, coś mądrzejszego wymyśli.

Ale, uważasz, pieczeń taka, o! zrumieniona w samą miarę, zapach, para, a po przekrojeniu krew. I'ważasz, to mi jest dopiero rozkosz! Jadłem właśnie taką onegdaj u bankieta Bombelsteina. Żałuj, żeś nie byt. Jaki obiad, eo za obiad!

Wiem ja, mój kochany, że mnie nazywają pieczenia rzera... ależ ja z tego drwię, choć właściwie mógłbym się pysznić tym tytułem, bo proszę cię, Jasiu, sam Stwórca do jedzenia człowieka przeznaczył. Już Terencyusz w starożytności mawiał; „Jadam, więc jestem,” a inny mędrzec rzek!: „Powiedz mi co jadasz, a ja ci powiem, kim jesteś.” Największym filozofem w Europie był BrillatSavarin, a jedna pani Lucyna zasłużyła się światu więcej niż Deotyma pomnożona przez Konopnicką, Orzeszkową, Marrenową, Ilajotę, Rodziewiczówna, Ostoję i Esteję. Nie, Jasiu, „pieczeniaryz,” jeżeli głęboko zastanowimy się nad znaczeniem tego wyrazu, nie jest tytułem ubliżającym, wprost przeciwnie, zaszczyt człowiekowi przynosi. Pieczeniaryz to jest człowiek wierzący w pieczeń, szanujący pieczeń, zna

jący się na pieczeni. Przepyszna była u Bombelsteinów.

Żatnij, żeś nie był.

Widzisz, kochanie, ja obraziłbym się śmiertelnie, gdyby mnie kto nazwał „kartoflarzem,” „śledziarzem,” albo „sałaciarzem”— ale za pieczeniaryza nigdy.

U Bombelsteinów był obiad — palce lizać.

Żałuj, żeś nie był.

Uleczyłbyś się z antysemityzmu i został porządnym człowiekiem... bo to, wyobraź sobie, zupa żółwiowa, łosoś w majonezie, kotlety pożarskie, pieczeń z różną, a deser, a owoce, a sery, a mokka, likiery, wina...

Jadłem niewiele, wszystkiego po troszeczkę, po odrobinie, ale en masse uzbierało się i... czuję się...

Co tam! czuję się zdolnym do zjedzenia drugiego takiego obiadu.

A mam dużo jeszcze, dużo pracy przed sobą...

Bo widzisz, drogi Jasiu, ja trzymam się tej wspaniałej zasady starożytnego pisarza, który mówi: „Nulla sine linea dies.”

Codzień muszę coś robić; jak nie śniadanko, to obiadek, jak nie obiadek, to podwieczorek na świeżym powietrzu (szparagi, raki, kurczęta — rozkosz!), jak nie podwieczorek, to kolacyjka. Codzień, codzień, nawet w święto wypoczynku. „obie nie dają.

Onegdaj byłem na kolacyjce w wesołym towarzystwie. Przeciągnęło się do późnej nocy, ni z tego ni z owego wywiązało się male nieporozumienie.

Miecie pokłócił się z Kaziem i wyrzucono za drzwi... mnie.

Żałuj, żeś nie był, bo takiego indyka z truflami chyba jeszcze w życiu swoim nie widziałeś. Nie chwając się. zjadłem dobry kawałek.

Pytasz się, za co mnie wyrzucono? Oczywiście zaszło jakieś nieporozumienie. Miecio miał do mnie żal, że go podobno obmówił. Nie wiem. Może i wspomniałem co komu, gdyż jego kucharz jest skończony fuszer i gotować nie umie.

No, proszę cię, czy człowiek, który się szanuje, powinien trzymać takiego parzygnata, toć przecie hańba dla domu!

To widzisz, o to mu głównie poszło... ale ja mam charakter żelazny, zniosłem tę przykrość ze stoicyzmem, zresztą wyrzucono ranie już po kolacyi, kiedy właściwie nio było po co dalej siedzieć.

Ale przyjdzie koza do woza. Miecio zgłosił się do mnie sam. Niezadługo jego urodziny, wyprawi obiad, a któż mu ułoży lepsze menu niż ja?

Bo widzisz, taki naprzykład Barcewicz, ani słowa, artysta w szerokim stylu, gra jak anioł. I ja mogę się pochwalić, że jestem takim samym mistrzem wobec talerzy i kieliszków, jak on wobec swoich skrzypiec... ale on jest tylko genialnym

wykonawcą, ja zaś mam nad nim tę wyższość, że puszczam się na kompozycje. Widział  
Jak skomponuję „menu,” zwłaszcza kiedy jestem natchniony, to niech się schowa Mozart, Beethoven, Rossini.  
taka jest we mnie siła geniuszu!

W tem mojem menu jest harmonia, zdumiewająca instrumentacja, boć każda potrawa jest instrumentem w tym  
razie — instrumentacja kunsztowna—wszystko zrobione kontrapunktycznie. według wszelkich zasad i reguł.  
Nawet co to równać? Taki muzyk dogadza tylko uszom, moja kompozycja łaskocze języki, sprawia rozkosz  
podniebieniom, raj żołądkom.

Wierzaj mi, że gastronomia jest jedna z najpiękniejszych sztuk pięknych. Naprzykład w zeszłym tyTidniu u  
Hipolita—żałuj, żeś nie był.

On dorobił się majątku podobno na jakichś nieczystych sprawach, ale co mnie to obchodzi?

Jeżeli u kogoś podają „Biiisson d'homards en belle vuet” „saumon a la moderne,” pain de gibier h la  
reuaissance” i jeszcze to. jeszcze owo, gdzie płynie burgund, złoci się tokaj, strzelaszampan, gdzie likiery  
sprowadzone stj bezpośrednio z Amsterdamu, a każde cygare rubla warto, to pytam, co komu do tego, z kąd  
atrifitryon przyszedł do majątku?

Człowiek, który tak jada, jest wyższy nad wszelkie opinie.

Ach! byłbym zapomniał! To już pierwsza — śniadanie u Bolesława. Bądź zdrow, spieszę, bo gotowi na mnie  
nie czekają. Ach ten obiad u Hipolita!

No, do widzenia., do widzenia. Żałuj, żeś nie był...

Wędrujący sak.

Nic łatwiejszego niema na świecie, jak omylić się, zrobić omyłkę.

Ja czasem się mylę, państwo często się mylą, nawet w tej chwili też są w błędzie.

Naprzykład, patrząc na mnie, na moją osobę, na moją słowiańską twarz, brodę a la Mierzwiński, na moje  
okulary, tuszę; widząc, że jestem ubrany elegancko, że mam ładne futro od bober, nowiutki cylinder prosto z  
pod żelazka, że posiadam chustkę na szyi, rękawiczki, dwa nowe kalosze, jeden mało używany parasol —  
państwo myślą sobie: oto musi być solidny kapitalista, który bardzo lubi złoto i drogie kamienie.

Ja potrzebuję się z tego grubo roześmiać! Jestem wprawdzie trochę kapitalista, ale i o złota, do drogich kamieni,  
do brylantów, rubinów, szafirów, szmaragdów, ja poprostu mam obrzydliwość.

Jak widzę sznur pereł, to mi się robi mgło, a jak mi kto pokaże kawałek złota, to inani ochotę splunąć. Na prywatny użytek, dla żony na paradę, dla córeczek na wyprawę, dla siebie na gruby łańcuszek do zegarka, to jeszcze mogę znosić złoto, ale do interesu... pfe!

Państwo się dziwie, państwo zgadują, jaki to może być interes, co złota nie lubi, i państwo mogą mieć przypuszczenie, że ja prowadzę handel pierzem, żelazem, rybami, może białym towarem. Też jest omyłka, bo ja wcale nie jestem handlujący. Ja robię co innego i mogę się pochwalić, że prowadzę solidny, honorowy interes. Mam kasę pożyczkową na zastaw ruchomości.

Złożyłem kasię, mam swoje biuro, swój magazyn, swoich oficjalistów.

Śliczny personel! Pan taksator (on jest mój wujaszek, bardzo porządny człowiek, dawniej handlowa! starzyzną i przez to jest gruby znawca na biżuterie kortowe), pan woźny (też mój krewny, ale kapcan), pani kasyerka, a naprawdę dwie panie kasyerki: jedna moja żona, druga moja córeczka. Eleganckie biuro, rodzinny i bardzo uzdolniony personel.

Krótko mówiąc, ja mam lombard...

Państwo powiedzą, że to właśnie proceder najbardziej chciwy na kosztowności, że on tak łyka zegarki, jak kot myszy. To jest omyłka! Ja nie lu

blę złota, ja wprost mówię takim klientom: Idźcie sobie do dyabła, albo do Banku dyskontowego i nie zwracajcie komu głowy z precjozami!

Państwo się dziwią; ma się rozumieć, nie każda, głowa bierze w siebie od razu sam cymes interesu, a kto nie jest znawca, ten nie może zmiarkować, w czym jest smak i co ja lubię?

Co ja lubię? Ja nie lubię kosztowności, ja nie lubię te waryackie rowery z wydymaną gumą, nie lubie maszyn do szycia, ani luster, nie wezmę obrazu olejnego, choćby nawet był malowany czystą prowanczką idiwą. Od takich interesów są specjaliści, ja zaś jestem taki specjalista, że bardzo lubię używaną garderobę.

To jest niezły interes — a dlaczego niezły? Bo tak...

Bywa czas dobry, bywa gorszy, bywa jeszcze gorszy, teraz właśnie jest gorszy — teraz ciężko żyć. Co najwyżej, można brać jeden procent na miesiąc, jeżeli odrobinę więcej, to najprzódniejszy człowiek jest nazwany lichwiarzem, a co to jest jeden procent? To jest nic... Niby prócz tego można mieć trzy procent za przechowanie. Państwo się śmieją, a ja powiadam, że to jest także nic.

W magazynie są myszy, trzeba trzymać kota.

Czy taki łądak mało kosztuje? To jest pazerne zwierzę, on jak zobaczy kość, to aż się trzęsie, a jeżeli go nie zamknąć na klucz, to zamiast łąpać myszy i pilnować garderoby — on idzie na

dach śpiewać swojo uwertury. Nie można mu nic powiedzieć, a jeżeli kucharka wybije go miotłą, to on ucieka. Choćby z tej jednej przyczyny trzy procent za przechowanie nie jest dużo.

A teraz, wojna z molami! Czy państwo wiedzą co to jest mól? To jest taki maleńki ptaszek, bardzo maleńki, który lubi zjadać salopy i paltoty, ma wielką chciwość na futra i na wełniany towar, .lego trzeba straszyć, trzeba go truć, trzeba tupać. Ja niszcę tych molów, ile mogę, mnie sama terpetyna dziesiątkę na miesiąc kosztuje, ja ich niszcę, a co nie wyniszczę, to sprzedaję przez licytację razem z niewykłipioną w terminie garderobą.

Właśnie wczoraj było zdarzenie, że córeczka zobaczyła mola w składzie. On sobie fruwał, jak kanarek.

My wszyscy zaczęliśmy jego gonić. Ja nio jestem lekki człowiek, moja żona też waży blisko sześć pudów, wujaszek taksator ma astmę, woźny ledwie łązi, a mój syn buchlialter i córeczka kasyerka to są delikatne dzieci, nawet nieoz.enione jeszcze.

Och, myśmy wszyscy gonili i łapali tego jednego mola! To była ciężka, nadzwyczajna praca, myśmy zdrowie stracili. Ja dostałem ciężki oddech, moja żona chwyciła się za serce, wujaszek wpadł w kaszel, a woźny, zwyczajnie jak ordynaryjny człowiek, przeklinał swoich wrogów i życzył im,

żeby przez całe życie mieli tylko z molami wesele.

Swoją drogą mól uciekł.

Teraz państwo widzą sami, że jeżeli się bierze trzy procent za przechowanie, to się nic nie bierze i więcej jest przytem straty zdrowia, aniżeli zysku.

Oj, na moje sumienie, jabym już dawno ten lombard zamknął, żeby nie wędrująca garderoba, żeby nie podróżujący sak i beinkleidery. To jedno daje jeszcze cokolwieczek zysku.

Například tak: W poniedziałek rano, ledwie się dzień zrobi, to już u nas jest pełno interesantów. Oni siedzą w sieni, czekają na schodach, a niektórzy, gwałtowni, kołaczą do drzwi, wprost do kantoru, żeby im zaraz otworzyć.

No, cóż robić, oni potrzebują, a ja mam takie serce, że lubię ludziom wygodzie, więc zrywam się z łóżka, kładę na siebie szlafrok, każę otwierać biuro. Cały personel jest w negliżu, moja żona, moja córeczka też w negliżu, bo nie ma czasu na robienie elegancyi.

Zaczyna się ruch, każdy interesant zastawia sak, [iare spodni albo, jak zimową porą, palto. Zastawia na miesiąc, dlatego, że na krótszy termin u nas się nie przyjmuje. Bierze pieniądze, bierze kwi; i idzie sobie do swojej roboty.

Mamy takiego gwałtu dwie godziny, a potem, jak oni wszyscy sobie pójda, my bierzemy się trochę

do śniadania. Potem ja się ubieram, idę na miasto, do Saskiego ogrodu, pospaceruję kolo giełdy...

Zawsze po pracy człowiek potrzebuje trocin\* ruchu i odpoczynku. Po obiedzie ja lubię iść do cukierni; tam jest bardzo porządne towarzystwo, można przeczytać „Gazetę Handlową,” można trochę gawędzić, dowiedzieć się różnych nowości, zagrać w szachy—a ja jestem też trochę szachista.

Wieczorem to bywam w domu; pytam, co było. jak było, przeglądam księgę.

Przez cały tydzień u nas w lombardzie cicho jest ruch, ale nie ma gwałtu, niema hałasu; wujaszek może spokojnie robić swoje taksacje, obejrzeć porządnie każdą sztukę pod światło i przez okulary zobaczyć, ile razy była nicowana i czy się da jeszcze raz przewrócić, czy może z niej być kilka czapek.

Dopiero w sobotę na wieczór znowu się zaczyna. Wszystkie spodnie, saki, paltoty zarzynają wędrować.

Ledwie się u nas szabas skończy, już pełne schody interesantów, tych samych, co byli w poniedziałek.

Wtenczas oni potrzebowali zastawić, teraz potrzebują wykupić—i wykupują,

Płacą rzetelnie co się należy: kapitał, procent i za przechowanie za miesiąc, biorą swoją garderobę i idą na miasto.

W poniedziałek rano wszyscy są z powrotem.

znowuż cały personel mego biura jest w negliżu, znowuż ai\*; robi gwałtowny ruch; saki, paltoty idą napowrót do magazynu, a ja, jak zwyczajnie, trochę na spacer.

To nie jest lekki chleb, wierzcie państwo, to nawet ciężka praca! Klientela jest głównie z prostego stanu, z takich ludzi, co zarabiają rękami.

Ja tch znam, ja wiem, co oni potrzebują... A co oni potrzebują?

W sobotę odbierają swoją zapłatę i zaraz im się chce pić i porządnie ubrać, więc wykupują swoje saki; w poniedziałek znowu im się chce jeść, a do roboty im nie trzeba porządnej garderoby, więc zastawiają napowrót swoje odzienie — tym sposobem wędrujący sak jest zawsze w rochu, a ja dwa razy tygodniowo mam wielkie zatrudnienie.

Ciężkie życie, na moje sumienie, i lombard nie słodki interes. Państwo sami wiedzą, że jeden procent na miesiąc, a trzy procenty za przechowanie to się nie opłaca.

Utrzymanie kota policzyć, terpentynę policzyć a stratę zdrowia policzyć, gonienie mola, własne sapanie i kaszel, to co jest w zysku? Nic.

Całe szczęście, że ta zastawiana garderoba lubi wędrować, że w jednym roku bywa pięćdziesiąt dwie niedziele i kilkanaście świąt, że za ka

Monologi.

Żyjąc razem liczy się procent za miesiąc. Takim sposobem można jeszcze mieć odrobinę życia.

Czy to człowiek dużo potrzebuje?—aby się kapitał trochę ruszał. Więcej nic.

Zastawiona kosztowność jest ociążała, nie robi prędkich obrotów i dlatego właśnie ja mam obrzydliwość do złota. Nie cierpię pereł, ani brylantów, ale bardzo, bardzo lubię wędrujący sak...

GRYMASY.

Sprawiedliwie powiadają ludzie, że jeno daj kurowi grzędę, to on zaraz poczyna się drzeć: Jeszcze wyżej siędę," zaś inszemu człowiekowi, żebyś niewiem co dał, to mu się jeszcze zachciewa: szynki z okna, kafla z pieca, to zaś gwiazdki z nieba...

Ja ich znam takich grymaśników dokumentnie, bo to koło Warszawy mieszkając, dość się człowiek różnych cudaków napatrzy.

Będzie taki, co Jazi po wsi, szuka, na to mówiący, jajka, dasz mu jajko — jużby chciał jajecznicę — najdzie jajecznicę — żąda kury, a ma kurę, pyta o ptasie mleko... Także cudaki!

Jeno, że płacą sprawiedliwie za każdą rzecz, iakiej im się zażąda... Ano, niech ich ta.

Dawniej nio znali ludzie tego, co teraz.

Gdzie kto mieszkał, to i mieszkał; chłop w chałupie, dziedzic we dworze... insze państwo i żydy w Warszawie.

Teraz im się zachciało letkiego powietrza i aby jeno lato, zaraz ci z pięknych pokojów warszawskich pcha się to precz do chłopskich chałup według tej letkości.

Gospodarze mają ztąd zarobek... I ja także gospodarz jestem, nazywani się Grzępiel, po imieniu Franciszek, chałupę mam i gości z Warszawy co roku.

Dla nich to kosztu nie żalowałem, dwa pomieszkania z chałupy robię, a sam z kobietą i dziećmi do stodoły się na lato wynoszę... Dwa pomieszkania zrobiłem i rewerendów dwie, jedna ode drogi, druga od obejścia, precz dzikiem winem obsadzone; piaskiem przed progiem wysypałem, świniom chodzić nie daję do staneyi, do państwa prosiąt nie puszczam, psa na uwięzi trzymam, żeby jakiej letniczki bez pończochę nie ugryzł; dogadzam każdemu jak wrzodowi i myśliła, że są kontente?

— A to powiadają: gospodarzu, robaki łążą po ścianach, a to powiadają: gospodarzu, muchy, mnchów trzymacie za dużol

— A jakże — mówię — pani letniczka chce? W zimie muchów niema, bo na to jest lato, żeby

byty... Inszy zaś robak i w zimie jest, jak na ten przykład świerszcz, co za kominem cirka...

Letniczka mówi, że Niunia się boi lego cirkania i nio może spać. Kaźcie, powiada, tego cirka jącego robaka wypędzić... Jakże ja go wypędzę?

Śmieję się i powiadam, że on mnie nie posłucha, i że na muchy też rady nie mam, bo gdzie jeno zdybuje się bydło, to i muchy za niem idą.

— Bydła nie trzymać na lato, mówi taki letnik... a juści! O mleko wciąż się dopomina, żeby prosto od krowy, żeby w nim ani kropecki wody nie powstało...

Insza letniczka idzie sama patrzeć jak moja kobieta krowy doi. A juści, ona myśli, że moja kobieta głupia!

O nie! baba też ma swój dowścip, a chociaż insza letniczka będzie ze starozakonnego narodu, przebiegła na wszystkie cztery boki, moja baba znajdzie i na nią sposób.

Niby to skopek przepłucze dla porządku, a z kwarcinę wody na dnie zostawi; letniki zaś smakują, że dobre, jako prosto od krowy.

A no, toć prosto.

Na masło też okrutnie łąso i choć już na końcu pomieszkania, pod jesień, jeszcze im się majowego zachciewa, żeby było zółciuchne... Ale i to się im daje, niech ta jedzą i niech placą. Marchwi, Bogu dziękować, nie brak w ogrodzie, to ko

bleta maślisko zafarbuje krzynkę na żółto i mają majone.

A młodych kartofelków, lia! ha! dość ja po dworach nachodziłem, szukając nasienia, które najwcześniejsze.

Świętojanków dostałem doskonałych, ale albo to im dość? Chcą młodych kartofelków zaraz z wiosny.

I to im się robi, bo moja kobieta na każdy sposób sprawna i spekulantna. Bierze stare kartofliska, blaszaną łyżką z nich precz powykrawa maleńkie, w wodzie krzynkę wymoczy, a potem na jeden dzień zakopie w ogrodzie, żeby je ziemią czuć było i żeby się zamorusały!

Takie młode kartofelki mają i jedzą, aż inszego i inszą żywot zabolili; potem kwękają, a ja powiadam:—Proszę państwa, juści te młode kartofle szkodzące, bo za młode; koszt duży, a na pożytek nie idzie.

Wiadomo, że koszt musi być duży, w Warszawie ogrodniki po pół rubla za funt takiego drobiazgu biorą, to i ja nie moge mieć krzywdy. Choć nic tyle wezmę, ale wezmę.

Jeździć okrutnie lubią i zaraz z miejsca pytają: A czy macie konie wierzchowe, a wyjazdowe, a bryczkę?

— A dyc powiadam, mam, a jakże, bo i sprawiedliwie dwie kobyłska są do wszystkiego sposobne: pod wierzch, to pod wierzch, do wyjazdu, to do wyjazdu, a do brony, to do brony. Zwyy

czajnie, jak szkapy. Bryczkę mam, bu przy tych Letnich grymaśnikach wszystko człek musi trzymać—to też kładę wasąg na wóz, siedzenie robię ze słomy i jest bryczka lepsza niż insza żydowska.

Oj, jeżdżą też, jeżdżą! A to do kolei, a to do lasu na majówkę, a to znowu do miasteczka po sprawunki, a to po gości, a to odwieź gości.

Szkapy dzień w dzień chodzą, chyba, że już wielka ulewa, to mają spokój.

Jednemu letnikowi zachciało się wierzchem paradować... pyta:

— Franciszku!

— A co?

— Konia pod wierzch macie?

— Konia nie mam, ale kobyła jest.

— A czy dobrze chodzi?

— Oj, oj... aby jeno na nia kawałek patyka, a twardego, to idzie jak wiater,

— A siodło macie?

— Nie mam.

— A jakże siadacie na szkapę!

— Juści staromodnie, z płotu. Dumał, dumał, nareszcie powiada.

— Pojadę, ale podścielę sobie dywanik. He za wynajęcie?

— Niby szkapy?

— A tak.

Poskrobałem się w głowę i rzekłem:

— Rubelka pan da...

Dal bez targu. Licho wie, jak z takim narodem gadać. Szkoda, że nie rzekłem dwa ruble.

Położyłem na szkapie dywanik, podsadziłem letnika, niech se jedzie; ale kobyłsko myślało, że do pojenia, do stawu, na wyścigi, jak się kopnie; letnik krzyczy gwałtu, ona jeszcze lopies, dywanik z pod letnika wyleciał, on spadł

Szczyście, że na piasek, jeno sobie krzynkę nos zadrasnął... powiada:

— Niech was licho z takim koniem! A ja rzekłem:

— Panie, toć mój Wojtek ma dopiero pięć lat i jeździ na niej przez dywana.

Więcej już nie chciał.

Ciężki z nimi los, ale zawdy dochód jest, dogadza się im, bo dogadza. Ja im jajko sprzedam, ja kurczątko, ja kokoszę, kaczuszkę, ja mleko, masło, chleb, z ogrodu wszystko co potrzeba, ja marchewkę, pietruszkę, cebulę, rzodkiewkę, koper, szczypiorek i co jeno dusza zapragnie i biorę tylko krzynkę drożej niż w Warszawie, bo zawdy mają bez to oszczędność, jako że nie jeżdżą sami, nie placa za furmankę do kolei, za bilet, za deróżkę. Zawdy im to coś uczyni.

Słomy im sprzedam do sienników, drzewa do kuchni, dogadzam jak wrzodom—no i mam z takich dwóch familiów bez cale lato więcej niż czterysta rubli.

Ale ledwie wytrzymać moge te grymasy... A to komin dymi, a to z pułapu się leje, a to się dzieciak mato w kałuży nie utopił na podwórku, a to żo kogut za głośno pieje i za wcześniej, jakby przy zegarku taki ptak chodził, a psi szczekają za dużo.

Zeszłego roku narobiły krzyku okrutnego, jako że ziaba jest we studni. Chciały do niej sprowadzać: komisję, doktora, sędziego i wityniarza... Mówię:

— Czegój? Toć ziaba nie topielec, ani wisielec, żeby do niej komisje zjeżdżały i żywa jest, bo się rucha, a jeżeli zaś nie podoba się wam, że w studni siedzi, to ją wiaderkiem wyciągnijcie, i albo puśćcie, żeby sobie poszła gdzie chce, albo żałujcie, żeby drugi raz we studnię nie wzięła.

Krzyczały, pomstowały, ale dla świętej spokojności kazałem Wojtkowi, żeby odzienie z siebie zrzucił, do studni włożył i ziabę wyjął.

Sprawił się chłopak dobrze, ziabę w garść wziął i przyniósł letnicze na pokazanie, jako jest zdrajczyńi złapana...

Wyrzuciły go za drzwi ze stancyi.

Panowie — to znów okrutnie do kart chciwe, gdy im jednego brakuje do czterech, to każdy chodzi taki markotny, jakby mu, na to mówiący, krowa zdechła.

I z tem do mnie przyszli.

Powiada jeden:

— Gospodarzu, nauczcie się grać ne wiata, będziecie na czwartego.

— Owszem, panie, ale co dostanę za granie?

— Ha, po dwie dziesiątki od „lobra”.

Co mam robić? uczyć się, bo kto ma letników, to wszystkie grymasy musi znosić. Uczę się i będę grał, ale po dwie dziesiątki nie mogę.

Za tanio.

Niech dadzą po cztery dziesiątki od „lobra” i osobliwie znów, do każdego „lobra” cygaro.

Albo sobie przy kartach z nimi wypalę, albo na zimę schowani, na ten czas, kiedy grymaśniki odjadą...

Nie wiem tylko, czy za te „lobry wintowe” nie zażądałem za mało, czym się nie oszukał?